13,000 abonentów!

Nr. 13 Poznań, dnia 29 marca 1903. Rok VII.



Wiosna.

Wiosna! Magiczne słowo, które nawet w duszach przytłumionych i martwych budzi echa radosne, tony młodzieńczych uniesień i zachwytów, szczytne pragnienia. Jak na łonie przyrody kiełkują w nich zielone pędy śmiałych dążeń i wnika w serca coś z uśmiechu wiosennego słonka, coś z ciepła zefiru, coś z rozmarzającej woni ziół, coś z ożywczego, jędrnego oddechu pól naszych zbudzonych do nowego życia. Jasno na świecie Bożym i w sercach — jaśniej.

Niech wraz z naturą budzą się omdlałe i martwe dusze do życia społecznego, niech powstają jak łany szerokie warstwy do pracy obywatelskiej, krzewią się na niwie polskiej zielone latorośle narodowych nadziei i myśl polska jak ptak śmiało strzela w przestworzy!

Na widnokręgu czekają nas rozliczne zadania; z zmiennych fal pulsującego życia społecznego wynurzają się coraz to nowe sprawy, a mianowicie zbliżają się — *wybory* do izby parlamentarnej, akt wielkiej doniosłości dla naszej dzielnicy. Żaden przeto obywatel, żaden Polak nie ostoi się bez gazety, nawet ten maluczki, dla którego nie stała się ona jeszcze nieodzowną potrzebą, codziennym pokarmem duchowym. Wszyscy też, co nie wegetują, lecz żyją w pełnem znaczeniu tego słowa, winni mieć w domu pismo polskie, które jest łącznikiem pomiędzy jednostką a społeczeństwem.

A któż nie znał by „Pracy"? Niemal w każdym domu polskim u nas można ją napotkać, czy to pod strzechą, czy przy warsztacie, czy w kantorze, czy w salonie. Niepomni na przydrożne głogi i ciernie idziemy naprzód pod hasłem *prawdy szczerej*, z pewnością siebie, jaką nam daje uznanie szerokich kół, poczucie pełnionego obowiązku narodowego i służby publicznej.

W ostatnich zaś czasach mieliśmy dowody uznania dla „Pracy" ze strony wybitnych mężów, tak iż z słuszną dumą możemy unieść czoło i patrzeć w przyszłość z przekonaniem, że skupią się w koło nas jeszcze liczniejsze zastępy czytelników.

My z naszej strony pracujemy nad rozwojem naszego pisma, bez względu na koszta wydawnictwa, aby zadość uczynić życzeniom naszych przyjaciół i jaknajlepiej spełniać naszą misyę. Jakoż wprowadziliśmy do „Pracy" dział rolniczo-ekonomiczny, w którym obok sprawozdań z aktualnych, najbliżej leżących rzeczy, umieszczać będziemy artykuły wyrozumowane z odnośnych dziedzin, dalej rozszerzamy dodatek powieściowy, w którym prócz opowieści przeznaczonej dla rozrywki rozpoczęliśmy podniosłą, patryotyczną rzecz, osnutą na stosunkach naszym pokrewnych, wreszcie powiększyliśmy dział polityczny tak, że prócz zwykłych rubryk znajduje się w nim cały szereg artykułów, napisany przez zdolnych, wytrawnych pisarzy a czytelnik *przy niezmiernie małej przedpłacie* odbiera numery, obejmujące *cztery arkusze druku* — pisma ilustrowanego bogato, z nader urozmaiconym, starannie dobranym materyałem.

Zasady i dążności „Pracy" dobrze znane. Cześć dla wzniosłych ideałów ludzkości, dla szlachetnej pracy społecznej, miłości ziemi ojczystej, poszanowanie dla wiary, przeszłości i języka, dbałość o wszystko, co na tym gruncie przyczynia się do rozwoju i postępu — uważamy za gwiazdę przewodnią w naszej pracy.

Redakcya.

Ugodowe reminiscencye.

Przed nami otwarta księga historycznych zjawisk. — Ostatnie jej karty wypisane krwawem pismem bolów naszych, — niezliczonych upokorzeń i cierpień.

Społeczeństwo nasze wyniosło z tej krzyżowej drogi swej wielką naukę, — że pozostała mu tylko jedna droga: najwszechstronniejszej pracy nad sobą i odwróciło się z pogardą od t. zw. ugodowej polityki. A jednak nie myślmy, — że potępiona przez nas wszystkich a mocą historycznych faktów ośmieszona zasada zupełnie wypleniona ze serc wszystkich. — Zjawiają się tu i owdzie jakby wspomnienia jej rozkwitu. Skromne, ukryte, nieśmiałe — ale żywe wspomnienia. —

Do pesymistycznych i gorzkich rozmyślań — nastroić może obecny kierunek polityczny „Kuryera Poznańskiego". — Pismo to w ostatnim czasie dość często głosiło zasady, które obrażały przekonania większości społeczeństwa. Z organu pozującego na pewną polityczną postępowość, — przemienił się „Kuryer" odrazu w pismo najskrajniejszego ultramontanizmu. — Sprawia to takie wrażenie, — jak gdyby redakcya starała się dostroić do tonu nowego władzcy swego i ze zbytniej pohopności poszła za daleko w zapale. Jest to zwykły, klasyczny los ludzi bez przekonań. My nad tą metamorfozą „Kuryera" moglibyśmy przejść do porządku dziennego, gdyby nie smutne skutki, które z tej metamorfozy wyniknąć mogą. — W łonie społeczeństwa zawsze były i będą najróżniejsze pierwiastpierwiastki, — najróżniejsze kierunki polityczne i przekonania. — Jednakże w ostatnich latach społeczeństwo nasze o tyle stanowiło wyjątek, że pod silnym naporem germańskiej brutalności na zewnątrz zapanowała w niem jedność.

Zatarła się nawet zachowana z dawnych lat różnica między obozem liberalnym a ultramontańskim. Nie mieliśmy partyi. Był to wobec kolosalnego naporu niemczyzny objaw bardzo pomyślny. — Nie widzimy więc doprawdy potrzeby, aby, jak to „Kuryer" dziś czyni, ciągle i ciągle podkreślać i akcentować idee, które może skrajnie ultramontańskim sferom są sympatyczne a od których reszta społeczeństwa odwraca się z oburzeniem. — Pocóż dmuchać ciągle na tlejące pod popiołem iskry? Wybuchnąć może z nich pożar. Z pierwiastków niknących w całości społeczeństwa urosnąć mogą partye, — a byłoby to bardzo, bardzo niepomyślnem dla narodowego naszego rozwoju, gdyż odwracałoby uwagę od zagrożonego wyłomu — od wspólnej obrony wobec niemczyzny. — Może „Kuryer" spamięta to sobie i zejdzie z drogi, na którą zapędziła go zbytnia — pohopność w służbie.

W jednym z ostatnich numerów poświęca „Kuryer" kilka uwag działalności posłów naszych. — Artykuł ten pisany nadzwyczaj ostrożnie, czyni pomimo wszystko wrażenie, jak gdyby autor niezupełnie wyzbył się upodobań do kierunku politycznego, który nazywamy ugodowym.

Na czele stawia autor zasady, że „poseł w Izbie mówi dla Izby", więc „obowiązkiem jego jest tak przemawiać, aby mowa jego jak najlepszy wywarła skutek w Izbie." — Zasada ta zawiera wiele prawdy. Nie można jej jednakże żadną miarą stawiać jako aksyomat, od którego nigdy odstąpić nie wolno. Gdyby socyaliści się byli trzymali tej zasady, nie byliby zdobyli potęgi, którą dziś mają. Uważali oni parlament za teren agitacyjny.

Dalej zaś czy autor wierzy dziś jeszcze, że wrażenie, jakie mowa posła naszego wywołała w Izbie, wpłynąć może na stosunki nasze? Byłby to straszliwy optymizm. Urzędnicy pruscy czynią wbrew wyrokom głoszonym przez najwyższy sąd administracyjny, — a mieliby pytać się o wskazówki parlamentarnych rozpraw? Minister patrzy chłodno na bybryki poddanych władz policyjnych, choćby więc na skutek interpelacyi przyrzekł skarcić urzędnika, czy autor z przyrzeczenia tego obiecuje sobie dla nas jakiekolwiek pomyślne skutki? Czego Izba dla nas uczynić nie musi, nie uczyni, choćby Demostenes wstał z grobu. Oni idą wytkniętą drogą. Idą od lat.

Nie powstrzymały ich ugodowe upokorzenia posłów naszych, — dziś wdawać się z nimi w dyplomacye, to komedya nie godna stosunków, w których żyjemy, pełnych tragicznej grozy a zarazem bohaterskiego hartu. My dzisiaj nie chcemy opieki Izb ani opieki Centrum. Odnaleźliśmy siebie. Dziś oni za drogo okupywać muszą każdą choć najmniejszą zdobycz, aby nas zwyciężyć mogli. — Nam nie zależy dziś nic na zmianie antypolskiej polityki rządu. Jeżeli komu na tem zależeć powinno, to rządowi. Rozpalono u nas pożarne łuny nienawiści; — niech się palą! Zobaczymy kto pierwszy cofnie się z pola walki. Już poboczny rząd demoralizować poczyna ich szeregi. Czekajmy! —

Autor artykułu Kuryerowego wierzy, że jedynie „takt i powaga" posłów naszych da nam moralną przewagę. — Takt i powaga! — A więc niech idą posłowie nasi do Berlina i tam z miną salonowych dyplomatów z półuśmiechem opowiadają, że podobno jest kraj, w którym się niezupełnie dobrze dzieje. — U nas w domu wre i kipi, — a my jak śmiertelnie ranne błazny, może śmiać się będziemy, aby zabawić panów i wyżebrać łaskę.

Ton politycznej dyskusyi jest koniecznym wynikiem stosunków politycznych. Gdyby dziś Tadeusz Rejtan obnażał piersi i rzucał się u progu Izby, poczytanoby go za waryata, — wtedy czyn jego był nad wyraz pięknym i wzniosłym, bo odpowiadał okropnej sytuacyi. Gdyby posłowie nasi tonem obojętnej dyplomacyi opowiadali żale nasze, nie byliby godnymi, aby bronić sprawy naszej. Jeżeli jest w dyskusyi politycznej ton najsilniejszego oburzenia, to kiedy go używać jeżeli nie w obecnej chwili?! Dosyć mamy taktu i powagi. Wiemy, że nic nie osięgniemy od Izb, — ale niech mowy posłów naszych będą przynajmniej wiernem odbiciem tych uczuć, które my żywimy. — Niech będą dumni, bo i my jesteśmy dumni, ale niech nie proszą i nie tłómaczą, bo u nas niema człowieka, któremuby przeszła przez usta — prośba.

Vester.

Protest Koła polskiego przeciwko komisyi kolonizcyjnej.

Po żywych obradach w czwartek i piątek nad nowym projektem antypolskim, który przeznacza dodatki do pensyi urzędnikom w stronach polskich, w sobotę obradował sejm pruski nad etatem komisyi kolonizacyjnej. Centrowiec Stransbell i poseł wolnomyślny Kindler z Poznania oświadczyli się przeciwko osławionej komisyi, poczem poseł *Głębocki* odczytał w imieniu Koła protest przeciwko tej instytucyi, która jest podkopywaniem

zasad sprawiedliwości zagwarantowanych przez konstytucyę wszystkim obywatelom.

Za komisyą przemawiał pruski min. Podbielski i szereg posłów, między innymi p. Sieg, który mając na myśli pewnie sprzedawczyków, twierdził, iż zna wielu Polaków zadowolonych z komisyi! Etat komisyi przyjęto wbrew głosom Polaków, centrowców i wolnomyślnych.

Powyżej wzmiankowany protest Koła polskiego brzmi jak następuje:

„Etat komisyi kolonizacyjnej opiera się etatowo-prawnie na ustawach z dnia 26-go kwietnia 1886, 20-go kwietnia 1898 i z dnia 1-go lipca 1902.

Koło polskie rzeczone ustawy zawsze tak podczas ich powstawania jak i następnie podczas ich działania zwalczało z całą siłą i energią.

Słusznie protestowało przeciw ustawom, które nie są niczem innem jak niesłychanem naruszeniem podstaw równości obywateli w obliczu prawa i które tem samem łamią rękojmie, poręczone przez konstytucyą wszystkim obywatelom państwa.

Ustawy te, wykluczając wielką część obywateli państwowych, a mianowicie ludność polską w państwie pruskiem nie tylko od ekonomicznych dobrodziejstw kolonizacyi, ale nawet zmuszając też ludność do opłacania podatkami — kosztów wypędzania jej z gleby ojczystej, wytwarzają stósunki, podkopujące najprostsze zasady prawne i niegodne wogóle państwa prawa, państwa kulturnego.

Ale i ze stanowiska ogólno-ludzkiej moralności musimy z całą stanowczością potępiać ustawy, na które się tytuł I. dochodów przedłożonego nam etatu powołuje.

O ile bowiem chodzi o wykupywanie ziemi z rąk polskich, a o tę ziemię głównie tu chodzi, opiera się wykonywanie tych ustaw w praktyce na finansowych kłopotach poszczególnych jednostek i *na braku charakteru* z ich strony.

Trafnie też scharakteryzował tę okoliczność już w roku 1886 książę Bismarck, gdy przy uzasadnieniu pierwszej ustawy kolonizacyjnej w słynnem orzeczeniu swojem polecił dziedzicom polskim, którzy majątki swe sprzedadzą komisyi kolonizacyjnej, Monako jako raj, który ich czeka po sprzedaży gleby ojczystej.

Pod tym względem są rzeczone ustawy chyba unikatem w historyi ustawodawstwa wszystkich narodów kulturnych, są jaskrawym dowodem, dokąd prowadzi polityczne zaślepienie i narodowy antagonizm tych, którzy są w posiadaniu siły.

Nic innego bowiem jak stałe osłabienie i ostateczne wytępienie ludności polskiej w państwie pruskiem jest ostatecznym celem odnośnych ustaw kolonizacyjnych, wprawdzie wyraźnie nie wypowiedzianych, ale prawdziwym, nic innego jak zgermanizowanie i sprotestantyzowanie polskich dzielnic pruskiej monarchii jest ich ideą przewodnią.

Jako reprezentanci ludności polskiej, która porówno z wszystkimi innymi obywatelami państwa stale i wiernie pełni swe obowiązki względem państwa pruskiego, a której byt mimo to usiłuje się podkopać przez owe ustawy kolonizacyjne, oświadczamy niniejszem, że jak dotąd tak *i dziś potępiamy i zwalczamy ustawy kolonizacyjne i płynącą z nich działalność komisyi kolonizacyjnej.*

Czujemy się zarazem w obowiązku dać zapewnienie, *że siła życiowa i poczucie narodowe ludności polskiej,* która istnieje jak każdy naród, z Bożej łaski, w narzuconej jej walce o byt dostarczy dowodu, *jak płonnemi i bezsensowemi są usiłowania, dążące do zniszczenia takiego narodu,* nawet wtedy, gdy się ma możność i chęć używania w tej walce najsroższych środków przemocy państwowej.

W myśl wyżej określonego zasadniczego stanowiska naszego oświadczamy, że dobrowolnie nie weźmiemy udziału w dyskusyi nad finansową i gospodarczą działalnością komisyi kolonizacyjnej; nie uważamy za stósowne przyczyniać się do wykazywania *niezliczonych błędów* owej instytucyi, ani do naprawiania tych błędów.

Wnosimy o odrzucenie całego etatu komisyi kolonizacyjnej.“

„Polityka antypolska — partactwem.“

Mowa posła Głębockiego przeciwko dodatkowej pensyi dla urzędników niemieckich.

W czwartek i piątek zeszłego tygodnia toczyły się w sejmie obrady nad pozycyami, które ministeryum finansów wypłaci na zwalczanie polskości. Mimo smutnego stanu finansów rząd wyrzuca no te cele: 150 tys. mr. dla nauczycieli wyższych w Poznańskiem i Prusach Zach., 1350 tys. dla urzędników niższych, 300tys. na miasto Poznań, 2984 tys. na załogi wojskowe we Wrześni i Śremie, i 50 tys. na zamek królewski w Poznaniu.

Bardzo ostrej krytyce poddał tę ustawę poseł I. Głębocki, z którego ciętej mowy, podajemy kilka ważniejszych ustępów:

„Nigdy jeszcze *etat skarbu pruskiego* państwa nie był połączony tak ściśle z kwestyą polską, jak się to stało w tym roku. Chciałem powiedzieć: nigdy jeszcze etat skarbu nie był tak *polskim*, jak w tym roku. Obawiam się, że jeśli tak dalej dziać się będzie, cały etat pruski się *spolonizuje!*

(Objawy wesołości.)

Tak mości panowie, zwracam wam na seryo uwagę, że to bardzo łatwo może nastąpić, a czego nie życzycie sobie w naszej ojczyźnie, doczekacie się tego w Berlinie.

Mości panowie, dwudniową dyskusyą jeneralną wypełniła kwestya polska. We wszystkich mowach wygłoszonych z okazyi nowych żądań antypolskich, górowała kwestya polska. Nawet prezes ministrów w swej mowie etatowej dziesięciokrotnie dziękował ministrowi skarbu za to, że mimo smutnego stanu finansów pruskich, zdobył się jeszcze na tyle pieniędzy dla uprawiania antypolskiej polityki. Pan minister skarbu istotnie zasłużył sobie na takie uznanie, gdyż tegoroczny etat pozwala rozporządzać olbrzymią kwotą. Prócz dodatków pensyjnych dla nauczycieli, wynosi ona *11,444,000* marek.

(Słuchajcie! słuchajcie! u Polaków.)

Na tym samym prawie stanowisku stoimy wobec pozycyi, żądającej *50,000 marek na przedwstępne prace budowy zamku w Poznaniu.* Może byłoby interesującem dowiedzieć się, co za wieści doszły mnie o historyi powstania planu wybuwania w Poznaniu zamku. Opowiadano często, że ta myśl miała swój początek w inicyatywie socyalnych demokratów i Polaków, i to o tyle: jak panom zapewne wiadomo, zrobiono w roku zeszłym w parlamencie ze strony socyalnych demokratów propozycyę, aby Polacy, podobnie jak Alzacya i Lotaryngia, także ofiarowali zamek w prezencie...... Tę myśl przyjęli Polacy przychylnie, jednakże z tem zastrzeżeniem, że *chwilowo* nie są w stanie ofiarować zamku, gdyż takiego nie posiadają, że jednak *później* mogą być w możności to uczynić. A teraz twierdzą lekkomyślni ludzie, że dlatego pospieszono się z wybudowaniem zamku w Poznaniu, aby ewentualnemu darowi, o którym była mowa w parlamencie, zapobiedz. Stwierdzam te wieści, właściwie tylko dlatego, aby je zbić, osobiście nie daję im wiary.....

M. p., musimy zwalczać tę pozycyę i to z etatowo prawnych i formalnych powodów. Dotąd było prawem i zwy-

czajem, że wszystkie zamki królewskie budowano *z funduszu dóbr koronnych*, więc my żądamy, aby i koszta zamku w Poznaniu były pokryte z tego samego funduszu. Nie widzimy powodu, dla którego by w tym wypadku odstąpić miano od dotychczasowego prawnego i zwyczajowego sposobu traktowania podobnych spraw; my zaś nie możemy dać swego przyzwolenia na to wątpliwe żądanie, tem mniej, że wysokość tego wydatku nie da się dziś wcale oznaczyć, ani też dokładnie obliczyć. Sądzimy, że pruski etat, na którym cięży znaczny deficyt, należy oszczędzać od niepotrzebnych wydatków.

M. p., powoływaliście się bardzo często na historyę niemieckiego zakonu, na historyę krzyżaków; czyniliście to z dumą i pewnego rodzaju upodobaniem. Tę dumę rozumiem dobrze; gdyż krzyżacy są waszymi politycznymi przodkami.

Lecz m. p., jeżeli tak dokładnie znacie historyę krzyżaków, to będziecie także wiedzieli, że żaden naród na stosunkowo tak małym obszarze, nie zbudował tyle twierdz, tyle zamków, co krzyżacy w czasie swego rozkwitu. I co się stało? Wszystkie te zamki i twierdze nic nie pomogły; *zakon upadł*. Panowanie jego legło w gruzach — pomimo niezliczonych zamków — jedynie z tego powodu, że *nie umiał sprawiedliwie i z wyrozumieniem traktować ludności.*

(Bardzo słusznie- u Polaków!)

Mości Panowie! W projektowanym zamku upatrywać będziecie umocnienie rządów pruskich w Poznaniu. Rzuciwszy jednak równocześnie okiem wstecz na historyą waszych przodków politycznych, winnibyście panowie nabrać właściwie przekonania, że zamek podobny jest politycznie bez żadnego prawie znaczenia. Dlatego to powiadam: zamki same nie dokonają tego, czego pragniecie; a i projektowana rezydencya w Poznaniu nie usunie niezadowolenia i oburzenia od ludu polskiego, jeżeli równocześnie z rezydencyą nie zapanuje w Poznaniu prawo i sprawiedliwość wobec ludu polskiego.

(Bardzo trafnie! — na ławach polskich.)

Przeciwnie: jeżeli rezydencya stanie w Poznaniu bez asysty *cnót powyższych*, które wymieniłem, wówczas położenie może się nawet pogorszyć.

Przechodzę teraz do głównego punktu etatu skarbu, do dodatku dla kresów wschodnich, znajdującego się na środkowym punkcie ogólnego zajęcia.

Że dodatek wschodnio - kresowy przewyższa znacznie pod względem ważności i doniosłości politycznej wszystko co zresztą wstawiono w etat skarbu w interesie polityki wobec Polaków, to jest rzeczą jasną. I na nim wyciśnięto piętno wzmacniania niemczyzny, której nikt nie zaczepia. W rzeczywistości wywołają projektowane wydatki w pierwszym rzędzie bezpośrednie finansowe i moralne szkody dla ludności polskiej. Dodatki mają być rozdawane średnim urzędnikom kancelaryjnym i niższym urzędnikom. Ale polskich urzędników nie ma prawie wogóle już wcale, a jeśli Panowie znajdziecie tu i owdzie polskich urzędników, to są to urzędnicy, którzy wprawdzie mówią po polsku, którym atoli nie wolno być Polakami, którym nawet niekiedy zabroniono mówić po polsku w domu z żonami i dziećmi.

Ale, M. P., polityczny powód, który wywołał wstawienie tej pozycyi, pociągnie za sobą jeszcze większe bezpośrednie pokrzywdzenie i udręczenie ludności polskiej. Owe dodatki mają być zachętą dla urzędników do wiernego spełniania obowiązków. A obstaję przy tem, że już teraz — *w ogólności — zachodzi najcięższe szykanowanie ludności ze strony urzędników.*

Jeżeli o to chodzi, aby w dzielnicach polskich wytworzyć dzielny stan urzędniczy, to mogę powiedzieć otwarcie: My, Polacy, ludność polska ma jeszcze wiele więcej powodu do tego, aby pragnąć dzielnego stanu urzędniczego, aniżeli Niemcy, którzy tam mieszkają. Atoli dodatki dla kresów wschodnich nie poprą dzielności, tylko *korupcyą* urzędników.

(Wielka prawda! — w Kole polskiem.)

Przyznaję, że mowa cesarska w Poznaniu miała na celu uspokojenie polskiej ludności i w pewnym stopniu nadawała się do tego, ale, M. P., w okolicznościach istniejących i mianowicie w okolicznościach, jakie Panowie chcecie jeszcze wytworzyć, i najpiękniejsze mowy cesarza przebrzmią bez skutku. Byli wśród nas optymiści, którzy sądzili, że mowa cesarska nie jest niczem innem, jak powtórzeniem sławnej proklamacyi króla Fryderyka Wilhelma III. do Polaków. M. P., cieszyłbym się, gdyby tak było. Przypuszczając, że tak jest, dałbym przychylną radę, aby mowę cesarską nie tylko umieszczono na słupach ulicznych, lecz aby jeden z tych słupów proklamacyjnych postawiono w sali posiedzeń panów ministrów,

(Bardzo dobrze! — w Kole polskiem.)

aby panowie ministrowie mogli to w każdej chwili sobie uprzytomnić, czy oni i ich administracye respektują i szanują właściwości narodowe ludu polskiego i jego tradycye historyczne. Atoli wszystko, *co u nas się dzieje i dziać się ma, jest w przeciwieństwie do tego, co cesarz w swojej mowie powiedział i myślał.*

Minister skarbu mówił o pruskim orle, który ma teraz swoje skrzydła pokazać w Poznaniu, z zachwytem, z entuzyazmem i energią, nie bardzo mi zrozumiałą. Przypuszczam, że rzecz o pruskim orle przedstawiał tylko obrazowo, że nie chciał postawić jakoby kapelusz Gesslera orła pruskiego, któremu cała ludność polska miałaby się kłaniać. M. P., to też wcale nie byłoby potrzebne; *lud polski już skłonił głowę, ale nie przed orłem, tylko przed losem*, który go oddał pod panowanie pruskie; jemu musiał się poddać. Orła pruskiego znamy u siebie zbyt dobrze; nie potrzeba go nam żywego przedstawiać w Poznaniu.

Jego widok ani nie powiększy naszego poczucia obowiązków jako obywateli państwa pruskiego, ani *nie zmniejszy naszej — jako Polaków — świadomości narodowej.* A więc w sytuacyi nie może on nic zmienić, chyba sprawi to, że w polskiej ludności jeszcze żywiej obudzi *wspomnienie innego orła, białego orła.*

(Niepokój na prawicy).

M. Panowie, mogę Panów uspokoić tem, że nawet mowa cesarska ludności polskiej zezwala na historyczne wspomnienia!

Ludność polska będzie przeto spowodowana do żywej pamięci o orle białym, który całe tysiąc lat wzbijał skrzydła nad polskiemi krajami; za zrządzeniem bożem skrzydła jego są sparaliżowane i odpoczywa. Ale M. Panowie, orzeł pozostał białym i — nie ma na nim plamy!"

(Żywe brawo — w Kole polskiem).

Przeciwko wszechmocnej hakacie.

Najmiłościwsze rządy towarzystwa trzech liter stanęły kością w gardle samym kulturträgerom poznańskim. Przyszli oni do przekonania, że hakata stanowiąca rząd poboczny, narzucająca swoją wolę ministrom i trzymająca w kleszczach naczelnego prezesa W. Ks. Poznańskiego oraz całą tutejszą niemczyznę wytworzyła „na kresach wschodnich" stosunki wprost nieznośne.

Okazało się to jasno w znanej Czytelnikom naszym sprawie majora En-

fella i landrata v. Willicha, którego samobójcza śmierć, spowodowana waśniami w łonie hakatystów, zrobiła głębokie wrażenie.

„Posener Ztg.“ wystąpiła z artykułami o polityce na „kresach wschodnich,“ którym warto bliżej się przypatrzyć, aby dowiedzieć się, jakie zapatrywania na położenie rzeczy panują w obozie naszych wrogów.

Najpierw wytyka „Posenerka“ rządowi, że polityka jego wobec Polaków była w ostatniem dziesięcioleciu chwiejną, przez co według tejże gazety niemczyzna na kresach miała ponieść szkodę. A zatem „Posenerka“ nawołuje do polityki *„jednolitej, świadomej celu,“* jakby obecnie można rządowi robić zarzut, że jest chwiejnym. Tymczasem wszystko można zarzucić rządowi, ale nie brak jednolitej polityki antypolskiej.

Toż rząd coraz to nowe uchwala miliony na tępienie żywiołu polskiego, spuszcza deszcz złoty na popleczników hakatyzmu, „wzmacnia“ niemczyznę nieustannie, a ministrowie z hr. Bülowem na czele przy każdej okazyi wygrażają pięścią Polakom niby najprawowierniejsi hakatyści i zaprzysięgają, że nie odstąpią od polityki antypolskiej, zapoczątkowanej przez Bismarcka. Rząd daje posłuch wszystkim chociażby czczym i najniedorzeczniejszym zachciankom wrogów naszych, więc jakże można pomawiać rząd o brak jednolitości i świadomości celu?

Ale „Posenerka“ pragnie zapewne przez to zaznaczyć tylko, że stoi wiernie po stronie hakaty — chociaż wszechmoc rządu pobocznego uważa za nieodpowiadającą interesom germanizatorów.

Aby polityka antypolska była jednolitą i świadomą celu — poucza ministrów organ poznański — rząd nie powinien pozwolić na to, aby rząd poboczny grał mu na nosie. Z drugiej strony „ludzie stojący na czele Osmarkenvereinu powinni widzieć swój cel w *służeniu radą* rządowi, ale nie powinni posuwać się tak daleko, by prowadzić politykę na własną rękę i utwarzać rząd poboczny.“

Z takiem upomnieniem zwraca się „Pos. Ztg.“ do hakaty, ale możemy jej śmiało wywróżyć, że hakatyści za jej radą nie pójdą, lecz nadal będą uprawiać własnę politykę i narzucać ją rządowi. Bo zdemoralizowane przez rząd za pomocą pieniędzy wyrzucanych na „wzmacnianie“ niemczyzny zastępy pruskie nie wyrzekną się same władzy, jaką im dały okoliczności, a żaden z ministrów nie ośmieli się też targnąć na tę ich władzę. Rzeczy bowiem doszły do tego, że ministrowie drżą przed hakatyzmem. Gabinet pruski składa się z ludzi bez wybitnego charekteru, z powolnych sług korony, która innych ministrów przy sobie nie znosi, więc przypuszczenie, aby który z ministrów miał wyzwolić się z pętów hakaty — jest wykluczone.

My, Polacy przyglądamy się spokojnie jak hakata dokazuje nad rządem, wytwarzając ferment pomiędzy niemczyzną tutejszą, i jak „żre się między sobą o żer,“ który rząd tak hojnie jej rzuca. Przez tę gospodarkę hakatystów — jak stwierdza „Posenerka“ — *pomiędzy Niemcami zachwiała się ufność w rząd,* co rząd sam musi sobie przypisać. Niemoralna polityka antypolska *mści się na nim samym, bo odstręcza od niego nawet tych, którzy tuczą się przy jego antypolskiej polityce.....*

Artykuły „Posenerki“ mają zawierać też wskazówkę nietylko dla ministrów, ale i pod adresem nowego naczelnego prezesa pana v. Waldow, który obecnie krzepi swe siły do przyszłych wielkich czynów w Meranie, w Tyrolu, i przybędzie do Poznania około Wielkiejnocy. Ofiarą niesnasek pomiędzy hakatą padł pan Bitter, „Posenerka“ przeto zwraca panu Waldow uwagę na niebezpieczeństwo, jakie i jemu zagrażać będzie ze strony „rządu pobocznego.“ Czy nowe naczelny prezes potrafi wywijać się pomiędzy jednem a drugiem skrzydłem hakaty, zadowolić obie strony i wznieść się ponad Ostmarkenverein?

Nie zapanuje jedność pomiędzy tą rozzuchwaloną tłuszczą polakożerców, bo utożsamiają oni swoje osobiste interesy z interesami niemczyzny, i nie wstąpi w tutejszą niemczyznę inny duch, póki będzie hołdować nikczemnemu hasłu: ausrotten!

Lector.

Pod adresem

Komitetów wyborczych.

Jak według przysłowia „i ślepa kura nieraz ziarno znajdzie“ — tak i rząd pruski lub niemiecki czasem zdobędzie się przypadkowo na coś, co i Polakom oraz sprawie polskiej na dobre wyjść może. Uczynkiem takim jest najnowsze postanowienie rządu, aby *tajność wyborów do parlamentu* zabezpieczono jeszcze... specyalnemi kopertami.

Te koperty nie są bynajmniej oryginalnym pomysłem rządu niemieckiego. Środka takiego dla lepszego jeszcze zabezpieczenia tajności wyborów domagały się już od dawna demokratyczne stronnictwa parlamentu niemieckiego, a także Koło polskie. Rząd z początku o takim środku ani słuchać nie chciał i już przypuszczano, że żądanie owych stronnictw nigdy nie zostanie spełnione, gdy oto nagle i niespodziewanie, pod koniec obrad nad taryfą celną ku ogólnemu zdumieniu kanclerz hr. Bülow zapowiedział, iż już przy przyszłych, to jest tegorocznych wyborach koperty takie rozdane zostaną i wejdą w użycie. Była to odpowiedź rządu na pogłoski i podejrzenia, że zamierza *okroić* powszechne prawo głosowania.

Co hr. Bülowa i kolegów jego w rządzie skłoniło do tak walnego ustępstwa na rzecz wolności i tajności wyborów, to i dziś nie jest jeszcze należycie wyjaśnione, choć dużo mądrych ludzi nad rozwiązaniem tej „kwestyi“ głowę sobie łamało. Cechę prawdopodobieństwa mają jednakże dwie wersye. Według jednej rząd pragnął uspokoić wzburzoną obradami nad taryfą oraz pogwałceniem wolności głosu w parlamencie opinię szerokich kół niemieckich i pokazać, że nie jest tak czarnym, jak go wówczas malowano; według drugiej zamierza zmniejszyć... liczbę głosów socyalistycznych.

Jakże to możliwe — zapyta zapewne niejeden z czytelników — przecież takie upewnienie tajności wyborów chyba tylko pomnożyć może szeregi stronnictwa przewrotu, gdyż przyłączy się do niego teraz przy wyborach wielu takich, którzy z rozmaitych przyczyn dotychczas obawiali się rzucać do urny kartkę na socyalistycznego kandydata. I my tak sądzimy, rząd atoli mniema podobno, iż wielu robotników nie głosowałoby na socyalistę, gdyby nie obawiało się *zemsty* socyalistycznych towarzyszów. Upewnienie tajności wyborów ma więc — według intencyi rządu — ochronić niesocyalistycznych wyborców od teroryzmu socyalistów. Mylność tego mniemania okażą zapewne już tegoroczne wybory — lecz łatwo być może, że rząd rzeczywiście tak się jeszcze łudzi.

Lecz mniejsza o to — z jakich motywów rząd zdecydował się nareszcie na ten krok ważny. Dziś cofnąć go już nie może, więc trzeba go wziąć w rachubę i... należycie *wykorzystać.*

Rzecz z kopertami ma się tak

Każdy wyborca, przystępując do stołu wyborczego otrzyma od zasiadającej za nim komisyi kopertę z wielkim orłem cesarskim wewnątrz pomalowaną na czarno, aby nie można przejrzeć, co się w niej znajduje. Z tą kopertą w ręku wstąpi potem do osobnego pokoju lub przedziału w lokalu wyborczym zasłoniętego szczelnie przed wzrokiem wszelkiego rodzaju „ciekawskich", tam wyjmie z kieszeni swoją kartkę, włoży do koperty, zaklei ją i dopiero zaklejoną wrzuci do urny. Nikt przeto nie będzie wiedział jaką kartkę wyborca oddał, bo nikt nie będzie miał prawa wejść z nim do owego oddzielnego lokalu, nawet dwom wyborcom nie będzie wolno *równocześnie* w nim przebywać. Koperty zaś będą miały wygląd zupełnie jednakowy.

Przyznać trzeba że jest to wprost *idealny* sposób zabezpieczenia wolności i tajności wyborów, na jaki żaden jeszcze kraj i rząd się nie zdobył. Dotychczasowe kartki takiej gwarancyi nie dawały. Wiadomo przecież, że ci, którzy dla własnej korzyści pragnęli wywrzeć nacisk na zależnych od siebie wyborców, potrzebowali tylko swoim kartkom nadać kształt i kolor nieco odmienny lub innym jakim opatrzyć je znakiem, a już mieli łatwa kontrolę, o ile ci zależni biedacy ulegli ich naciskowi. Wiadomo dalej, że robotnikom polskim pod niemieckimi panami często w ostatniej chwili wciskano do ręki kartki na niemieckich kandydatów, poczem pędzono ich pod dozorem „inspektorów" lub włodarzy do lokalu wyborczego i kazano wrzucać do urny tylko te kartki.

Te gwałty ustaną teraz. Pracodawcy oraz ich oficyaliści nie będą już mogli podpatrywać, na kogo ich robotnicy głosują.

Na szczęście nie potrzebujemy być rządowi wdzięczni za to doskonałe zarządzenie, bo po pierwsze, spełniał on przez nie tylko swój obowiązek, który nakłada nań *konstytucya*, a po drugie nie uczynił tego bynajmniej z jakiejś miłości lub życzliwości dla nas — lecz jedynie we własnym, chociaż może, źle zrozumianym interesie. Nam pozostaje tylko *wyzyskać* to zarządzenie.

Dotychczas atoli nasze władze wyborcze, czy to prowincyonalne czy też powiatowe nie zabrały się do tego. Manipulacya z temi kopertami jest bądź jak bądź dla prostaków niezbyt łatwa, i rozmaite pomyłki nie są wykluczone. Należałoby więc zawczasu praktycznie pouczać zwłaszcza mniej wykształconych i wyrobionych wyborców, *jak postępować mają*. Dokazać zaś tego można przez *wydanie popularnej instrukcyi drukowanej* i rozrzucenie jej w tysiącach egzemplarzy po wszystkich miastach i wioskach, oraz *przez wiece parafialne* ad hoc zwołane (powiatowe lub okręgowe nie wystarczą na ten cel), lub ustanowienie odpowiedniej liczby *instruktorów* w każdej miejscowości. Byłoby to bowiem grzechem nie do darowania, gdybyśmy wskutek zaniedbania tego obowiązku chociaż kilka głosów stracić mieli. Dziś możemy *skupić je wszystkie na polskich kandydatów i w ten sposób w części chociaż powetować klęskę przy ostatnich wyborach.*

Komitety wyborcze powiatowe zawczasu też postarać się winny o potrzebną na wszelki wypadek *liczbę polskich kartek* i o rozdanie ich między wyborców. Każdy nawet najbardziej zależny urzędnik i robotnik Polak powinien mieć w dniu wyborów polską kartkę w kieszeni. Wówczas z najniewinniejszą miną może wziąść niemiecką kartkę, wejść z nią do lokalu odosobnionego, tam atoli włożyć do koperty *polską* i *polską* w niej wrzucić do urny. Nikt o tem nie będzie wiedział, nikt więc za to nie będzie mógł się mścić

Wybory do parlamentu odbędą się już w *czerwcu*. Najwyższy tedy czas zająć się tą sprawą i przygotować wszystko. *Z pięciu markami w kieszeni* — jak np. u komitetu *inowrocławskiego* — nie będzie można dokazać tego — zawczasu tedy należy także *zbierać fundusze wyborcze!*

Czujny.

Z TYGODNIA.

Polityka obecnego gabinetu *francuzkiego* zmierza mimo chwilowych zboczeń wyraźnie do zupełnego zgnębienia *Kościoła katolickiego we Francyi.* Pierwszym etapem na drodze do tego celu było rozpędzenie zakonów i kongregacyi francuzkich, dokonane już niemal całkowicie. Tydzień temu bowiem uchwaliła francuzka Izba poselska na wniosek stronników rządu odrzucić bez dyskusyi podania o autoryzacyą wszystkich tych zakonów i kongregacyi, które zajmują się kształceniem i wychowaniem młodzieży. Większość za tą uchwałą nie była zbyt imponująca: przyjęto ją 300 głosami przeciwko 250 — ale to faktycznego stanu rzeczy nie zmienia. Dość że wydala ona z kraju te jeszcze kongregacye, które dobrowolnie go dotychczas nie opuściły, lecz pozostać w nim pragnęły — a pozostawia jedynie kilku, zajmujących się wyłącznie pielęgnowaniem chorych. Wydaleniu ulegną między innemi także Ojcowie z Lourdes, opiekujący się tamtejszemi miejscami cudownemi. Drugim etapem będzie teraz *zerwanie konkordatu z Rzymem.* Wypowiedziano to już otwarcie na jednem z ostatnich posiedzeń senatu. „Pan Combes" — przestrzegał wprawdzie, że na taki krok radykalny jeszcze nie pora, że umysły szerokich kół nie są jeszcze do takiego przewrotu należycie przygotowane — w zasadzie jednakże godził się na te śmiałe zapędy swych stronników. Urządzi się on zapewne tak, iż sam nie wystąpi z dotyczącym wnioskiem, lecz pozostawi to stronnictwom rządowym. Wówczas będzie mógł powiedzieć, że spełnia tylko wolę większości narodu. W ten sposób zrzuci z siebie część odpowiedzialności za krok, którego skutków absolutnie dziś jeszcze przewidzieć nie można. Nie ulega wątpliwości, że zerwanie konkordatu z Rzymem wstrząśnie do głębi całą Francyą. Z tem atoli nie liczą się dziś ci, którzy dorwawszy się tam do władzy, pragną jedynie dogodzić osobistej swej nienawiści do Kościoła i religii.

Oczy świata politycznego zwróciły się znów w ubiegłym tygodniu na kraj *madziarski* — i to z dwóch przyczyn. Po pierwsze była o nim mowa w *parlamencie niemieckim*, powtóre w stolicy Węgier w Budapeszcie przyszło do krwawych rozruchów. Wiadomo, że Węgrzy prześladują w okrutny wręcz sposób inne narodowości, które los oddał pod ich władzę. W madziaryzacyjnych swych usiłowaniach nie czynią zaś różnicy między Słowianami a osiadłymi na Węgrzech Niemcami. Ironia losu zrządziła, że na tych ostatnich spadały w ubiegłym roku takie same ciosy, jakie my znosić musimy z ręki Niemców. To oburzyło do żywego wszechniemieckie i hakatystyczne koła w Niemczech. Wychodzą one przecież z tej zasady, że tylko Niemcom wolno gnębić innych, Niemcy zaś wszędzie powinni być nietykalni. Prasa wszechniemiecka coraz częściej też nalegała na rząd, ażeby ujął się za tymi prześladowanymi przez Madziarów rodakami. Gdy zaś nawoływania te w gazetach nie odniosły skutku, wystąpił w ubiegłą środę z żądaniem takiem

w parlamencie niemieckim [illegible] niecki poseł profesor Hasse, notabene wielki wróg Polaków i Słowian. Odpowiedź atoli, jaką otrzymał z ust Bülowa, nie zupełnie go zadowoliła.

A jednak, była to odpowiedź, którą warto zapisać w kronice dziejowej jako nowy pomnik przebiegłej polityki Prus i Niemiec. Słuchając wywodów Bülowa, zdawało się, że to echo „polityki starych Krzyżaków, „wielkiego“ Elektora, Fryderyka II — no i Bismarcka. Rząd Niemiecki — wywodził Bülow — nie ujmie się za Niemcami na Węgrzech, bo nie chce sobie zrazić „*szlachetnego*“ narodu węgierskiego. Naród ten jest Niemcom potrzebny i dla tego przyjaźń jego bardzo pożądana. Wobec faktu, że w monarchii austryackiej *Słowianie* coraz śmielej podnoszą głowę, obawiać się muszą Niemcy nowego niebezpieczeństwa z tej strony. Pożądanym więc jest dla nich tam na wschodzie naród, który podobnie jak Niemcy gnębi Słowian. Niechże gnębi ich jaknajsrożej, niechże na żywych ciałach słowiańskich funduje silne „*narodowe*“ państwo węgierskie. Państwo to nigdy nie stanie się niebezpiecznem dla Niemiec, ponieważ otoczone ze wszech stron Słowianami, *musi* szukać oparcia o świat germański. Więc już z tej przyczyny trzeba zamknąć nieraz oczy na prześladowanie Niemców na Węgrzech. Gdzie chodzi o cel tak doniosły, tam na drobne krzywdy i nieporozumienia nie wolno zważać. Tak mniej więcej mówił hr. Bülow. Na dowód zaś że i „wielki jego poprzednik, Bismarck, podobnie zapatrywał się na stosunek Niemców do Węgier, odczytał Bülow niektóre dotyczące tych spraw akta z czasów „żelaznego księcia“. Dowiedziano się z nich, że on kilkakrotnie, ale w bardzo delikatnej formie podsuwał Węgrom myśl, ażeby cały swój furor madziaryzacyjny wylewali na Słowian, a Niemcom dali spokój. Gdy już ze strony węgierskiej odpowiedziano na to, iż nie można przecież czynić różnicy między jednymi a drugimi, bo by to sprzeciwiało się „sprawiedliwości“ i „bezstronności“ — kanclerz zauważył: „Tak na bezstronność zapatrywać się może *sędzia powiatowy, ale nie polityk*.“ Jakiż to świetny dokument „zasad Bismarcka“! Wynika z niego, że według jego zdania należy być sprawiedliwym i bezstronnym tylko w rzeczach małych, w wielkich zaś wolno gnębić i maltretować słuszność i sprawiedliwość...

Dziwnym zbiegiem okoliczności padły w Berlinie te słowa uznania dla Węgier właśnie w chwili, gdy węgierskie stronnictwo niezawisłości wywołało w stolicy groźne demonstracye *przeciwko wspólności państwowej z Austryą* i przeciwko dynastyi *Habsburgów*. To też przykre wrażenie wywołały one w Wiedniu, no i nie wesołe rozmyślania na temat — wierności sprzymierzeńca niemieckiego...

W *Anglii zanosi* się na zmianę gabinetu. Po raz czwarty już w przeciągu roku upadł tam przy wyborach uzupełniających kandydat rządowy, a zwyciężył opozycyjny. Dowód to, że Anglicy nie są zadowoleni z obecnego gabinetu, który nie jest ani wyraźnie konserwatywny ani liberalny. Głośno też mówią już o tem, że dni jego są policzone i że niebawem wypłynie na stanowisko kierownika losów Anglii — *Joe Chamberlain* — według jednych zły duch — według drugich mąż opatrznościowy Anglii. W Niemczech zmiany takiej bardzo się obawiają.

Ubiegły tydzień przyniósł nam znowu walną *polską dyskusyą w sejmie pruskim*. Przy obradach nad nowemi antipolskiemi przedłożeniami wystąpił tam dwukrotnie poseł *Głębocki* i w sposób świetny, porywający, druzgocący przeciwników, przedstawił całą przewrotność polityki antipolskiej i słuszność naszej sprawy, zapewniał przytem, że nawet najsroższe wysiłki rządu pruskiego zgnębić nas nie zdołają. Mowa ta wywołała prawdziwe przerażenie po stronie rządu i większości nam przeciwnej. Minister *Rheinbaben*, który usiłował — jakkolwiek bez skutku — odeprzeć oskarżenie mówcy polskiego, oświadczył, że podobnych słów nie słyszał nigdy jeszcze sejm pruski! O walce tej piszemy na innem miejscu obszerniej, tu tylko zaznaczymy, że takie jedynie występy polskich posłów mogą jeszcze sprawić wrażenie w Berlinie i *przysłużyć się sprawie naszej!!*

K. O.

Przegląd prasy.

„Dziennik Poznański“ zamieścił obszerną korespondencyę z Warszawy, poświęconą ostatniemu manifestowi carskiemu. Korespondent zaznacza przedewszystkiem „enigmatyczną redakcyę“ manifestu, dającą możność tłumaczenia go w najrozmaitszy sposób. Na podstawie napomknień prasy rosyjskiej i komentarzy prywatnych dochodzi do wniosku, że najprawdopodobniejszą jest wersya, upatrująca w manifeście zapowiedź owej „parodyi konstytucyi“, którą, jak przed kilku miesiącami ogłosiły pisma zagraniczne, obmyślił p. Plewe. Jak pamiętają czytelnicy, zasadza się ona na utworzeniu przy radzie państwa Izby niższej z głosem doradczym, złożonej z wyższych urzędników i przedstawicieli ziemstw. Co do znaczenia zamierzonej reformy dla nas, korespondent „Dziennika“ powiada:

> „Co do nas zaś, to jako, dla nieposiadających samorządu pod żadną formą, ani ziemskiego, ani miejskiego, zamierzona ta reforma wcale nas nie dotyczy. Mówię tu nietylko o Królestwie Polskiem, w dzisiejszych jego granicach, ale i o prowincyach litewskich, Wołyniu, Podolu i Ukrainie, czyli jak się to oficyalnie nazywa, o kraju północno-zachodnim i południowo-zachodnim. Kraje te bowiem, jakkolwiek posiadają t. zw. samorząd szlachecki, reprezentowany przez marszałków szlachty, wprawdzie wybieralnych, ale zatwierdzanych przez rząd, nie posiadają jednak wcale samorządu powiatowego lub gubernialnego, t. j. ziemstw. Dopiero gdybyśmy samorząd podobny dostali, moglibyśmy brać udział w projektowanej reprezentacyi ziemskiej, scentralizowanej w jednę całość, a przypominać mającej w przyszłości rodzaj Izby niższej przy istniejącej już Radzie państwa, jako Izbie wyższej.“

Ze spraw najbliżej nas leżących zajmują nas najżywiej *wybory*. Wobec *tego*, niemałe wrażenie zrobiła wiadomość, którą gazety zanotowały tylko pokrótce jakby nie dawały jej wiary, — że „w okręgu wyborczym skwierzyńsko-szamotulsko-obornickim centrum postawiło własnego kandydata, fabrykanta p. Genge z Skwierzyny.“ „Dzien. Pozn“. zapytuje:

> „Czy to prawda, że centrum istotnie wystąpi z własnym kandydatem w okręgu, który reprezentuje Polak?“

Jeżeli wiadomość ta sprawdzi się, będziemy mieli wymowny dowód „przyjaźni“ centrowców do Polaków, o którą mimo wszystko ubiegają się jeszcze u nas pewne żywioły. Że katolicy niemieccy hołdują także hakatyzmowi, że nie czynią zadość aż nadto bardzo słusznym życzeniem naszych rodaków w Westfalii i Nadrenii — są to rzeczy dobrze wiadome, niemniej jak to, że w izbach wypierają się jawnie wszelkiej życzliwości, ale *„Kur. Pozn.“* ubolewa nad ostrym tonem mowy naszego posła p. *Głębockiego* jakby lękał się, że zrazi się i podrażni centrum. W dziennik tym czytamy:

> „Ogółem wziąwszy jednak popadanie z naszej strony w ton i sposób przemawiania skrajnych hakatystów w Izbie przeciw nam trzebaby nazwać stanowczo dla naszej sprawy niekorzystnem. Nie wiele wogóle możemy zyskać na terenie berlińskim. Jedno wszakże powinniśmy zawsze sobie zachować t. j. stanowisko *pełne taktu i powagi*, (?) które choć materyalnie jesteśmy znikającą mniejszością, daje nam jednak moralną przewagę nad potęgami, z któremi mamy tam do czynienia.“

Tą receptą dla posłów zajmujemy się na innem miejscu; tu nadmienimy tylko, że ów zachwalany *takt* i owa *powaga* skłaniają pruskich junkrów w sejmie albo do ucieczki z izby albo do drzemki i nie wywierają najmniejszego wrażenia, tak iż posłowie nasi są niemal *zmuszeni* przez samych Niemców występować ostro. W tych warunkach nie może być mowy o jakiejś moralnej przewadze.

Wiece w Westfalii dowodzą, że lud nasz doskonale rozumie jakich to „przyjaciół" mamy w centrowcach. Na wszystkich bowiem zebraniach mówcy prawie bez wyjątku oświadczyli się przeciwko Centrum. Na *ogólnym wiecu w Bochum* wypowiedziana zasadę — jak czytamy w „*Dzien. Pozn.*" — że

„nikt nie ma prawa żądać od Polaków, aby głosy oddawali kandydatom niemieckim, dopóki sami nie zdecydują się na to z ważnych powodów.

„Wyrażając zaufanie najwyższej swej władzy wyborczej, proszą wiecownicy, aby *nie zobowięzywała się do poparcia centrum*, dopóki centrowcy nie wyrzekną się kandydatur na ziemi polskiej i dopóki władze duchowne nie wydadzą zadowalniających rozporządzeń w sprawie opieki duchownej nad Polakami, przygotowywania dzieci polskich do Sakramentów św. w języku polskim.

„Gdyby centrowcy warunki odrzucili, pragną wiecownicy *głosować na rodaków.*"

W odpowiedzi na znaną Czytelnikom naszym deklaracyę *Tow. wyborczego na Śląsku „Katolik"* słabo się broni: mówi długo o dawych zasługach „Katolika," rozwodzi się nad brakiem kwalifikacyi kandydatów partyi narodowej, ale z zarzutów czynionych nie oczyszcza się i nic nie przeciwstawia narodowcom. W artytule rozbierającym deklaracyę pisze bytomski organ:

„Szkoda czasu i atłasu na to, aby stwierdzić, czy narodowo odrodzonych jest kilka tysięcy, czy też kilka tysięcy i parę set. Ale nawet tego towarzystwo przy wyborach nie osięgnie, ponieważ głosy padające na jego kandydatów, nie będą jedynie głosami narodowo uświadomionych, lecz wszystkich, którym „Górnoślązak" wmówił, iż kandydat centrowy jest lichy, niezdatny, za podatkami będzie głosował, z panami trzyma i wiele innych rzeczy, które z sprawą narodową nie mają styczności. Po wyborach będziemy więc co do liczby narodowo odrodzonych akurat tak daleko, jak teraz."

Przytoczyliśmy ustęp ten, gdyż okazuje się z niego, że „Katolik" nie chce rozumieć, co znaczy zatknięcie polskiego sztandaru przy wyborach. Jest to zarazem próbka obrony „Katolika."

Pocieszającym objawem jest, że pewien *ksiądz śląski* poszedł w ślady ks. Skowrońskiego i śmiało wystąpił w „*Gazecie katolickiej*" w obronie polskiej nauki katechizmu, gdzie między innemi czytamy:

„Od początku swojego istnienia — pisze ks. prob. *Loss* z Pawłowic — odzywał się Kościół i odzywa się do dzisiaj do narodów ziemskich po swojemu czyli w ojczystym ich języku. Ta praktyka doświadczoną jest od wieków, tak że wszelkie nowości przeciw niej podejmowane *stanowczo potępiać należy.* — Sprawa stała się gorącą obecnie i u nas na Śląsku, szczególnie tam, gdzie w parafiach polskich w nauce przygotowawczej do spowiedzi św. zaprowadzono *język obcy, niemiecki.*"

W *Poznańskiem* mieliśmy dwa *wiece:* w Żninie i w Buku. W pierwszym z tychże poseł dr. *Komierowski* zdawał sprawę z czynności Koła. Wiec w *Buku* miał charakter dość nieprzychylny obecnemu przedstawicielowi p. szamb. Cegielskiemu, dlatego, że głosował za cłami. Jeden z mówców polecał kandydaturę dr. F. Niegolewskiego, a inni sprzyjali mu także.

Policya poznańska spełniła znowu wielkie dzieło w imię obrony państwa: rozwiązała świeżo zawiązany *„Związek zawodowy kobiet,"* który poczynał się rozwijać pomyślnie. W piśmie do przewodniczącej p. Janiny Omańkowskiej podaje policya za powód to, że na kilku posiedzeniach miano *rozprawiać o sprawach politycznych.*

Gdyby nie udało się uzyskać zniesienia tego rozporządzenia na drodze sądowej, powstanie nowy związek.

Prezydent komisyi kolonizacyjnej p. dr. Wittenburg opuścił swe stanowisko, a następcą jego ma zostać landrat międzyrzecki p. Blomeyer. Pisząc o bankiecie na cześć doktora W. „*Dzien. Berl.*" dodaje:

„Polacy kolonizatorzy powinni właściwie uczcić tyle zasłużonego około nich prezydenta Wittenburga bankietem pożegnalnym."

Ważny wyrok zapadł w sprawie Kółka rólniczego w *Rosku,* przy którego założeniu zjawił się landrat i żądał, aby obrady prowadzono po niemiecku! Ostatecznie komisarz *rozwiązał* zebranie, podając jako powód używanie na niem języka polskiego! P. patron Chłapowski wniósł skargę najpierw do wydziału powiatowego — bezskutecznie, dalej do prezesa rejencyi — również bezskutecznie, wreszcie do najwyższego sądu administracyjnego. Trybunał ten — jak pisze „*Dzien. Pozn.*"

„doszedł do wyroku, który bardzo dodatnio świadczy o wielkiej jego niezależności wobec rządów prawdziwego i hakatystycznego.

„Wśród natężonej uwagi słuchaczy odczytał prezydent dr. Peters wyrok nazywający rozwiązanie zebrania w Rosku *bezprawnem, i skasujący prezesa rejencyi na koszta postępowania sądowego,* którego objekt obliczył na 500 marek."

„Co do zapatrywania prof. Zorna na sprawę języka państwowego, to wychodzi on z założenia, że według konstytucyi pruskiej językiem państwowym jest język niemiecki. Językiem państwowym jest ten język, którego państwo każe używać swoim organom. Z tego jednak *nie* wynika, *jakim* językiem winni się posługiwać *obywatele państwa* między sobą na swoich zebraniach."

„Wyrok powyższy zawiera w sobie drastyczne potępienie samowoli czynników rządowych względem ludności polskiej a zarazem surowe skarcenie znanych ogólnie wpływów, któreby chciały sąd administracyjny zamienić na narzędzie powolne każdorazowej racyi stanu."

B. M.

Głosy od przyjaciół.

Czempin, 10 marca.

nie spotkałem w „Pracy" korespondencyi z Czempina. Zwykle też nie wiele donieść można z naszego miasta. W ostatnich czasach jednak uderzył mnie niemile fakt, na który chcę zwrócić uwagę.

Łaskawa „Praco"! Nigdy jeszcze

Przed kilku miesiącami urządziła pewna obywatelka, Niemka, wycieczkę do Piechanina z dziećmi, które uczyły się u niej robótek ręcznych. Za owemi dziećmi podążyła też nasza czempińska inteligencya składająca się z pań i młodzieży. Jak się tam bawili, nie wiem, ale gdy wracali, wyszedłszy w tę stronę na przechadzkę, usłyszałem śpiew. Okazało się, iż śpiewano: „Ich bin ein Preusse", „Deutschland, Deutschland über alles" i t. d. a — panny i młodzież polska wtórzyła im. Czy tak słabe poczucie narodowości polskiej tli się w sercach naszej młodzieży?! Zdaje się niestety, bo nie dość na tem, że na niemieckiej wycieczce Polacy wyśpiewywali pieśni narodowe niemieckie, ale powtórzyło się to także na polskiej zabawie.

W niedzielę dnia 25-go stycznia odegrali powtórnie amatorowie sztukę: „Magdalena" i wywiązali się z swego zadania bardzo dobrze. Po przedstawieniu zaczęła się zabawa z tańcami.

Po niejakim czasie doszły mnie dźwięki jakiegoś niemieckiego tanca. W pierwszej chwili sądziłem, że muzykańci są Niemcami i nie umieją polskich tańców, ale wnet rozległ się

także śpiew niemiecki. Dowiedziałem się, że nie było nikogo, któryby kierował zabawą a z muzykantów trzech jest Polakami a dwóch Niemcami. Niebawem poczęli oni znowu wyśpiewywać niemieckie liedry, a wielu gości wtórzyło im. Jakaś obywatelka Polka, (pani St. S.) i dwóch młodych ludzi na cały głos śpiewało: O Jeruzalem, Jeruzalem, das verfluchte Loch i t. d. Serce mi zakołatało! Do tego to posunęła się młodzież czempińska!

Czy już im wywietrzały z głowy te piosnki, które im matka przy kolebce śpiewała? O, zapewne nie, tylko się niemi brzydzą, bo im milsze te germanizatorskie śpiewki o „Gottliebach i Frycach.“ Wstyd i hańbę robicie całemu obywatelstwu czempińskiemu! A nasz zacny proboszcz, który jako Polak, świeci przykładem, wciąż Was nawołuje do trzymania się tego, co od samego Boga odebraliście tj. wiary świętej i mowy ojczystej. Zatem porzućcie te wstrętne śpiewki a niech w polskiem kole zabrzmią te pieśni, które śpiewali wasi ojcowie. Kończę mój list z tem przekonaniem, że słowa moje zastanowią młodzież naszą i wpłyną na zmianę.

Abonent „Pracy.“

* * *

***Bremen,* dnia 1 marca 1903.**

Walne zebranie naszego „Towarzystwa Polskiego „Kościuszko“ odbyło się dnia 1-go marca na sali pana Schüttego w Marienburgu. W obecności 20 członków zagaił prezes walne zebranie i odczytał porządek dzienny. Przewodniczącym obrano p. F. Pasikowskiego, potem zaśpiewano staropolskim zwyczajem pieśń: „Boże coś Polskę.“ Następnie zarząd zdawał sprawozdanie ze swej czynności. Z aktów skarbnika wykazało się, że po- [illegible] kasie i na książce 306,60 mr. Towarzystwo abonuje 3 gazety tj. „Pracę“, „Gońca Wielkopolskiego“ i „Gazetę Gdańską.“ Z sprawozdania sekretarza dowiedzieliśmy się, że Tow. odbyło 10 zwyczajnych zebrań; do Tow. wstąpiło 4 członków, Tow. sprawiło 3 książki (Wojsko polskie, i dwa dziełka sztuk teatralnych) urządziło 2 zabawy z teatrem oraz gwiazdkę, przy której zaśpiewano wspólnie: „W żłobie leży“ i wygłoszono różne deklamacye. Z sprawozdania bibliotekarza wynika, że biblioteka posiada 50 książek, obrazy ścienne, (Królów polskich, Kościuszki i t. d.) Następnie przystąpiono do wyboru zarządu, w którego skład wchodzą teraz: pp. I. Stachowiak, prezes, R. Bartosik, zast. K. Tamas, skarbnik, W. Bernad, zast. J. Staslak, sekretarz, F. Pasikowski, zast. Leppert bibliotekarz, W. Maciejewski, zast. W. Mikołajczyk i J. Zawadzki ławnikami. W końcu zabrał głos nowo obrany prezes i dziękował Tow. za przykładne zachowanie w Tow. i zachęcał, aby członkowie gorliwie pracowali nad rozwojem Tow. a w domu uczyli dzieci swoje czytać i pisać po polsku. Na tem zamknął przewodniczący walne zebranie.

Listy do Tow. nadsełać należy pod adresem: Wny P. Szütte, Marienburg, Stefensweg nr. 88. w Bremen, Tow. „Kościuszko“.

Walne zebranie Tow. Przemysłowych.

W przyszłą niedzielę dnia 29-go b. m. o godzinie 2-giej po południu odbędzie się w Poznaniu na salce Domu Przemysłowego *Walne Zebranie Delegatów Towarzystw Przemysłowych,* którego to porządek obrad poniżej podajemy.

Ponieważ sprawa podniesienia przemysłu i rękodzieł coraz bardziej się wysuwa na pierwszy plan, a na zebraniu powyższem omawianą będzie nader ważna sprawa założenia pisma zawodowego dla przemysłu i handlu, przeto zapraszamy na zebranie nie tylko wszystkie Towarzystwa Przemysłowe, ale i pp. przemysłowców, rzemieślników i kupców.

Zarząd Związku Towarz. Przemysł.

Czypicki, przewodniczący. *W. Witkowski.* sekretarz.

* * *

Porządek obrad Walnego Zebrania Delegatów Związku Towarzystw Przemysłowych w dniu 29-go marca 1903 roku:

1. Zagajenie.
2. Sprawozdanie z działalności Związku.
3. Sprawozdanie kasowe.
4. Sprawozdanie komisyi rewizyjnej.
5. Sprawa założenia pisma dla handlu i przemysłu.
6. Referat Przewodniczącego: „program pracy dla Towarzystw Przemysłowych.“
7. Wybór Zarządu i Rady Przemysłowej.
8. Wnioski.
9. Zamknięcie zebrania.

— Manuskryptów nie zwracamy, nie przyjmujemy za nie żadnej i to żadnej gwarancyi, choćby były przysłane w liście zastrzeżonym (rekomendowanym). Kto więc do naszej Redakcyi przysyła manuskrypty, traci wszelkie prawo do zwrotu manuskryptów, a dalej w razie zagubienia manuskryptów traci też prawo do wszelkiego za nie odszkodowania, i to choćby interesent takowe sobie wyraźnie zastrzegł.

Redakcya i wydawnictwo „PRACY.“

Mając zamiar zakupienia większych obszarów dworskich sprzedamy zaraz po

znacznie zniżonych cenach:

110

1. **Folwark** 308 mórg z inwentarzem kompl. w komenderyi tuż pod Poznaniem przy wpłacie 35 000 mk., a oprócz tego w bliskości Poznania dwa kompletne folwarki po około 400 mórg przy zaliczce 20 000 mk.
2. **Gospodarstwo** kompl. w Zegrzu p. Poznaniem 81 mórg przy wpłacie 15 000 mk.
3. **Gospodarstwo** kompl. ca. 80 mórg we wsi Cegielni p. Gościeszynem, stacya koleji Rogowo przy wpłacie 6 500 mk.
4. **Gospodarstwo** kompl. pod Tuchorzą niedaleko miasta Wolsztyna około 47 mórg przy wpłacie 5 000 mk.
5. **Gospodarstwo** bez inwentarza ca. 92 morgi w Zbęchach, stacya Jerka, miasto Krzywiń przy wpłacie 9 000 mk.
6. **Gospodarstwo** kompletne w Zabinskich Olędrach p. Mosiną ca. 30 mórg z budynkami i inwentarzem przy wpłacie 3 000 mk.
7. **Folwark** Kopczynowo 350 mórg pod Środą, stacya Warberg. z dobrymi budynkami i częściowym inwentarzem przy wpłacie 15 000 mk.
8. **Place** budowlane w Szamotułach, w Bydgoszczy, w Kotowie p. Poznaniem i Mogilnie. W Mogilnie mamy także *dom murowany* z chlewami wszystko nowe przy wpłacie 4 000 mk. Tamże mamy 17 mórg ogrodu a w tem 1 morga szparagów, które to ostatnie ewent. wydzierżawimy.

Adres: **Bank Parcelacyjny** Posen, Victoriastr. 12.

PARCELACYA!

I. W wtorek, dnia 31 marca w południe o godz. 1-szej będziemy parcelowali w Zbęchach pod Jerką gospodarstwo z 93 mórg się składające z budynkami bez inwentarza. Gospodarstwo to leży od stacyi kolejowej Jerka tylko 20 minut, szkoła w miejscu, do kościoła parafialnego pół godziny. — Reflektanci na całość mają pierwszeństwo.

II. W sobotę, dnia 4 kwietnia o godz. 9 rano będziemy parcelowali folwark Kokczynowo pod Sulencinem (stacya Warberg) powiat średzki — na miejscu z 700 mórg się składający. Tamże będzie utworzone dworostwo z 350 mórg się składające. 211

Adres: **Bank Parcelacyjny,** Posen, Victoriastr. 12.

Tapety

w najnowszych deseniach ma na składzie

J. Rzendkowski

Nakło, rynek.

„Manus I“

Najlepsze mydło toaletowe i dla dzieci 40 i 20 fen. w aptekach i drogeryach. 816

Kabatki (żakiety) paltoty damskie,

peleryny, kostyumy, bluzki, halki

tylko świeże eleganckie rzeczy.

NOWOŚCI

W MATERYAŁACH NA SUKNIE

bielizną damską i męzką

polecają po znanych nizkich cenach 145

Siuchniński & Stobiecki

Pl. Fryderykowski 3. BYDGOSZCZ. Pl. Fryderykowski 3.

J. Kmiecikowska,

dawn. H. W. Mąke

Gniezno, ul. Tumska nr. 5.

Na otwarcie sezonu

poleca wielki wybór

damskich kapeluszy modelowych

oraz 187

wszelkie nowości na sezon latowy.

Rękawiczki

skórkowe i niciane w wielkim wyborze.

Dwóch

czel. krawieck.

na stałą robotę od sztuki poszukuje 208

Antoni Młyczko,

Bytom, Kaiserstr,

Ogrodowy

obeznany w swym zawodzie potrzebny zaraz lub od 1 kwietnia w Dominium

Kasprał

pod Kruświcą. 199

Posady dla bon i wychowawczyń

z doskonałym niemieckim. Pensya 210—310 marek. Wiadomość: 100

Karpińska

Warszawa, Sienna 2 a. (Moniuszki 7.)

Książki do nabożeństwa!

Chrzanowski & Kucner

księgarnia i skład materyałów piśmiennych

poleca i wysela na żądanie odwrotną pocztą następujące książki do nabożeństwa:

Anioł Stróż, książka do nabożeństwa w pięknej oprawie, w skórę, cena 1,50 mk., z okuciem i zamkiem 2 mk.

Bóg z Tobą, czyli módl się i pracuj, mała książeczka do nabożeństwa. Cena 30 fen., w ozdobniejszej oprawie 40 fen.

Dunin, książka do nabożeństwa w dobrej oprawie, cena 2,25 mk., w skórę, brzeg złoty, 3 mk. (najnowsze wydanie z polecenia X. Arcybiskupa Stablewskiego).

Mały Dunin, książka do nabożeństwa (wydana z polecenia X. Arcybiskupa Stablewskiego dla wszystkich stanów) cena w oprawie 2,25 mk. z przesyłką 2,45 mk., w skórkę z przesyłką 3,20 mk.

Głos serca, książka do nabożeństwa dla osób, które mają słaby wzrok, bardzo duże litery, w oprawie pięknej cena 1,75 mk., z okuciem i zamkiem 2 marki.

Ołtarzyk rzymsko-katolicki w modłach i pieśniach na cześć Bogu i Najśw. Panny Maryi w pięknej oprawie, cena 2,25 mk., z okuciem i zamkiem 2,75 mk.

Perły nabożeństwa czyli książka do nabożeństwa ku czci Najśw. Maryi Nieustającej Pomocy, oprawna w skórę z okuciem i zamkiem 2,25 mk., w oprawie w skórkę miękką watowaną 2,50 mk.

Wianek Maryi, książka do nabożeństwa ku czci Najśw. Maryi Panny w oprawie pięknej w skórę 2,25 mk., z okuciem i zameczkiem 2,75 mk.

Do każdej książki uprasza się dołączyć 20 fen. na porto, kto zamówi odrazu 3 książki, ten kosztów przesyłki nie ponosi. 88

Prosimy adresować:

Chrzanowski & Kucner Poznań (Posen).

P. P. Księgarzom i Organistom oddajemy po hurtownych cenach

Poszukuję (176

dzierżawy probostwa

lub mniejszego

folwarku

200 do 500 mórg od 1-go lipca 1903. Zgłoszenia uprasza się przesłać do ekspedycyi „Pracy“ pod nr. 500.

Pomocnik cukierniczy

w starszym wieku, doskonały w swoim zawodzie, który pracował z powodzeniem w znaczniejszych cukierniach w kraju i na obczyźnie, **poszukuje** odpowiedn. **miejsca** w renomowanym interesie. — Tenże reflektowałby na

nabycie interesu

w w drodze kupna, dzierżawy, lub też przez ożenienie się, w Poznaniu lub na prowincyi. Łask. oferty upr. się nadesłać do eksped. „Pracy“ pod lit.: M. K. 145. (182

Resaga Cykorya jest najzdrowsza.

Prosimy zaraz odnowić przedpłatę na poczcie!

Niniejszą kartkę prosimy odciąć i podać znajomemu z zachętą do prenumeraty.

Unterzeichneter abonnirt hiermit bei dem Kaiserlichen Postamt für das II. Vierteljahr 1903 die in Posen erscheinende Wochenschrift

„Praca“

(Abtheilung II. t. poln. Nr. 95 der Zeitungspreisliste)

für 1,25 M.

(Imię i nazwisko): ....

(Mieszkanie): ....

Obige 1,25 M. erhalten zu haben bescheinigt

.........., den ....

Kaiserl. Post ....

Prosimy zażądać numerów okazowych i podawać je znajomym z zachętą do prenumeraty.

Unterzeichneter abonnirt hiermit bei dem Kaiserlichen Postamt für das II. Vierteljahr 1903 die in Posen erscheinende Wochenschrift

„Praca“

(Abtheilung II t. poln. Nr. 95 der Zeitungspreisliste)

für 1,25 M.

(Imię i nazwisko): ....

(Mieszkanie): ....

Obige 1,25 M. erhalten zu haben, bescheinigt

.........., den ....

Kaiserl. Post ....

Niniejszą kartkę prosimy odciąć i podać znajomemu z zachętą do prenumeraty.

Unterzeichneter abonnirt hiermit bei dem Kaiserl. Postamt für das II. Vierteljahr 1903 die in Posen erscheinende Wochenschrift

„Czytelnia Polska“

Abtheilung II. t. poln. Nr. 13 der Zeitungspreisliste)

für 60 Pfg.

(Imię i nazwisko): ....

(Mieszkanie): ....

Obige 60 Pfg. erhalten zu haben bescheinigt

.........., den ....

Kaiserl. Post ....

Prosimy odciąć.



Szubrawcy.

DRUKIEM „PRACY“

Dział illustrowany.

Z ojczystych stron.

PUŁTUSK.

(Do illustracyi).

Płynęliśmy po Narwi. Zdala już ukazują się nam wieżyce kościołów, a nad domami góruje dawny zamek, półkole zataczający. — Otóż i Pułtusk! wołają współtowarzysze podróży.

Z pokładu poważnie przybijającego do brzegu statku widać jak na dłoni ten ogród odwieczny, co z górą dziesięć stuleci przetrwał, co nie ugiął się pod brzemieniem klęsk tak obficie na niego spadających.

Dość spojrzeć na to miasto, dość okiem rzucić na karty jego historyi, by przekonać się, że nie było żywiołu niszczącego, nie było nieszczęścia, któreby nie czyhało na zagładę tego śmiałka, rozpartego dumnie w dolinie, objętej ramionami rzeki, tuż obok wody swe toczącej. Ogień i woda, kule armatnie i ręka łupiezców, wreszcie zaraza morowa sprzysięły sią na zgubę tego miasta. Oparło się jednak tym szturmom i dziś tem dumniej wieżycami świątyń swoich na świat spogląda i żyje, — a żyje życiem pełnem sił, rokujących rozwój i dobrobyt dla tych, którzy pod jego mury schronić się przyszli.

Zgrzybiały a jednak pełen sił żywotnych starzec ten zasługuje na to, byśmy się z nim bliżej poznali.

W czasach przedchrześciańskich, gdy jeszcze ziemia późniejszej Polski pokryta była niedostępnemi lasami, gdy zaledwie tu i owdzie na wzgórzach widniały świątynie pogańskie, a w miejscach najniedostępniejszych budowano osady ludzkie, Pułtusk dzisiejszy już istniał, jako jedna z takich siedzib ludzkich. Dowodzą tego cmentarzyska tu znajdywane, a w nich groby z popielnicami pierwotnych mieszkańców tej ziemi. Według podania istniała też tu i świątynia pogańska, w miejscu, gdzie dziś stoi kościół św. Krzyża na cmentarzu grzebalnym. Miejscowość błotnista, otoczona lasami, zamieszkała oddawna przez cenione bobry, tuż nad rzeką spławną, której ramiona otaczają wokoło pas ziemi nadrzecznej, czyniąc go tem mniej przystępnym dla nieprzyjaciela, zda się potwierdzać podanie, zachowane w ustach ludu.

Historya nas przekonywa, że już przed rokiem 966 dzisiejszy Pułtusk był zaludnioną osadą, która też wkrótce została najważniejszem miastem po Płocku na Mazowszu zawiślańskiem, używając pieczęci z wyobrażeniem węża okręconego wokół pionowo stojącego drążka.

W r. 966 miasto włączone zostało do dóbr biskupstwa płockiego i podlegało dowolnym rządom biskupim aż do roku 1796; dla tego też biskupi płoccy tytułowali się książętami pułtuskimi.

W roku 1262 Mazowsze napadli Litwini, Rusini i Jadźwingowie, którzy wiele zebranej szlachty pod Pułtuskiem w pień wycięli. Dnia 20 listopada 1324r. Litwini znowu pod wodzą Dawida kasztelana grodzińskiego napadli Mazowsze, a podszedłszy pod Pułtusk, całe miasto zniszczyli. Zaledwie gród zdołał nieco otrząsnąć się z tej klęski, w r. 1336 wojska litewskie rabują go po raz drugi, biorąc w niewolę 1200 mieszkańców miasta i okolicy, a w roku następnym po raz trzeci napadli, lecz tym razem odparci, musieli porzucić łupy i wpław przez Narew uciekać. Podczas tej ucieczki większa część Litwinów śmierć w rzece znalazła. Rok 1368 znowu sprowadził pod Pułtusk Litwinów pod wodzą Kiejstuta. Miasto bezbronne spalił on, a gdy mieszkańcy schronili się do zamku, kazał mury jego obłożyć niedopałkami domów i zapalić. Od ognia pękały kamienie, piekli się ludzie żywcem, a kto uciekł z zamku wpadł w ręce nieprzyjaciół.



Kościół Najśw. Maryi Panny w Pułtusku.

Po trzech wiekach względnego spokoju od najazdów nieprzyjaciół, miasto zabrane zostało w r. 1656 przez Szwedów. W roku 1703 było świadkiem bitwy wojsk Karola XII z Sasami, a w marcu 1794 r. uległo częściowemu zniszczeniu przez Prusaków.

W roku 1806 uroczystość Bożego Narodzenia smutnie zapisała się w kronikach miasta. Wojska rosyjskie stoczyły tu bitwę z wojskami Napoleona. Dnia 26 grudnia walka trwała od południa do godziny 6 wieczorem, a dnia następnego o godzinie 7 rano wojska francuskie wkroczyły do miasta, ogołocając mieszkańców ze wszystkiego, co posiadali. W roku następnym zajęły miasto wojska bawarskie pod dowództwem generała Wrede; stoczyły one walkę zaciętą z wojskami rosyjskiemi dnia 16 maja, poczem dopiero miasto przestało być widownią krwawych rozpraw. Nagrobek poległych w tej ostatniej walce oficerów bawarskich znajduje się w kolegiacie. Wyobraża on trumnę, na której leży pałasz i kaszkiet z kitą włosianą. Nagrobek wykonany jest z białego kamienia.

Nie tylko jednak wojska nieprzyja-



Ogólny widok Pułtuska od strony Narwi.

cielskie gnębiły ten gród odwieczny. Zaraza morowa w latach 1559 i w 1564, trwająca po kilka miesięcy, zabrała kilkaset ofiar. Następny rok 1565, a później lata: 1571, 1580, 1607 i 1652 okryły setki rodzin żałobą, wyludniły miasto i wstrzymały jego rozwój. Co nie zginęło z ręki nieprzyjaciół, ginęło od zarazy, a czego nie zabrał najeźdca, ginęło od pożarów. Trudno wyliczać szereg lat, w których płomienie trawiły dorobek pracowitych mieszczan tutejszych, ale nie wolno mi pominąć milczeniem dnia 12 sierpnia 1633 roku, gdy pożar z niewiadomej przyczyny w perzynę całe miasto obrócił. Odbudowane miasto po tej klęsce w r. 1646 znowu pożar nawiedza i znowu pochłania najpiękniejszą część jego, wraz z kościołem Jezuitów, szkołą i kolegium. 1782 pali się wieża na kolegiacie i część miasta od błonia Rybitwy aż po zamek biskupi, a w r.1798 dnia 9 lutego klasztor księży Benedyktynów wraz z przyległemi budynkami staje się łupem ognia.

Zdawałoby się, że los okrutny dość liczny poczet nieszczęść na to miasto zesłał, a jednak trudno zakończyć to płomienne pasmo, bo oto dnia 19 kwietnia 1809 r. połowa miasta zamienia się w popiół, a odbudowane — pali się w r. 1875, by powstać na nowo, ale już w szacie murowanej, w takiej, w jakiej je dziś witamy.

Ten długi szereg klęsk mógłby wystarczyć do zniszczenia najsilniejszej warowni aż do pierwszych cegieł jej fundamentów. Pułtusk jednak widocznie miał przeznaczenie przetrwać te burze i z popiołów powstać, by dać świadectwo klęskom dziejowym. Wytrwał więc, chociaż prócz klęsk powyżej opisanych, ucierpiał wiele jeszcze i od wylewów Narwi. W r. 1786 wszystkie ulice miasta, podgórze i rynek zalane były wodą, która w kościele kolegiackim dosięgła kilkunastu cali wysokości. Ludzi przewożono na łodziach, a powódź taka powtórzyła się jeszcze w latach 1806 i 1811. Późniejsze wylewy zalewały już tylko piwnice, nie chcę więc ich notowaniem przedłużać szeregu nieszczęść, które i tak zbyt dosadnie ilustrują to, co cierpieli mieszkańcy tego grodu.

Pomimo jednak prześladowań losu, miasto było dość zamożne, a o rozwoju rolnictwa świadczą przywileje, wydawane jego mieszkańcom na budowę młynów w r. 1366 i 1380. Były też tu i bobrownie książąt mazowieckich, a stada bobrów musiały być znaczne, jeżeli Jacek z Makowa donosi księciu Konradowi w r. 1229, iż zarejestrowano 251 bobrów, dla których „dość drzewa klonowego zostawił, by zimować w niem mogły''.

W wieku XVI istniała w Pułtusku drukarnia, a nawet książę Poniatowski, biskup płocki, zaprojektował założenie tu fabryki papieru. W r. 1405 zbudowano tu łaźnię, a jednocześnie otrzymano przywilej na założenie postrzygalni. Cechy rzemieślnicze istniały tu od roku 1450, a mianowicie: krawiecki, zdunów, kowali, strzelców, rybaków, kupców, rzeźników, szewców, kuśnierzy i innych.

Z gmachów tutejszych zasługują przedewszystkiem na uwagę piękne a starożytne świątynie. Kościół farny zbudowany przez biskupa Pawła Giżyckiego 1449 r. w stylu gotyckim ma 15 ołtarzy ozdobnych. Naprzeciw



Ratusz w Pułtusku.

zakrystyi jest kaplica imienia biskupa Noskowskiego, który też w niej jest pochowany w grobie, za życia jeszcze przygotowanym. Prócz tego w kościele tym znajduje się wiele nagrobków osób, których ciała w podziemiach spoczywają, a między innemi Andrzeja Olszewskiego, prymasa Królestwa Polskiego, członków rodziny Załuskich, biskupa Pawła Giżyckiego, Kazimierza księcia mazowieckiego, Rafała Leszczyńskiego, Andrzeja Noskowskiego, Józefa Szembeka i wielu innych. W rogu cmentarza, po lewej stronie wielkiego ołtarza, stoi wieża kwadratowa z galeryą. Na rogach są paludamenty, a na nich wazony wielkie. Nad galeryą wznosi się czworobok z cyferblatami zegarowymi, u góry tego czworoboku są gzemsy, a na nich piramida z kopułą miedzianą i krzyżem. W wieży tej mieszczą się dzwony. Zbudowana ona była w r. 1507, lecz w r. 1782 uległa zniszczeniu przez pożar i dopiero później odrestaurowana kosztem 63,000 złotych polskich.

Drugi kościół, pojezuickim zwany, wystawiono w roku 1800 przez księży Benedyktynów, sprowadzonych tu w r. 1781. Kościół ten stanął na miejscu spalonego w r. 1798 kościoła księży Jezuitów, zbudowanego w r. 1566 i odbudowanego w r. 1650. Ołtarz wielki odznacza się wspaniałością budowy i roboty snycerskiej. Ośm wielkich kolumn wznosi się aż do sklepienia, a na ich wierzchu stoi ośmiu apostołów; na gzemsach bocznych, pod sklepieniem wokoło świątyni jest ganek zakończony chórem, wspartym na czterech kolumnach.

Trzeci kościół św. Józefa z klasztorem księży Reformatów, zbudowany był w r. 1648 przez Wojciecha Wesla kasztelana warszawskiego. W r. 1648 rząd pruski kościół ten na więzienie przeznaczył, lecz w r. 1825 za pozwoleniem obecnego rządu kościół odnowiono. W świątyni tej mieści się obraz Pana Jezusa cudami słynący.

Pod murami dawnego zamku stoi kościół św. Maryi Magdaleny, w formie rotundy w r. 1538 przez biskupa Piotra Gamrata zbudowany. Przy nim uposażonych było siedmiu mansyonarzy. W tym kościółku znajduje się galerya portretów biskupów płockich z sali zamkowej tu przeniesiona. Kościółek ten przez pewien czas był w posiadaniu ewangelików.

W r. 1650-ym było już w Pułtusku 491 domów. Późniejsze wojny, pożary i powietrza morowe niejednokrotnie doszczętnie niszczyły Pułtusk, a on się wciąż wznosił, odbudowywał. Ratusz wspaniały wybudował tu biskup Andrzej Załuski, który też założył tu pierwszy bank, zwany montem pietatis (górą pobożną); ubogim bank ten udzielał pożyczek na procent 3 od sta.

Około roku 1800 było w Pułtusku tylko 300 domów, w części z cegły stawianych, były trzy szpitale, była szkoła o 6-ciu klasach, w której prócz nauk ogólnych, uczono także rolnictwa i ogrodnictwa.

Dziś Pułtusk jest miastem powiatowem w guberni warszawskiej, po-



Szpital św. Wincentego w Pułtusku.

siada wszystkie właściwe mu urzędy, posiada towarzystwo kredytowe, szpital, szkołę czteroklasową i garść ludzi dobrej woli. Ci właśnie wyjednali od miasta stały zasiłek na coroczne urządzanie uroczystego sadzenia drzew przez dzieci miejskie. Chwalebny to postępek obywateli pułtuskich!

R. Z.

Merecz.

(Do illustracyi.)

Merecz, starodawna osada, przez Jadźwingów podobno założona, leży nad Niemnem przy zbiegu rzek Mereczanki i Otrawy, w guberni wileńskiej, powiecie trockim. Obecnie jest to mieścina dość licha i brudna, zamieszkała przeważnie przez ludność żydowską, jak przeważnie nasze małe miasteczka. Posiada kościół, fundowany przez Jagiełłę, który nadał miastu przywileje; na przyległej zaś górze, zkąd piękny roztacza się widok na Niemen, istnieją jeszcze resztki zamku obronnego, zbudowanego we wieku XII, a może nawet wcześniej. Dokoła okolica głucha i pusta, zacho-



Ruiny domu w Mereczu, w którym mieszkał Władysław IV.

wała tylko ślady puszcz dawnych, na których miejscu bieleją pola piaszczyste, owsem lub gryką zasiane.

Inaczej tu jednak było w latach dawnych, gdy Jagiełło przyjmował w Mereczu posłów czeskich, ofiarujących koronę Witoldowi, lub gdy zjeżdżali do puszcz tutejszych na polowanie królowie polscy i litewscy książęta. Tu Władysław IV, nękany chorobą i strapiony wojną kozacką, jadąc z Wilna do Warszawy, zmarł nagle na wiadomość o klęsce nad Żółtemi Wodami dnia 20-go maja 1648 r.

Król ten, marzyciel w polityce, wśród zawodów i rozczarowań, szukał rozrywki i ulgi w polowaniach i dlatego puszcze nadniemeńskie częstego w nim miały gościa. Piękną pamiątkę jego przygód myśliwskich zostawił współczesny mu poeta i nadworny kaznodzieja królewski, ks. Maciej Kazimierz Sarbiewski. Dwa z jego łacińskich „Silviludiów,“ czyli „Zabaw leśnych,“ poświęcone zostały wspomnieniom łowów królewskich pod Mereczem. Zabawa leśna IV nosi tytuł: „Do wiatru, aby w pracach i znoju orzeźwiał Władysława, polującego w Mereczy podczas południowych skwarów;“ druga, pod nagłówkiem: „Do cieni, aby przysłoniły polującego Władysława w Mereczy podczas skwarów letnich,“ kończy się czterowierszem, który podajemy tu w przekładzie Ludwika Kondratowicza:

„Chodźcie tutaj na chłodne Mereczy pastwiska,
Zbieraj się w krąg taneczny, o pasterskie dziecię!
A wy, dworscy Monarchy, wy tutaj z poblizka,
Ze wzgórka patrzeć będziecie.“

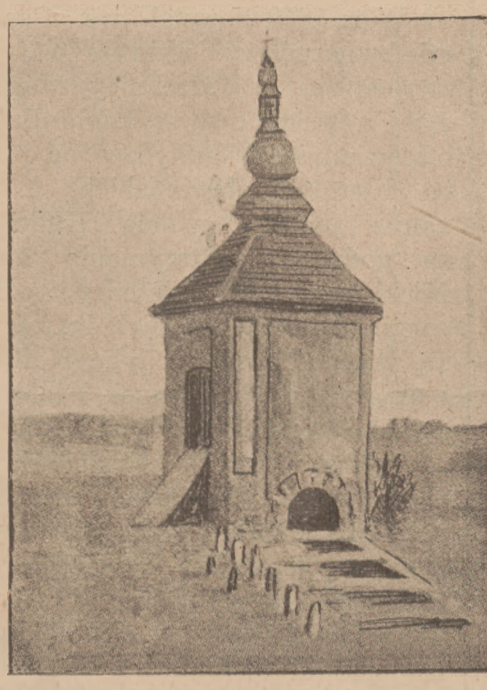
Na rycinie naszej widać ruiny domu, w którym Władysław IV zamieszkiwał i w nim zakończył życie. Obecnie śladów tego domu już niema: zburzono go doszczętnie i na jego miejscu zbudowano nową kamienicę.

Ł. L.

Nad źródłami Warty.

(Do illustracyi.

Nad źródłami Warty opowiadają następującą ciekawą legendę. Stoi tam piękna kapliczka murowana ku czci św. Jana. Wieść niesie, że dawnemi czasy, coś przed lat tysiącem, stał w tem miejscu żołnierz na straży, czyli na warcie. Gorąco było nieslychanie. Żołnierz umierał prawie z pragnienia, a ruszyć się ze stanowiska nie było mu wolno. Zaczął się więc modlić do swego Patrona, św. Jana, aby mu zesłał choć odrobinę wody na orzeźwienie. Otóż ledwo skończył modlitwę, źródło wytrysło z pod jego stóp. Na pamiątkę tego cudu krynicę ową nazwano „Wartą,“ skąd następnie poszła nazwa i całej rzeki.



Kapliczka u źródeł Warty

Tak głosi legenda.

Wypływając z wyżyny Łysogórskiej, Warta, jakby strażą, obchodzi duży szmat kraju, robiąc zakręty. Długość jej wynosi 103 mile. Warta z początku od Kromołowa w powiecie olkuskim aż pod Częstochowę płynie ku północy, potem zwraca się ku wschodowi, następnie pod Działoszynem ku północy, od Koła do Śremu płynie na zachód i znowu zwraca się na północ. W końcu przybrawszy kierunek zachodni, wpada koło Kistrzyna do rzeki Odry, by z nią razem nieść swe fale do morza Bałtyckiego. Płynąc od Częstochowy przez jednostajną równinę w brzegach nizkich, posiada nurt bardzo powolny i rozdziela się na wiele ramion.

Co wiosna Warta wylewa, zamieniając okolice w jedno wielkie jezioro. Niegdyś wylewała ona częściej i wtedy cała przestrzeń między nią i Wisłą stanowiła właśnie jedno olbrzymie jezioro. Do Warty wpadają z prawej strony: Cybina, Wełna, Główna i Noteć, która wypływa z jeziora Gopła; z lewej strony: Prosna, Lutynia i Obra, prócz tego wiele rzek i rzeczek pomniejszych.

Or.

Módl się, a pracuj.

Módl się, pracuj! W Bożej woli
Bóle twe i troski!
Krzyż, acz ciężki, nieś powoli!...
Wszak Syn niósł go Boski.

Krzyż, acz ciężki, nieś powoli!...
Krzyż — to próba ducha!
Bóg wie dobrze, co cię boli...
Widzi cię i słucha!

Bóg wie dobrze, co cię boli...
I łzy twoje liczy!
I oddalić — w Jego woli —
Kielich twej goryczy!

Wierz i pracuj! W Jego woli
Zmienić róże w ciernie!
On cię zdeptać nie pozwoli,
Lecz służ Prawdzie wiernie!

On cię zdeptać nie pozwoli!
Stój, choć serce pęka.
Szalę ludzkich łez, niedoli
Waży jego ręka!

Szalę wielkich, małych doli
On w swym sądzie trzyma!
On Dawida procę woli,
Niźli miecz olbrzyma.

...e, pracuj! A powoli
...z wyrok Boży!
Módl si... ...się wyzwoli,
Zbłaga... ...łoży!
On z utrapień ...
Koniec łzom p... ...li

Wierz i pracuj! w Bożej w...
Bóle twe i troski.
Krzyż, acz ciężki, nieś powoli!...
Wszak Syn niósł go Boski!...
Klemens Podwysocki.

Juljuszowi Słowackiemu.

(Do illustracyi.)

Adam Mickiewicz, Zygmunt Krasiński i Juljusz Słowacki, są to trzej najsławniejsi poeci polscy.



Tablica pamiątkowa w kościele św. Krzyża w Warszawie.

W roku 1900-ym staraniem krewnej Słowackiego wmurowany został pomnik dla tego poety w kościele Świętego Krzyża w Warszawie. Za duszę jego zostało odprawione bardzo solenne nabożeństwo, a następnie przy pięknych śpiewach odbyło się poświęcenie pomnika, którego podobiznę podajemy wyżej. Skromna, ale ładna tablica pomnikowa została wmurowana w lewej nawie kościoła, obok takichże pomników: Kraszewskiego i Szopena.

X.

Józef Kallenbach.

(Do illustracyi).

Warszawa zyskała od lat kilku nową, poważną siłę literacką: dr. Józef Kallenbach, profesor literatur słowiańskich w uniwersytecie fryburskim (w Szwajcaryi), przeniósł się do Syreniego grodu i objął tamże kierownictwo Biblioteki Ordynacyi Krasińskich.

Kallenbach jest człowiekiem młodym, bo urodził się w r. 1861, dzięki wszakże swemu zamiłowaniu i niestrudzonej pracy, stworzył już sobie nazwisko, znane zaszczytnie w literaturze. Urodzony w Kamieńcu Podolskim, ukończył Kallenbach z odznaczeniem nauki gimnazyalne we Lwowie, gdzie prof. Kubala, autor znako...tych szkiców historycznych, wziął ... ...ią opiekę żądnego nauki i ulu... ...o ucznia. Lata uniwer... pod swe... ...we wszechnicy Ja...bionego swe... ...Kallenbacha syteckie, spędzone ... ...litera... giellońskiej, zwróciły na ... uwagę takich znawców języka ... ...tury ojczystej, jak Lucyan Malinowski i Stanisław Tarnowski, pod których egidą z zapałem oddawał się studyom. Pierwszym ich owocem były prace o Kochanowskim, za pobudką profesora K. Morawskiego, oraz ogłoszona w roku 1884 rozprawa doktorska: „*Geneza Odprawy posłów greckich.*“ W końcu tegoż roku Kallenbach udaje się jako stypendysta Wydziału krajowego do Lipska, a następnie do Monachium i Paryża, gdzie w dalszym ciągu uczęszcza na wykłady uniwersyteckie, a wszystkie wolne chwile obraca na wynajdywanie w archiwach bibliotecznych rzeczy polskich.

Po powrocie do Krakowa, bierze Kallenbach udział w ekspedycyi naukowej, urządzonej staraniem Stanisława Smolki, do wiecznego miasta, w celu odnalezienia w archiwach watykańskich śladów stosunków Polski z czasów Batorowskich z Rzymem poczem w roku 1887, zostaje na czas krótki bibliotekarzem Akademii umiejętności i docentem literatury polskiej w uniwersytecie Jagiellońskim i ogłasza drukiem rozprawę: „*Rewizya tekstu pierwszej części Dziadów,*“ oraz studyum: „*O czwartej części Dziadów.*“

W r. 1889 powstał we Fryburgu międzynarodowy uniwersytet, który zwrócił się do wszechnicy Jagiellońskiej z prośbą o wyszukanie dla niego odpowiedniego kandydata na profesora literatur słowiańskich, a nasza „alma mater“ uznała Kallenbacha za godnego podtrzymania tradycyi Mickiewiczowskiej katedry w Szwajcaryi. Zaszczyt to nielada, nie mógł się więc od niego uchylić Kallenbach i objął ten posterunek, jakkolwiek z żalem opuszczał kraj rodzinny.

Wśród licznych słuchaczów Kallenbacha w Krakowie znajdujemy nazwiska znanych dziś pisarzów: Kazimierza Tetmajera, F. Hoesicka, dra Stanisława Estreichera, dra A. Kurpiela i wielu innych. W ciągu dwunastoletniej działalności profesorskiej we Fryburgu wykładał (po polsku i po francuzku) najważniejsze okresy literatury polskiej: wieki XVI, XVII, koniec XVIII, epokę romantyzmu i t. d., a między słuchaczami miał znane dziś w nauce osobistości, jak np. prof. dra A. Kole... się (Lwów), ks. dra Gabryela, prof. uniwer. Jagiell. i innych.

Wogóle cieszyły się wykłady literatury polskiej naj większem powodzeniem i licznych m...iały słuchaczów; po za tem prof. Kall...nbach traktował dość szeroko literaturę rosyjską i wykładał lingwistykę słowi...ańską.

Z dawnych prac nau...kowych prof. Ka...llenbacha, ogłoszonych drukiem,



Józef Kallenbach.

wymienić należy: *Filozofia Jana Kochanowskiego* (1888), *O improwizacyi Konrada* (1890), *Les humanistes polonais* (1891), *Adam Mickiewicz* (1897, w dwóch tomach), *Tło obrzędowe Dziadów* (1898), *Mickiewicz a Lausanne* (1899).

Bibliotekarstwem zajmował się Kallenbach od r. 1887, gdy został bibliotekarzem Akademii umiejętności w Krakowie. Następnie w r. 1888 zbadał urządzenie słynnej, olbrzymiej Biblioteki w „Britisch Museum“ w Londynie, a w r. 1889 porządkował rękopisy Biblioteki polskiej w Paryżu; w r. 1898 studyował w Rzymie urządzenie Biblioteki „Vittorio Emmanuele,“ a w Archiwum Watykańskiem równocześnie sporządził inwentarz stu woluminów rękopiśmiennych, zawierających cenne materyały do ostatnich lat rządów Stanisława Augusta.

J. W.

Kiedy bzy...

Kiedy bzy piękne, wonne lilije
Chaty mazurskie ustroją,
Krasna dziewczyno, złóż senną głowę
Na pełną czaru pierś moją.

W niebiosach jasnych, co lśnią nad głową
Rozkaz przyrody wyczytaj,
Chwal w pieśni czystej jej wielkie słowo,
„Czy kochać warto?“ — nie pytaj!

Niech serce twoje rankiem się budzi,
Wraz z ptasząt melodyą śpiewną,
Gdy czarem swoim świat darzy ludzi,
Uśmiech ślij wiosny, królewno!

Władysław Karoli.

Zabójstwo cara Piotra III

7-go lipca 1762 roku.

(Ciąg dalszy.)

Piotr III. jakby naumyślnie robił wszystko, żeby obudzić tę nienawiść. Raz wieczorem przy Daszkowej mówił car jak zwyczajnie o swoim głębokim szacunku dla Fryderyka II. i zwracając się raptem do swego sekretarza stanu Wołkowa, który przy Elżbiecie był głównym sekretarzem najwyższej rady, zapytał, czy pamięta, jak się to oni śmiali razem z ciągłego nieudania się tajemnych zleceń rządu, posyłanych do armii czynnej. Wołków, który razem z w. księciem komunikowali pruskiemu królowi wszystkie rozporządzenia, dając tym sposobem możność zapobieżenia im, tak się przeraził temi słowami Piotra III., że omal nie zemdlał. Lecz car żartobliwym tonem opowiadał dalej, jak oni w czasie wojny przedawali kraj, w którym on był następcą tronu.

Przy zawarciu pokoju z królem pruskim, któremu Piotr III. odstąpił bez wstydu wszystko, co było okupione krwią wojska jego, nie było miary radości i biesiadom, które następywały jedne po drugich. Na jednym obiedzię, na który byli zaproszeni wszyscy posłowie i osoby wszystkich trzech klas, car zaproponował trzy toasty, które pili przy huku dział: za zdrowie carskiej rodziny, za zdrowie króla pruskiego, i za utrzymanie pokoju. Gdy caryca piła za zdrowie carskiej rodziny, Piotr posłał adjutanta swego Guduwicza, który stał około jego krzesła, z zapytaniem do Katarzyny, czemu ona nie wstała. Katarzyna odpowiedziała, że ponieważ carska rodzina składa się z cara, jego syna i z niej samej, więc nie myślała, żeby jego cesarska mość sobie życzyła, żeby i ona wstała.

Gdy Gudowicz przyniósł tę odpowiedź, car rozkazał jemu wrócić nazad i powiedzieć carowej, że ona „głupia“ i że powinna wiedzieć, że jego



Portret mężczyzny w stroju polskim, według tradycy przedstawiający wizerunek króla Jana Sobieskiego, malowany przez Rembrandta. Oryginał znajduje się w galeryi Ermitażu w Petersburgu.

stryjowie, holsztyńscy książęta, należą także do carskiej rodziny. Nie dość na tem, lękając się, żeby Gudowicz nie osłabił wyrażenia, sam powtórzył, co powiedział, głośno, tak że wszyscy to słyszeli.

Caryca zalała się łzami, lecz chcąc prędzej skończyć tę historyę, zwróciła się do stojącego za krzesłem szambelana swego Stragonowa, i prosiła go zacząć jakąkolwiek rozmowę.

Stragonów głęboko wzruszony tem grubiaństwem z udaną wesołością zaczął coś opowiadać. Wychodząc z pałacu otrzymał za to rozkaz odjechać do swoich posiadłości i nie przyjeżdżać bez rozkazu.

Wypadek ten nadzwyczajnie zaszkodził Piotrowi III.; wszyscy żałowali nieszczęśliwą kobietę, którą tak grubiańsko obrażał pijany kapral. Z tego usposobienia skorzystała Daszkowa, i rzuciwszy się odważnie do spiskowania, pozyskała ludzi, namawiała, wywiadywała się, a potem jeździła na bale i tańczyła, żeby nie wzbudzić żadnego podejrzenia. Daszkowa otoczyła się oficerami, którzy z zupełną wiarą oddali się swemu 18-to letniemu przywódzcy.

Mąż Daszkowej, skrzywdzony przez Piotra, otrzymał za staraniem żony jakieś poruczenie do Konstantynopola. Daszkowa napisała do niego list, „żeby spieszył powoli,“ bo oczekiwała nowych wypadków.

Około Piotra III. było wielu malkontentów, którzy nie chcąc wchodzić do spisku życzyli sobie zmiany bez narażenia się i bez wystawienia na niebezpieczeństwo. Trudno było wciągnąć do spisku takich panów, jak Baranowski, Panin i drudzy; prawdziwie więc spiskowali tylko Daszkowa ze swymi oficerami, i Orłów ze swymi żołnierzami.

Razumowski o tyle kochał Ojczyznę, o ile był zdolny ten apatyczny człowiek. Pogrążony w bogactwie, otoczony szacunkiem, dobrze przyjęty przy nowym dworze, i lubiany od oficerów, wpadł w apatję i rozlenił się.

Panin był człowiekiem stanu i patrzał dalej niż inni. On chciał ogłosić cesarzem Pawła, którego był guwernerem, a Katarzynę rejentką, przy czem miał nadzieję ograniczyć carską władzę. Lecz Panin myślał dopiąć celu jakimiś legalnymi środkami, za pomocą senatu.

Wszystko to nie bardzo podobało się Daszkowej. Do tego nieukontentowanie i szemranie żołnierzy rosło codziennie. Haniebny pokój z jednej

strony i najgłupsza wojna z Danją, którą Piotr chciał zacząć z powodu Holzacyi, bez żadnej prawie przyczyny, rozdrażniły umysły. Wojna ta dla niego stała się punktem pomięszania; sam Fryderyk II. listownie upraszał go odłożyć ją na czas późniejszy.

Daszkowa chcąc koniecznie namówić upartego Panina do podzielenia jej sposobu zapatrywania się, użyła nowego oręża. Panin był uniesiony jej rozumem, energią i pięknością tak, że się rozkochał w niej, nie zważając na stare swoje lata. Daszkowa ze śmiechem odpychała jego podstarzałą miłość, lecz nie znajdując innego sposobu pokonania tego człowieka, kupiła go własnem swojem ciałem.

Od tego czasu Panin był już w jej rękach.

Chociaż spiskowcy mogli liczyć na Razumowskiego, Panina, na Nowogrodzkiego arcybiskupa, i na mnóstwo oficerów, nie ułożono jednak jeszcze żadnego planu czynności. Mając cel jeden, spiskowcy żadnym sposobem nie mogli się porozumieć co do środków.

Tymczasem Piotr popełniał jedno głupstwo po drugiem, szaleństwo po szaleństwie. Proroctwo Kejtha sprawdzało się, opinia publiczna przechodziła od wzgardy do nikczemności.

Austryackie prześladowania greckiego kościoła w Serbii były powodem, że wielu Serbów udało się do carycy Elżbiety z prożbą o ziemię na południu Moskwy. Elżbieta nakazała dać nietylko ziemię, lecz i znaczną ilość pieniędzy na przesiedlenie się. Jeden z pełnomocników serbskich, imieniem Chorwat, chytry intrygant, owładnął ziemią i pieniędzmi, i zamiast wypełnienia warunków, pod którymi daną była ziemia, zaczął obchodzić się z kolonistami jak ze swymi poddanymi. Serbowie posłali skargę do Elżbiety, lecz nim się sprawa skończyła, Elżbieta umarła. Chorwat, usłyszawszy o jej śmierci, przybył do Petersburga i zaczął od tego, że dał po dwa tysiące czerwonych złotych trzem osobom, otaczającym Piotra III.: Naryszkinowi, który grywał rolę nadwornego błazna, jenerałowi Mielgunowowi, i jenerał-porucznikowi Glebuwowi. Ci dwaj ostatni powiedzieli carowi o łapowem, które otrzymali. Piotr III. bardzo był zadowolony z ich otwartości, pochwalił ich i dodał, że jeżeli oni jemu dadzą połowę, to on sam pójdzie do senatu i każe sprawę skończyć na korzyść Chorwata. Podzielono się. Car dotrzymał słowa i za dwa tysiące czerwonych złotych stracili setki tysięcy kolonistów; bo rodacy ich widząc, jak pierwsi zostali przez rząd oszukani, nie odważali się na przesiedlenie.

Po ukończeniu sprawy Piotr III. usłyszał, że Naryszkin zakrył swe łapowe; żeby więc go ukarać za taki niedostatek przyjacielskiego zaufania odebrał od niego całą sumę, i potem długo drażnił Naryszkina, pytając: co on robi z dukatami Chorwata?

Jeszcze jedna miła anegdotka o Piotrze III. Raz po rewii car bardzo zadowolony z izmajłowskiego pułku, wesoły wracał z Razumowskim do domu; w tem słyszy z daleka szum i krzyk: jego ulubiony murzyn bił się z profosem, czyli wymiataczem ulic. Z początku widok ten podobał się Piotrowi III., lecz wnet posmutniał i powiedział:

— Narcyz już nie egzystuje dla nas.

Razumowski nic nie rozumiejąc, zapytał z współczuciem, co tak raptownie zasmuciło jego carską mość?

— Czyż nie widzisz — zawołał Piotr, że ja nie mogę trzymać przy sobie człowieka, który zhańbił się bijąc się z profosem. On zbezczeszczony, na zawsze zbezczeszczony!

Feldmarszałek udając, że zupełnie podziela zdanie cara, zauważał, że honor Narcyza można odnowić, przeprowadziwszy go pod chorągwiami pułku. Myśl ta nadzwyczajnie podobała się Piotrowi; zawołał więc murzyna, kazał przejść pod chorągwiami i znajdując, że to jeszcze niedostatecznie, rozkazał podrapać murzyna piką chorągwi, żeby ten mógł krwią zmyć krzywdę. Biedny murzyn ledwie nie umarł ze strachu i tak się opierał tej ceremonii, że aż czterech ludzi trzymać go musiało. Krzyki i szamotanie się biednego afrykanina i głupia scena była męczarnią dla oficerów, ledwie będących w stanie powstrzymać się od śmiechu, wobec tryumfalnej postawy cara, myślącego o oczyszczeniu honoru swego lokaja i swojej carskiej sławy.

I ten błazen panował całe siedem miesięcy!...

(Ciąg dalszy nastąpi.)

ORSO.

Nowela.

Napisał *Henryk Sienkiewicz.*

Ostatnie dni jesieni są dla Anaheim, miasteczka położonego w południowej Kalifornii, dniami zabaw i uroczystości. Kończy się naówczas winobranie całe, więc miasto roi się tłumami ludności robotniczej. Nic bardziej malowniczego nad widok, jaki przedstawia ta ludność złożona w mniejszej części z Meksykanów, głównie zaś z indyan Cahuilla, którzy dla zarobku przybywają aż z dzikich gór San-Bernardino, leżących w głębi kraju. Jak jedni, tak i drudzy roztasowywują się na ulicach i placach do sprzedania, czyli tak zwanych lotach, na których sypiają pod namiotami, albo wprost pod gołem niebem, wiecznie w tej porze roku pogodnem. Śliczne to miasto, otoczone kępami eukaliptów, rycynusów i drzew pieprzowych, wre jakby jarmarkiem gwarnym i hałaśliwym, a stanowiącym dziwne przeciwieństwo z głęboką i poważną ciszą pustyni porosłej kaktusami, która zaczyna się zaraz za polami winogradu. Wieczorem, gdy słońce kryje promienny swój krąg w toniach oceanu, a na różowem niebie widać również różowo oświecone klucze dzikich gęsi, kaczek, pelikanów, mew i żórawi, ciągnących tysiącami z gór ku oceanowi, w mieście zapalają się ogniska i rozpoczyna się zabawa. Minstrelowie murzyńscy klekocą w kastaniety, przy każdem ognisku słychać odgłosy bębnów i mrukliwe tony *bandża;* meksykanie tańczą na rozciągniętych ponszach ulubione swe bollero, indyanie wtórują im, trzymając w zębach długie białe laski *kiotte,* lub rzucając okrzyki „e viva,“ ogniska sycone czerwonem drzewem huczą i strzelają iskrami, a przy krwawych ich blaskach widać skaczące postacie, dokoła zaś miejscowych osadników pod rękę z pięknemi żonami i córkami, przypatrujących się zabawie.

Dzień jednak, w którym ostatnie grono zostaje wytłoczone indyjskiemi nogami, jest jeszcze uroczystszy, zjeżdża albowiem wówczas z Los Angelos wędrowny cyrk pana Hirscha, Niemca, a zarazem właściciela menażeryi, złożonej z małp, kuguarów, lwów afrykańskich, jednego słonia i kilkunastu zdziecinniałych ze starości papug: *„the greatest attraction of the world!“* Jakoż Cahuillowie oddają ostatnie „pezos,“ których nie zdołali przepić, aby tylko widzieć nietyle dzikie zwierzęta, bo tych w San-Bernardino nie brak, ile artystki, atletów, clownów i wszystkie cuda cyrkowe, które wydają im się conajmniej „wielką medycyną,“ to jest czarodziejstwem możebnem do spełnienia tylko z pomocą sił nadprzyrodzonych.

Ściągnąłby jednak na siebie słuszny, a Bóg widzi niebezpieczny gniew pana Hirscha, ktoby myślał, że cyrk jego jest przynętą tylko dla indyan, chińczyków, lub murzynów. Przeciwnie: przybycie cyrku pociąga

za sobą zjazd nietylko okolicznych osadników, ale nawet mieszkańców sąsiednich mniejszych miast: Westminister, Orange i Los Nietos. Ulica „Pomarańcz“ bywa wówczas tak zapchana wozami i powozikami najrozmaitszych kształtów, że niepodobna się przecisnąć. Cały wielki świat „setlerski“ staje, jak jeden mąż. Młode, zgrabniutkie miss, z jasnemi grzywkami na oczach, powożąc z kozłów, rozjeżdżają z wdziękiem ludzi po ulicach, szczebiocą i szczerzą ząbki; hiszpańskie senoritas z Los Nietos rzucają długie powłóczyste spojrzenia z pod tiulowych zasłon; zamężne damy z okolicy, ubrane według ostatniej mody, z dumą wspierają się na ramionach ogorzałych farmerów, którym za cały strój służą obdarte kapelusze, rypsowe pantalony i flanelowe koszule, zaściegnięte w braku krawatów na hetkę i pentelkę.

Wszystko to wita się, nawołuje, ogląda bacznem okiem stroje, o ile są *„very fashionable,“* i obgaduje potrochu.

Wśród powozików zasypanych kwiatami i wyglądających jak wielkie bukiety, harcują na mustangach młodzi ludzie i przechylając się z wysokich kulbak meksykańskich, zaglądają ukradkiem pod kapelusze dziewicze. Półdzikie konie, przerażone hukiem i gwarem, toczą krwawemi oczyma, wspinają się i kwiczą, ale dzielni jeźdzcy nie zdają się nawet zwracać na to uwagi.

Wszyscy rozmawiają o *„the greatest attraction“* czyli o szczegółach przedstawienia wieczornego, które świetnością ma przejść wszystko, co dotąd widziano. Istotnie olbrzymie afisze donoszą o cudach prawdziwych. Sam dyrektor Hirsch, „artysta na bacie,“ ma dać koncert z najsroższym ze znanych dotąd lwem afrykańskim. Lew rzuca się wedle programu na dyrektora, któremu za całą obronę służy tylko bat. Ale zwykłe to narzędzie zmieni się w cudownych rękach (zawsze według programu) na ognisty miecz i tarczę. Koniec owego bata ma kąsać jak grzechotnik, migotać jak błyskawica, strzelać jak piorun i trzymać w ciągłem oddaleniu potwora, który napróżno miota się i chce rzucić na artystę. Nie na tem jednak koniec: szesnastoletni Orso, „Herkules amerykański,“ zrodzony z ojca białego, a matki indyanki, ma dźwigać na sobie sześciu ludzi, po trzech na każdem ramieniu; prócz tego dyrekcya ofiaruje sto dolarów każdemu człowiekowi, „bez względu na kolor skóry,“ któryby małoletniego atletę zmógł w ręcznej walce. Głuche wieści chodzą po Anaheim, że z gór San Bernardino przybył umyślnie w celu próbowania się z Orsem Gryzli-Killer (zabijacz niedźwiedzi), sławny z nieustraszoności i siły wnicznik, który, jak Kalifornia Kalifornią, pierwszy z ludzi ośmielił się uderzać na szarego niedźwiedzia z toporem i nożem.

Prawdopodobne zwycięztwo „zabijacza niedźwiedzi“ nad szesnastoletnim atletą cyrkowym podnieca do najwyższego stopnia umysły wszystkich męskich mieszkańców Anaheimu, jeśli bowiem Orso, który dotychczas wszędzie między Atlantykiem a Pacyfikiem rzucał na ziemię najsilniejszych „yankee,“ zostanie teraz zwyciężony, nieśmiertelna chwała okryje całą Kalifornią. Umysły kobiece niemniej podnieca znowu następny numer programu: oto, tenże sam potężny Orso będzie nosił na trzydziestostopowym maszcie małą Jenny, „cud świata,“ o której afisz mówi, że jest najpiękniejszą dziewczyną, jaka żyła na ziemi „za ery chrześciańskiej.“ Dyrektor, mimo iż Jenny liczy dopiero lat trzynaście, ofiaruje również sto dolarów każdej dziewicy, „bez względu na kolor skóry,“ którąby ośmieliła się stanąć w zawód pod względem piękności z „aniołem powietrznym.“ Miss, miski i miseczki z Anaheimu i okolic krzywią się w pogardliwy sposób, czytając ten punkt programu, i utrzymują, że nie byłoby to „lady like“ stawać do takiego współzawodnictwa. Swoją drogą, każda z nich wolałaby oddać nawet swoje krzesło na biegunach, niż nie być na wieczornem przedstawieniu i nie zobaczyć tej dziecinnej rywalki, w której piękność zresztą w porównaniu naprzykład z siostrami Bimpa, żadna nie wierzy. Dwie siostry Bimpa starsza Refugio i młodsza Mercedes, siedząc niedbale w ślicznem „buggy,“ czytają właśnie afisz. Na cudnych twarzach ich nie znać najmniejszego wzruszenia, choć czują, że oczy Anaheimu zwracają się na nie w tej chwili: jakby z prośbą, by ratowały honor całego hrabstwa i zarazem z patryotyczną dumą, ugruntowaną na przekonaniu, że nad te dwa kwiaty kalifornijskie nie masz piękniejszych we wszystkich górach i kanionach świata tego. Och! bo też śliczne są siostry Refugio i Mercedes! W żyłach ich nie napróżno płynie czysta krew kastylska, o czem matka ich mówi co chwila, wyrażając za jedną drogą wysoką swą pogardę tak dla wszelkiego rodzaju kolorowych, jak i dla ludzi posiadających jasne włosy, to jest dla „yankee.“

Ciała dwóch sióstr są wysmukłe, lekkie, a pełne w ruchach jakichś tajemnic, niby ociężałe, a takie rozkoszne, że gdy kto z młodzieży zbliża się do nich, serce mu miota się w piersi od niewyznanej i nieświadomej siebie żądzy. Od donny Refugio i Mercedy bije czar, jak woń bije od magnolii i kielichowców. Twarze ich delikatne, płeć przezroczysta, choć zarumieniona lekką różowością, jakby odblaskiem jutrzenki; oczy powłóczyste i czarne, słodkie, a w spojrzeniu niewinne i tkliwe. Obwinięte w skręty muślinowych „rebozos,“ w buggy zarzuconem kwiatami, siedzą oto przeczyste, spokojne i tak piękne, że same nawet zdają się nie wiedzieć o swej piękności. Anaheim patrzy na nie, pożera je oczyma, szczyci się niemi i kocha się w nich. Jakaż więc musi być ta Jenny, jeśli i tu chce odnieść zwycięztwo? *Saturday Weekly Review* pisał wprawdzie, że gdy mała Jenny wedrze się na szczyt masztu wspartego na potężnem ramieniu Orsa, gdy na szczycie drąga zawieszona nad ziemią, narażona na śmierć, pocznie rozkładać rączki i migotać jak motyl, w cyrku robi się cicho i nietylko oczy, ale i serca śledzą z drżeniem każdy ruch cudnego dziecka; „kto ją raz widział na maszcie, lub na koniu, kończy *Saturday Review*, ten jej nie zapomni nigdy, bo największy malarz na ziemi, nawet mister Harvey z San-Francisco, który malował Palace Hotel, nie umiałby wymalować nic podobnego.“

Sceptyczna lub zakochana w pannach Bimpa młodzież anaheimska utrzymuje, że jest w tem „humbug,“ niemniej jednak rozstrzygnie się to ostatecznie dopiero wieczorm. Tymczasem ruch koło cyrku powiększa się z każdą chwilą. Z pośrodka długich szop drewnianych, otaczających właściwy płócienny cyrk, dochodzi ryk lwów i słonia; papugi poprzyczepiane do kół zawieszonych przy szopach wrzeszczą w niebogłosy, małpy huśtają się na własnych ogonach, lub przedrzeźniają się publiczności, trzymanej w oddaleniu sznurami rozciągniętymi wkoło budynków.

Nareszcie z głównej szopy wyjeżdża procesya, której celem zaciekawić do tego stopnia publiczność, żeby aż skamieniała. Czoło procesyi stanowi ogromny wóz, zaprzągnięty w sześć koni z piórami na głowach. Woźnice w kostiumach pocztylionów francuskich powożą z siodła. Na wozach stoją klatki ze lwami, w każdej zaś klatce siedzi lady z różczką oliwną. Za wozem postępuje słoń pokryty kobiercem, z wieżą na grzbiecie i łucznikami w wieży. Trąby grają, bębny biją, lwy ryczą, bicze klaskają, słowem cała karawana jak gomon posuwa się naprzód z hałasem i wrzawą; niedosyć

na tem: za słoniem toczy się maszyna z kominem jak u lokomotywy, podobna do organów, na której para gra a raczej kwiczy i wyświstuje najpiekielniej narodowe „Yankee Doodle". Chwilami para dłużej zatrzymuje się w dudzie, a wtedy z dudy wychodzi zwyczajny świst, co jednak nie zmniejsza entuzyazmu tłumów, które, słuchając tej pieśni kwicząco-parowej, nie posiadają się z radości. Amerykanie krzyczą: hurra! Niemcy: hoch! Meksykanie: e viva! Cahuillowie zaś wyją z zadowolenia jak dzikie zwierzęta, które pokąsał giez.

Tłumy ciągną za wozami, miejsce naokół cyrku wyludnia się, papugi przestają wrzeszczeć, małpy przewracać koziołki: „*The greatest attraction*" nie bierze jednak udziału w procesyi. Na wozach niema ani „niezrównanego na bacie" dyrektora, ani niezwyciężonego „Orsa," ani „anioła powietrznego Jenny". To wszystko chowa się dopiero na wieczór, aby tem większe wywołać wrażenie. Dyrektor siedzi gdzieś w szopie, lub zagląda do kas, w których jego murzyni wyszczerzają białe zęby do publiczności — zagląda i złości się quand-meme; Orso zaś i Jenny mają właśnie próbę w cyrku. Pod płóciennym jego dachem panuje jednak cisza i mrok. Głąb, w której piętrzą się coraz wyżej ławki, prawie zupełnie jest ciemna, największa natomiast ilość światła wpada przez płócienny dach na wysypaną piaskiem i otrębami arenę. Przy owych szarych przecedzonych przez płótno blaskach, widać stojącego przy parapecie konia, wedle którego niema nikogo. Grubopłaski koń nudzi się widocznie, opędza się ogonem od much i kiwa o ile może łbem przywiązanym na białem lejcu i podgiętym ku piersiom. Powoli oko odkrywa i inne przedmioty, jako-to leżący na piasku drąg, na którym Orso nosi zwykle Jenny, i kilka obręczy zaklejonych bibułą, przez które Jenny ma skakać — ale wszystko to leży niedbale porzucone, cała zaś pół-oświecona arena i mroczny zupełnie cyrk robią wrażenie pustkowia z pozabijanemi oddawna oknami. Szeregi spiętrzonych ławek, w niektórych tylko miejscach obrzucone blaskiem, wyglądają jak rumowiska; stojący ze spuszczonym łbem koń nie ożywia obrazu.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

PYŁKI.

Lira.

Na pustej drodze lira leży,
Przy której śpiewał mistrz natchniony,
Czasem w nią tylko wiatr uderzy,
Echowej pieśni budząc tony...

A wraz z tą pieśnią smutnie płynie
Skarga, rzewnemi łzami drżąca,
Że teraz, teraz już jedynie
Wiatr tylko w złote struny trąca.

Fragment.

Mówią, że kiedy łabędź kona
I kiedy żegna pieśnią świat,
Ta pieśń się jawi wymarzona,
Do której tęsknił tyle lat...

A ja, choć pragnę, pragnę szczerze,
By pieśń potężną rzucić w świat,
Że pieśń ta zjawi się, nie wierzę,
Choćby pod koniec moich lat.

Do poety.

Myślisz, że cudnej pieśni tony
Oddźwięką echem w sercach ludzi?
Pusta cię mara tylko łudzi....
Szalony!...

Pieśń twoja zginie w poniewierce,
Nikt nie zapatrzy się w jej głębi,
Tylko ci duszę świat wyziębi...
O biedne serce!...

Lecz hańba, gdy ci piersi jękną,
Kiedy zaboli rana krwawa:
Wszak celem twym nie pusta sława,
Lecz nieśmiertelne piękno.

Henryk Rygier.

Do swoich.

Napisał Sewer Maciejowski.

(Dokończenie.)

W gospodzie świeciło się, weszła, na kominie płonął ogień, ciepło ją ogarnęło — zesłabła i siadła.

— Matusiu — odezwała się żydówka — może wam piwa zagrzać, co? A do tego wbić ze dwa jaja, cukru wsypać i cynamonu dodać. Skostnieliście okrutnie.

Maryś miała wielką ochotę na grzane piwo z cukrem, lecz się bała wysokiej ceny.

— Dużo za to będzie? — spytała.

— Dwie szóstek — odparła z powagą żydówka.

— Dwie? — jęknęła Maryś.

— No, no, widzę, że piwo z cukrem i cynamonem za rarytne la was, napijcie się przegotowanego mleka za szóstkę.

Maryś zagrzała się gorącem mlekiem i położyła na ławie, prosząc, aby ją zbudzono do kościoła... — Śniło się jej, że w niebie zbytkowała ze Stasiem, aż święty Stanisław się zaśmiał. — Jęk dzwonu, wpadając przez odemknięte drzwi, zbudził ją. Zerwała się na równe nogi, otuliła się chustką, pochwyciła koszyk — poszła.

W kościele proboszcz odprawił mszę świętą, garstka ludu i mieszczan siedziała w ławkach. Maryś klękła przy konfesyonale i gdy dzwoniono na podniesienie otworzyła drzwiczki, wysuwając płachtę z ciałem dziecka na kościół. Po skończonej mszy z płachtą na ramionach wyszła za drugimi, ludzie pokazali jej drogę do plebanii. Stanęła w wielkiej sieni, gdy proboszcz wszedł, padła przed nim na kolana.

— A ratujże mnie, ratuj — jęknęła. Moskale chcieli mi zabrać dziecko i pochować w swojej wierze, a toć przecie katolickie, jak ja katoliczka i mój chłop katolik. Takem ci je zabrała i uciekła z niem bez granicę i zaleciałam aż tu, taki kawał drogi. Pochowajże mi go, pochowaj, nie gub jednej duszyczki a najświętsza cię za to nagrodzi.

Proboszcz patrzał zdziwiony. Maryś zsunęła płachtę i rozwinęła ją. Sinawe ciałko dziecka w koszulinie przewiązanej czerwoną wstążeczką, zmarznięte na kość leżało — w rękach czerniły się paciorki różańca i krzyżyk.

Niechże legnie w poświęconej ziemi i niechże go nasi aniołowie wezmą do swej chwały.

Spojrzała na płachtę, pochyliła się.

— Co to! — krzyknęła.

Koszulina była przedarta, odchyliła ją — ciało było przedziurawione na wylot. Rozsunęła płachtę, i płachta przedziurawiona, obejrzała chustkę, i chustka przedziurawiona. Pomacała się — granatowy kaftan rozdarty.

— Nie darował mi zbój moskiewski, dziecko przebił i łachy podarł!... A bodajeś z piekła nie wyszedł!

Zwróciła się do proboszcza.

— Byłam już o pół stajania od naszej strony, i trzeba nieszczęścia, Moskal mnie dojrzał. Jak ci nie wrzaśnie: *Pa-stoj!* — Będę ja ci postawać, pomyślałam, a on jak nie lunie. I przestrzelił mi dziecko, łachy poszarpał... — Zalała się łzami.

— Zkądże jesteście, moja matko?

— Z Łętowic! Pacynianka z ojca, a wydałam się za Michała Biedronia, na imię mi Marysia, ludzie mnie znają. Leciałabym do swojej parafii, ale cóż, zmordowałam się okrutnie i ustałam. Mróz wielgi, ciężko, boję się że nieuradzę; boję się, żeby mi nie zabrakło sił; boję się paść z niepochowanem dzieckiem!

— Pragnę ci pomódz z duszy, lecz musisz wiedzieć, że mi nie wolno chować nieznane dzieci, a twoje jeszcze postrzelone. Dowiedzą się żandarmy, powiedzą, żeś dziecko zabiła, odkopią — będzie kłopot i wielka na mnie **kara.**

— Żebym ja była taka suka i dziecko zabiła, tobym pazurami wydrapała dół, rzuciła je, jak psa, i zagrzebała. Ja zabijałabym własną krew?!...

Pochwyciła dziecko i tuliła do siebie płacząc.

— Niema już dla nas zmiłowania, mój Staszku, i niema la ciebie na całym świecie skrawka poświęcanej ziemi.

Proboszcz, wzruszony i zakłopotany, wyjął z kieszeni srebrnego guldena i dał go kobiecie.

— Macie na furmankę; ludzie jeżdżą do Leżajska, to się za byle co przysiądziecie. Pochować nie mogę, bobym tylko na siebie, na was i dziecko nieszczęście sprowadził. Niech cię Bóg błogosławi, a Najświętsza prowadzi.

Maryś srebrnego wzięła, pokłoniła się księdzu, płachtę z ciałem dziecka zawdziała i odeszła.

— Sądzone widać, moje dziecko, żebyś między swemi leżał i razem z nami czekał sądu ostatecznego.

Zwróciła się na prawo ścieżkami do Sanu. Przeszła rzekę po lodzie, na drugiej stronie spotkała chłopa, jadącego sankami. Sam z dobrawoli stanął, zabrał ją, posadził przy sobie i pojechał.

— Nie zawiozę was do samego Leżajska, ale o jaką trzeciznę zawsze wam drogę skrócę.

Maryś na podziękowanie wyjęła flaszkę z wódką i poczęstowała go. Chłop zaledwo przytknął usta, aby nie urazić kobiety, flaszkę oddał, chleba i słoniny jeść nie chciał, mówiąc, że grzech objadać podróżnego w drodze.

Odetchnęła kobiecina. Na sankach było jej rozkosznie, wyciągnęła nogi, zmęczone muszkuły odpoczywały.

— Byle ino dobić do Leżajskiej Panienki — powtarzała w duchu. — A potem do swoich, do swoich!

Jechali. Chłop palił fajeczkę i gwarzył, Maryś w rozkosznym półśnie słuchała. Powieki same się zsunęły, otworzyć ich nie mogła.

— Matuś! — zawołał chłop, wstrząsając śpiącą.

— Zdrzemnęłam się.

— I nie dziwota — odparł. — Widzicie gościniec, leci wprost do klasztoru i miasta.

Maryś zsunęła się z zawiniątkiem z sanek, podziękowała, gospodarz skręcił szkapy w las. — Szła raźnie, rada, że jej się dobrze dziać zaczyna. Żal jej było płachty, chustki wełnianej i granatowego kaftana, przedziurawionych kulą Moskala, lecz i to nieszczęście ofiarowała Najświętszej Panience, byle dobić do swoich.

Mróz skrzypiał pod nogami, chwytał za uszy i ręce, zaglądał do oczu; Maryś szła, powtarzając:

— Byle ino do Leżajskiej Panienki!

Z poza drzew sosnowego lasu zobaczyła wynurzającą się wieżę kościoła. Poznała go, dziękując Bogu za ten radosny widok. Odpoczęła, poprawiła płachtę i poszła dalej.

Powoli, nieznacznie zaczęły ją siły opuszczać, ciało dziecka ciążyło okrutnie; słabła, oczy się jej zamykały, radaby się położyć i zasnąć, choćby wiecznym snem, aby już nie iść dalej.

— Bałam się ino jednego, że nie podolę i sprawdza się. Boję się siąść, bo gdybym kucnęła, czuję, że się więcej nie podźwignę, przyjdzie mróz i zdusi... Niechta — pójdę ze Staszkiem i dobrze nam obojgu będzie.

Żal, srogi żal pochwycił ją za gardło i wstrząsnął.

— Broń się do ostatniego tchu, zawołała i choć się jej nogi uginały, szła wciąż.

Z poza wzgórza stanął raptownie przed jej oczami kościół, jakby sam się przysunął. Rzewność ją opanowała, łzy cisnęły się do oczu, z góry na dół łatwiej jej było iść.

Cicho dokoła, kramy pozabijane deskami, żywej duszy — budynki puste. Z jednej tylko narożnej gospody niebieski dym wązką kitą biegł w górę.

— Kiejem się dobiła na dziedziniec świętej Panienki, to już nie zginę.

Chciała biedz do gospody, lecz z ciałem dziecka nie śmiała i bała się.

— A nuż ziandary z koguciemi piórami, abo jaki ciekawy smyk pomaca mi płachtę?

Zadygotała ze strachu.

— Co zrobię, gdzie się podzieję, jak sobie dam radę?...

Strach przed żandarmami olbrzymiał.

— Porwą mi dziecko, a mnie zamkną... Oddam je Cudownej Panience, przecie się niem zaopiekuje.

Zaczęła gorączkowo odwalać rękami śnieg, lecz zmarznięta ziemia ani jednej grudki nie dała od siebie oderwać. Zrobiony dół naprowadził szczęśliwą myśl. Otuliła płachtą dziecko, włożyła w śnieg i zasypała, naznaczając miejsce gałązkami choiny.

— Poleżże sobie tu cicho, mój Stasiu, ja się zagrzeję, skrzepnę, wrócę po ciebie i jak Bóg da, będziemy dziś na noc w Łętowicach.

W karczmie kupiła kaszy i z mlekiem uwarzyła. Pokrzepnięta wróciła do dziecka, płachtę wydobyła ze śniegu, przewiązała się nią przez plecy i oglądając się ze strachu przed żandarmami, poszła do miasta. Szczęściem dla niej, w tej samej chwili wyjeżdżała sankami poczta.

— Do Jarosławia za trzy szóstki, zawołał wesoło powożący chłopak.

— Dam dwie — odpowiedziała Maryś, — bo nie do samego Jarosławia, ino do Łętowic.

Radość zapierała jej oddech.

— Dawajcie, odpowiedział i konie zatrzymał.

Maryś wydobyła z zanadrza gałganek i zapłaciła. Zawiniątko ułożyła w sianie, otuliła i siadła obok chłopaka.

— Cóż to wieziecie? — zapytał, trzaskając z bicza.

— A cóżby łachy i świąteczną przyodziewę.

— Po cóż do Łętowic?...

— *Do swoich.*

— Zdaleka?

— Aż z pod Moskala.

— Jabym tam z Moskalami i godziny nie wytrzymał. Dobrze, że wracacie, bo nam tu brakuje zmyślnych i młodych bab — i ujął ją wpół i przycisnął.

Maryś żachnęła się gwałtownie.

— Nie zbytkuj, bo zlezę i odbiorę pieniądze.

— Kiejście tacy niedotykani, to nie warto do was i gęby otwierać!...

Chłopak ściągnął brwi, odsunął się, świsnął na konie i leciał po gładkiej drodze jak opętany. Maryś odpoczywała. Słońce okrwawiło świat, kładąc czerwień na biały śnieg i niebieskie sklepienie nieba. Wykąpane w purpurze, na wielkim obszarze nieprzejrzanej okiem płaszczyzny, mknęły saneczki. Konie parskały wesoło, serce kobiety drżało z rozrzewnienia... Chłopak stanął.

— Widzicie drogę do Łętowic?...

— Cobym nie miała widzieć, przecie to moja droga.

Wyskoczyła, pochwyciła zawiniątko.

— Bóg zapłać.

— Szczęśliwa droga — zaciął konie i odjechał.

— *Do swoich* — zawołała Maryś, skręcając rogi płachty na piersiach — *do swoich.* Najświętsza Panienka tak spekulowała, że mnie przecie zawiodła.

Szła szybko, rozglądając się dokoła. Wśród strzelających w niebo topoli i rosochatych lip, wyjrzały kopułki drewnianej cerkiewki.

— Jest — szepnęła serdecznie — ta sama, jaka była nasza unicka, katolicka!... Moja — zawołała — i mego Stasia i mego chłopa!

Chaty się jedna po drugiej wydobywały, dym czerwony strzelał w górę,

wydał się okrutnie miły, jasny, ciepły.

— Trzecia od kraja, to chata mej chrzestnej matki. Ta sama stoi, jak stała... Wszystko jak było — Boże!... Dopadła, otworzyła drzwi do sionki, jakiś ją lęk zebrał. Przy kominie stała wiekowa kobiecina, lecz jeszcze krzepka.

— Niech będzie pochwalony!

— Na wieki!

Patrzyły na siebie.

— Maryś!

— Matusia!

— Skądżeś się wzięła, dziecko, na taki mróz? Czy cię chłop wygnał?

— Przyleciałam *do swoich!*

Uściskały się, zawiniątko złożyła na łóżku.

— No, to dobrze, żeś nas przecie nawiedziła.

— Matuś, spotkało mnie wielgie nieszczęście — szeptała. — Bóg zabrał mi do swej chwały chłopaka — śliczności — zalała się łzami. — Mój, jak wiecie, z pod Moskala, unita, jak i ja, ale cóż, Moskal sprowadził swoją wiarę, chłopa mi zapisali do niej i dziecko chcieliby pochować w moskiewskiej wierze. Niedoczekanie wasze! Z chłopakiem uciekłam *do swoich.*

Odwinęła płachtę, pokazując zmarznięte ciało dziecka.

— Na granicy Moskal mi go postrzelił i łachy przedarł, ale to nic, jestem u swoich i dziecka na zatracenie nie dałam.

Białe włosięta przygładziła, pogłaskała i pocałowała.

— A teraz matusiu nie ma co, ino jeszcze za dnia do jegomościa.

— Starego już nie ma, ale i nowy dobry, o dobry!... Miłosierny, ludzie go okrutnie lubią.

— To i nademną się ulituje! — zawołała Maryś, otulając się czerwoną chustką.

Proboszcz wysłuchał cierpliwie długiego opowiadania kobiety. Popatrzał do metryk i przekonał się, że Marysia Biedroniówna urodziła się dwadzieścia cztery lat temu. Rodzicami chrzestnymi byli ci sami, których podawała.

— Wiara twoja gorąca — odezwał się wzruszony — i dlatego pochowam ci dziecko uroczyście, aby czyn twój zaświecił na całą okolicę!...

Kobieta rzuciła się do nóg proboszcza.

— O la Boga, przecie zrobiłam ino to, co każda matka powinna zrobić. Cóżto, nie miałam bronić własnego dziecka od wiecznego zatracenia?...

Uszczęśliwiona, obleciała wszystkie znajome chaty, płakała za dzieckiem, a radowała się ludźmi.

Nazajutrz proboszcz przysłał trumienkę malowaną na niebiesko, Stasia poniesiono do kościoła i złożono na katafalku. Nikogo ze wsi nie brakowało. Zapalono światło, ksiądz przemówił serdecznie. Maryś płakała z wielkiego rozrzewnienia, lecz nie była w stanie ocenić wielkości swego czynu. Zrobiła co musiała — i już. Dziewczęta na białych ręcznikach zaniosły trumienkę na cmentarz. Proboszcz w kapie, przy nim djaki i organista, chorągwie furczały w powietrzu, lud śpiewał, serce matki wzbierało falami szczęścia, żalu, dumy i upojenia. Chłopczyna jej leżał ze swymi w poświęcanej ziemi, obok jej matusi, tatusia i czekać se będzie w spokoju na nią.

— Mój Boże, niema tu mego, niema, Michała, nie widzi tych wspaniałości... — myślała, ocierając oczy.

Spłakaną i rzewnością rozebraną kobiecinę ludzie uczęstowali i odwieźli do chaty chrzestnej matki. Leżała cały dzień i całą noc, zanim skrzepiła się i obaczyła.

Trzeciego dnia mróz złamał kark i padł. Dobrze jej było u swoich, lecz żal ciągnął do chłopa.

— Bez dziecka, bez baby, cały dzień napracuje się siekierą w lesie, belki ciosa, budynki składa i nocą wraca do domu samiuśki jak palec. Pusto będzie w izbie, ale przynajmniej ogień zastanie na kominie, a babę wele siebie.

Pożegnała się więc wkrótce z krewnymi i sąsiadami i wróciła do chłopa.

Piosnka mazurska.

Płynie biała chmurka
Po błękitnem niebie —
Powiedz, chmurko dokąd
Wiatry niosą ciebie?

Czy są gdzie na świecie
Takie łąki, pola?
Czy gdzieindziej pachnie
Tak, jak u nas rola?

Czy są gdzie na świecie
Takie piękne drzewa?
Czy też gdzie słowiczek,
Tak, jak u nas, śpiewa?

Czy są gdzie na świecie
Ładniejsze dziewczęta,
Krasne, jak maliny,
Żwawe, jak ptaszęta?

Nie zabaczysz, chmurko,
Piękniejszego kraju,
Chyba zawędrujesz
Do Bożego raju..,

Popłynęła chmurka
Po błękitnem niebie —
Powiedz, chmurko, dokąd
Wiatry niosą ciebie?

Marcin Korczyński.

Z teatru.

„Złote runo,“ dramat Stanisława Przybyszewskiego.
„Niech żyje życie!“ dramat Hermanna Sudermanna.

„Złote runo“ stanowi wyłom czy przełom w twórczości Stanisława Przybyszewskiego. Opiera się bowiem na innej ideowej podwalinie, aniżeli poprzednie utwory autora „Dzieci Szatana“ i „Nad morzem.“

Autor, służący sztuce czystej, w którego pojęciu sztuka nie zna przypadkowego rozklasyfikowania objawów duszy na złe i dobre i nie stoi na usługach etyki lub moralności, lecz pod hasłem „sztuka dla sztuki“ wspina się do świątyni piękna aż tam, gdzie dusza obnaża się z węzłów mózgowych — w „Złotym runie“ przez usta Ruszczyca wprowadza w swój utwór dwa te pojęcia i stawia tezę, że „istnieje jakaś dziwna tajemnicza wewnętrzna moralność w każdym czynie i to co złe zawsze mści się.“ Jednakże człowiek nie jest w stanie rozsądzić co jest złem a co dobrem; chyba w momentach, gdy mózg w rozprzężeniu lub omdleniu ekstatycznem traci władzę a wrażenia kojarzą się z sobą po za granicami świadomości „czyli wtedy — jak powiedziałby Przybyszewski — gdy z głębin wynurza się „naga dusza“ w swoim absolucie — może on mieć przebłyski rozpoznania. Ale gdyby nawet posiadał zupełną świadomość moralnej wartości swych czynów, nie zdołał by oprzeć się fatalności, w której ręku jest maeterlinckowską maryonetką bez wolnej woli. Zresztą „nie należy opierać się przeznaczeniu“ jak mówi Ruszczyc, „jeżeli nie chcemy powiększyć nieszczęścia“ — albo jak mówi Tołstoj: „nie należy opierać się złemu.“

A zatem iście rosyjsko-oryentalna teorya bierności i wpływ Tołstoja odbiły się na „Złotem runie“ i w rezultacie z etycznego tła dramatu wysnuwa się systemat pojęciowy wcale nie nowy acz zabarwiony tolstoizmem i ujęty w zdania oryginalne — systemat „jakiś dziwny, tajemniczy.“

Jest on tem więcej tajemniczy, że Ruszczyc wikła się w sprzecznościach. Wyrażenie, którem wojuje, iż „nie ma winy, ale jest kara,“ nie jest szczęśliwem, bo ściśle biorąc nie może być *kary,* gdzie nie ma winy, a jeżli autor w tej błyskotliwej formie chciał powiedzieć, że nie ma winy, bo nie ma wolnej woli, lecz wewnętrzny fatalizm

czynów, nieszczęście — nie rozjaśnił nam mistycznego obłoku przysłaniającego dramat. Jeżli zaś Ruszczyc twierdzi, że usiłując sprowadzić człowieka z drogi przeznaczenia powiększa się nieszczęście, tem samem niejako przyznaje, że człowiek posiada przynajmniej możność samowolnego unieszczęśliwiania i może wpłynąć na przeznaczenie, które wobec tego przestaje być wszechpotężnem greckiem fatum. Wreszcie wygłasza maksymy nie licujące z założeniem sztuki. Możnaby przeto przyjść do przekonania, że Przybyszewski jest niepewnej wartości filozofem.

Ale jest wielkim artystą, dla którego ów mglisty mistycyzm jest wybornym środkiem artystycznym. Niby sęp krąży nad domem lekarza Rembowskiego przeznanie, nieszczęście. Wyczuwają to wszyscy; mówią przyciszonym głosem, jakby nie chcieli zwrócić uwagi na siebie owemu nieszczęściu, co „czyha“ w zasadzce. Wszyscy cierpią, nawet Przesławski, wykonujący wyrok przeznania z tą *„świętą* (sic!) — jak mówi Przybyszewski — odwagą swej zbrodni.“ Demoniczny i groźny zdaje się cząstką duszy pojmować swe destruktywne zadanie i dostraja się harmonijnie do całości. A przy ogromnie spoistej budowie sztuki, której wątka autor trzyma się niemal kurczowo, widz od początku do końca pozostaje pod wrażeniem grozy. Przybyszewski przesuwa nam przed oczyma ogromną gamę obrazów psychicznych, zmieniających się nieznacznie i prawidłowo jak w animatografie i składających się na skończoną sonatę cierpienia.

„Złote runo“ to nie studyum psychologiczne z życia, lecz studyum z życia duszy ludzkiej — przeprowadzone z ibsenowską doskonałością techniczną.

Sztuka, wyreżyserowana umiejętnie i starannie, w wykonaniu ogólnem nie pozostawiała nic do życzenia; artyści wszyscy grali powściągliwie, miarkując słowa z nakładem świadomości artystycznej tak, iż nie zakłócili niczem nastroju.

Inaczej ma się rzecz z grą poszczególnych aktorów.

Irena, jak niemal wszystkie kobiety Przybyszewskiego, odgrywa rolę bierną, aczkolwiek rozstrzyga się jej los i trzyma w ręku los męża, i jest jak ów liść, który daje się unieść silnemu wiatrowi. Jeżeli łaknie nieprzeparcie pogodnej, ciepłej atmosfery, słońca, swobody i cierpi pod presyą dręczącej miłości męża, trawionego niepokojem — jest zarazem ogromnie kobiecą, wrażliwą, nerwową i uczuciową istotą — puchem marnym, ale jak motyl pięknym. Panna Podgórska nie posiada ani zewnętrznych, ani wewnętrznych warunków do ról tak lirycznych i miękkich, dlatego gra jej nosiła wyraźne ślady sztuczności, która uderzała szczególnie w głosie. Wtłoczyła się ona w karby roli gwałtem, ale przyznać jej trzeba, że wystudyowawszy ją starannie oddała ją jak mogła najlepiej z zrozumieniem i jednolitością bez wahań, bez chropowatości i usterek, przez co dowiodła wielkiego obycia się z sceną. Wyszła zatem z zadania zaszczytnie.

Pan Andruszewski jako Ruszczyc ucharakteryzował się dobrze, powagę i smutną zadumę miał na czole, a piękny głos barytonowy oddał mu niemałe usługi, ale szkoda, że nie wlał więcej ciepła w perswazye, więcej głębokiego, serdecznego przekonania w prawdę swych słów. Przecież nauki Ruszczyca to nie zaczerpnięte z książek formułki, lecz z życia wysnute i krwią opłacone prawdy. Zresztą nie jest on suchym mentorem lub rezonerem, lecz interesowanym żywo aktorem dramatu. Niczem też nie zdradził nam p. Andruszewski w pierwszych dwóch aktach ojcowskiej miłości Ruszczyca dla Rembowskiego. Chłód wiał od niego.

P. Prochaska, znalazł się w tem położeniu, co panna Podgórska. Demoniczny, Przesławski, coś w rodzaju Falka lub Żdzarskiego, „homo sapiens,“ i „nadczłowieka“—ulepiony z egoizmu, sceptyzmu, artystycznych zapędów, wyposażony porywającą siłą woli, a zarazem jakąś czarowną miękkością w obejściu z Inką nie znalazł w nim odpowiedniego przedstawiciela. P. Prochaska nie czuł się — Przesławskim, nie pojął intencyi autora.

P. Ryszkowski szarżował, przesadził; był zbyt fizycznie złamanym i zbyt posępną miał maskę. Więcej miary, więcej dyskrecyi, mniej płaczliwości.

Przodował grą p. Stradiot, który uwydatnił całą swą inteligencyą w kierunku ról charakterystycznych, psychologicznie pogłębionych. Nie sprzeniewierzył się ani razu artystycznemu założeniu swej roli, wycieniował ją mimiką i giestykulacyą i dał nam przejrzysty i wykończony portret Gustawa.

* * *

Przy boku „Złotego runa“ gaśnie gwiazda Sudermanna, tem więcej, że „Niech żyje życie!“ uchodzi słusznie za słaby utwór autora, który obiecywał bardzo dużo, a zeszedł pomiędzy fabrykantów sztuk scenicznych. Fabrykacyą aż nadto widoczną jest też „Niech żyje życie!“ począwszy od niezgrabnie, sztucznie wsuniętego tytułu, a skończywszy na teatralnej śmierci bohaterki. W gonitwie za scenami o silnem napięciu dramatycznem, które wstrzęsły-by nerwami widza, Sudermann zagubił swe poczucie prawdy psychologicznej.

Pozostał wszakże charakterystyczny obraz sfery konserwatywnych parlamentaryuszów, obraz ciemny, rozjaśniony nieco przez postać hr. v Kellinghausena. Mieszka w nim brak wiary w ideał polityczny, sceptycyzm, szpiegostwo, małostkowość, ubóztwo intelektualne i kłamstwo. Dosadnio maluje tę sferę szczere wyznanie hreczkosieja junkerskiego, a ojca trzech obiecujących zjadaczów państwowego chleba, który oświadcza, że z niemałym nakładem popycha synów w najlepsze towarzystwo, bo główna rzecz stosunki. Skoro celu dopną, „państwo musi ich żywić!“ W jeszcze gorszem świetle przedstawią nam niemieckich rządowców, ów wielki, ukochany baron Völkerlingk, filar partyi, przyszły minister, który ani słowem nie powstrzymuje kochanki od samobójstwa, jakiem ona chce go uratować od śmierci, który wygłasza fulminacyjną mowę, zupełnie sprzeczną z swem postępowaniem i, lubo moralnie się zobowiązał zgodnie z wyrokiem własnego syna odebrać sobie życie — śmierć Beaty uważa za ekspiacyę. Marna figura!

Tej zgangrenowanej sferze przeciwstawia autor, szukający silnych kontrastów, młode Niemcy w postaci Norberta Völkerlinga, ale skoro młodzieniec wyrośnie na męża zatraci bodaj swą samoistność pojęć w atmosferze serwilizmu i zejdzie na podobnego do ojca karyerowicza.

Szczególnie odrzyna się od ciemnego tła socyalista Meiksner, człowiek idei, żyjący i umierający dla swego ideału społecznego, którego autor wyposażył tak pięknymi rysami jakby chciał sferom rządowców dać gorzką naukę i wyjaśnić ogółowi tajemnicę rozrostu socyalizmu. On jeden prócz hrabiego Kellinghausena został odrysowany przez autora poprawnie, con amore.

Tło sztuki jest nieskończenie lepszem od sztuki samej, ratuje ją i zapewnia jej trwały sukces na scenach niemieckich.

Trudne i niewdzięczne zadanie miał p. Andruszewski, bo charakter Völkerlingka naszkicował Sudermann w grubych a niejasnych konturach. Zresztą zważać trzeba, że młody artysta w ciągu trzech dni występował w dwóch premierach. Złożyło się

to na to, że postać Völkerlinga zatarła się w jego interpretacyi. P. And. widocznie nie zdawał sobie sprawy z intencyi Sudermanna, nie zgłębił charakteru barona i ztąd często z lodowatą, nic nie mówiącą biernością zachowywał się w momentach dramatycznych.

Notabene p. And. wogóle hołduje ... teoryi bierności, i widujemy go często stojącego na scenie w postawie sztywnej, bez czucia, bez myśli, jakby postać i dźwięczny organ miały same złożyć się na kreacye bez współudziału intelektu. Pani Orwidowa jako Beata wykazała postęp i głos jej niewielki nabrał pewnego dźwięku i siły i tylko raz po raz pozostawiał jeszcze do życzenia. Lekcya wyniesiona z występów Modrzejewskiej nie poszła w las; reminiscencye wyszły na korzyść Beaty, która zyskała na powabie w ruchach, przybierając niekiedy pozy Maryi Stuart. Pod każdym względem świetnie oddał p. Ryger hrabiego Kellinghausena. Wdzięczną Ellen była panna Zielińska, zupełnie poprawną baronową panna Grochowska chociaż to nie dla niej rola.

Starannie i dobrze wywiązał się z roli Meisknera p. Dybizbański, wszelako musimy mu zwrócić uwagę, że miał wygląd zbyt nędzny i maskę czarnego charakteru podczas gdy z twarzy chorowitego demagoga powinno bić światło zapału i szlachetnych uczuć. Podrzędniejsze role spoczywały w rękach pp. Poleńskiego, Czerniaka, Wiślańskiego i Sowińskiego, którzy przyczynili się godnie do powodzenia sztuki. W galeryi arystokratycznych parlamentaryuszów szczególnie wyróżnił się pan Dobrzański jako książę Usingen.

23, 3, 1903,

Roman Rola.

KRONIKA.

Wiosna, chociaż słabe dopiero daje znaki życia w przyrodzie, tym silniejszym blaskiem bije z okien wystawnych. Przed oknami wystawnemi składów z damską konfekcyą i z kapeluszami tłoczy się płeć nadobna, racząc się widokiem tych wszystkich śliczności, a mąż, jeżeli towarzyszy żonie, z pewnym lękiem patrzy na oblicze swej ubóstwianej, jakby obliczając, ile za okrzyk zachwytu wywołany kapeluszem utworzonym według ostatnich wymagań mody, ile za uczucie dla oryginalnie skrojonego okrycia wiosennego zapłacić przyjdzie.

Lecz nie mam nic przeciwko temu, aby mężowie dogadzali nawet fantazyom swych lepszych połów, — sprawcie im tę uciechę, bo przecież one, te lepsze połowy, zasługują na to w całej pełni, lecz zaklinam was idźcie do *polskich* magazynów stroji, idźcie do *polskich* składów konfekcyi damskiej. Nie będę wymieniał tutejszych magazynów polskich, z których nadobne moje czytelniczki, czerpać mogą swe przedmioty, podnoszące ich wdzięk i urodę, bo mógłbym przypadkowo jeden lub drugi pominąć, ale za to zaręczyć mogę, że jest ich tyle, iż zaspokoić można gusta wszelakiego rodzaju od skromnych do najwybredniejszych. Przy tej sposobności zaspokoję ciekawość jednej z czytelniczek, która zapypytywała naszą Redakcyą, z jakiej prasowni wychodzą tak eleganckie stroje kilku naszych aktorek. Otóż nie pochodzą one jak nam donoszą, ani z Berlina ani Paryża, lecz z pracowni polskiej S. Szuman przy ul. Teatralnej, która może się poszczycić takiemi okazami kunsztu krawieckiego. Ponieważ rozpocząłem pisać o polskich magazynach zwrócę uwagę na świeżo otwarte wielkie przedsiębiorstwo krawieckie przy rogu Starego Rynku i ulicy Wrocławskiej, na skład pana Brzeskiego. Pan Brzeski zadał co się zowie szacha największym tego rodzaju przedsiębiorstwom żydowskim. Mam nadzieję, że przekonamy się do tego przedsiębiorstwa i zamiast zapychać kieszenie żydów, wynoszących się z groszem zdobytym na nas do Berlina, życzyć go będziemy swojemu.

Stary Rynek stał się wogóle celem pragnień wszystkich kupców i przedsiębiorców. Stare kamienice znikają, dając miejsce nowym gmachom, całkiem jakby ze szkła. Życzyćby należało, aby przy Starym Rynku osiadało naszych kupców i przemysłowców jaknajwięcej, ponieważ widocznem jest, że główny przetarg dla towarów, obliczonych na przeciętną publiczność tam się koncentruje i odbywa. Niestety mało jest jeszcze naszych przy Starym Rynku, przewaga jest po stronie żydowskiej. Trochę późno wzięliśmy się do zdobycia tej ważnej pozycyi handlowej, ale powoli może ją odzyskamy. —

W niemczyźnie panuje wielka radość, najpierw dla tego, że „Ostmarkenzulagi'' uchwalono. Powinszować sztreberom! Lecz pieniądz ten nie wyjdzie na dobre dla moralnego zdrowiu stanu urzędniczego, takie premie psują tylko charakter. Ileż to zawiści powstanie dla tego marnego grosza wśród urzędników jeżeli jeden wyższą a drugi niższą otrzymuje nagrodę! ale temu powolnemu rozkładowi pruskiej duszy urzędniczej przeszkadzać nie myślimy.

Powtóre panuje i dla tego radość w niemieckim rodzie Hakatystów, że spełnią się ich nadzieje, że Poznań otrzyma *pałac królewski.* My do tego pałacu żadnej nie przywiązujemy wagi. Lecz pewnem jest, że razem z pobudowaniem pałacu pomnoży się liczba „kammerherrów'', kammerjunkrów i „hofliferantów''.

I tych tytułów nie zazdrośćmy Hakacie. Jeszcze jedno warto mi zanotować. Oto wystawa wszechsłowiańska, o której wieści pojawiały się w najróżniejszych formach, jak wieści o wężu morskim, w nowe zaczyna wchodzić stadyum. Rosyanie zaczynają się przekonywać, że Petersburg nie jest stosownem miejscem dla wystawy, więc Petersburskie „Wiedomosti'' po dłuższych rozwagach dochodzą do przekonania, najpierw że sprawa jeszcze nie zupełnie dojrzała i dla tego trzeba ją odłożyć do dalszego terminu, a powtóre, że najstosowniejszem miejscem dla urządzenia wystawy wszechsłowiańskiej jest Warszawa.

Trudno wiedzieć, czy artykuł ten jest inspirowany ze strony Komitetu zajmującego się wystawą, i trudno też przewidzieć, jak go przyjmie opinia publiczna rosyjska. Nikt jednak zaprzeczyć nie może, że artykuł ten i myśl w nim zawarta jest symptomem dużo mówiącym.

Tymczasem wstrzymuje się od wszelakich uwag i odczekam na inne głosy prasy rosyjskiej, odczekam też, co na to powie warszawska prasa, jeżeli w tym przedmiocie wolno jej będzie zabrać głos, co wprawdzie przy tamtejszych stosunkach cenzuralnych jest wątpliwem. —

Jest to ostatnia „Kronika'' w tem ćwierćroczu, lecz bynajmniej nie żegnam się z czytelnikami i czytelniczkami „Pracy'' mówię im raczej do widzenia w przyszłem ćwierćroczu, a życzę, aby do dawnych czytelników przybyli liczni nowi.

Alfa.



Dział Kobiecy.

Kobiety bandytki.

Nietylko serca wydzierają nam kobiety, ale i mienie, oddając się rabunkowi na lądzie i na morzu nieraz z większem od mężczyzn okrucieństwem. Z korsarek, czyli rozbójniczek morskich najbardziej wsławiły się Marya Read i Anna Bonny, Angielki. Pierwsza w dzieciństwie przez rodziców ubieraną była po męsku, ponieważ dziadek nie cierpiał płci żeńskiej. Następnie Marya Read wstąpiła do służby za lokaja do jednej zamożnej pani, była majtkiem na okręcie wojennym, potem kadetem w pułku piechoty, wreszcie w kawaleryi, gdzie zakochała się w jednym z kolegów, Flamandczyku, i wyszła za niego za mąż. Młode małżeństwo założyło garkuchnię, ale mąż wkrótce umarł, a Marya została znów żołnierzem i z oddziałem popłynęła do Indyi. W drodze napadnięta przez piratów, dostała się do niewoli i w końcu przeszła na korsarkę. Na okręcie piratów znajdowała się żona dowódzcy, Anna Bonny. Ponieważ mąż źle się z nią obchodził, usłuchała podszeptów Maryi Read, uknuła spisek przeciwko swemu tyranowi i kazała go zamordować. Naczelne dowództwo nad okrętem i piratami objęły obie kobiety i prowadziły je tak zręcznie i umiejętnie, że przez długie lata były postrachem handlowej floty, aż wreszcie w końcu 17 wieku w krwawej walce z innymi korsarzami zginęły.

W sto lat potem niejaka Izabela Wiliams, kobieta wysoko wykształcona i elegancka, znalazła się przed trybunałem w Londynie, oskarżona o uprawianie rozboju i przemytnictwo na rzece Tamizie na czele bandy uzbrojonych ludzi. Tu przyznała się przed policyą, że zacięte walki staczała i zawsze zwycięzko z nich wychodziła. Ta Izabela, która zaledwie dwadzieścia parę lat wieku liczyła, była herkulesowej budowy, olbrzymem-kobietą. Pomimo to adwokat jej opierał swą obronę, powołując się na słabość kobiecą, aby uzyskać łagodniejszy wyrok. Istotnie skazaną została na rok więzienia.

Natomiast, Anna Mustard, która z rozgoryczenia, że nikt nie chciał pojąć jej za małżonkę (dla jej nieznośnego, gwałtownego usposobienia) zebrała szajkę bandytów i przy jej pomocy naprzód porwała swego ukochanego, — dostała się na dziesięć lat do więzienia. Odtąd — ostatni wypadek wydarzył się w 1815 r. — nie było nic słychać o kobietach bandytkach w Anglii.

Główną bandytką w Ameryce była niejaka Ellen Scott. Osiedlona w Nowym Meksyku, po śmierci męża, dla wychowania dzieci, stanęła na czele własnych niegdyś „Cow boyów“ (pastuchów), z którymi nie tylko że prowadziła koniokradztwo na szeroką skalę, ale i rabunek po drogach, przy tem jednak srogo zabronionem było przez nią morderstwo. Przez cztery lata Ellen Scott w męzkim stroju uprawiała to niebezpieczne rzemiosło, aż wreszcie w 1892 r. wraz ze swą szajką stanęła przed sądem przysięgłych. Tu we wzruszającej mowie przedstawiła swoje dzieje tłomacząc się, że tylko miłość macierzyńska pchnęła ją na drogę występku i dzięki swej ujmującej powierzchowności i płynnej przekonywającej wymowie, zyskała niesłychane na amerykańskie stosunki powodzenie. Uniewinniono ją zupełnie, a publika i lud, ujęty jej gorącemi słowy, uczcił ją jak prawdziwą bohaterkę i urządził na jej korzyść składkę, która doszła do tak pokaźnej sumy, że Ellen Scot nie potrzebowała się już uciekać do dawnego rzemiosła i spokojnie, bez trosk o byt materyalny, poświęciła się w zupełności dzieciom.

Podczas gdy Ellen Scot nie splamiła swych niewieścich rąk ani jednem zabójstwem, aresztowana przed kilku laty w Bostonie Tilly Woods sądzoną była za trzy morderstwa i przyznała się sama, że dokonała sześćdziesiąt trzy napady zbrojne, bądź to sama, bądź przy udziale mężczyzn. Większa część tych zuchwałych napadów była przez nią samą uplanowaną i pod jej kierunkiem wykonaną. A jednak kobieta owa była jasnowłosą, o łagodnem spojrzeniu, panną niezwykłej urody, liczącą zaledwie lat dwadzieścia trzy, gdy ją smutny ten koniec doścignął.

Helena Fortslund, Amerykanka, pochodząca z rodziców Norwegczyków pierwszą swą zbrodnię popełniła, mając lat szesnaście i zachęcona powodzeniem stała się wkrótce postrachem stanu Montana. Ludność wielu miejscowości nie śmiała o zmierzchu wychodzić ze swych mieszkań, ale i w biały dzień napadała na równych drogach. Raz nawet doszło do prawdziwej bitwy między bandą Fortslundówny i policyą, która utraciła kilku ludzi. Po tym wypadku użyto wszelkich sposobów dla obezwładnienia rozbójniczki i wkrótce też udało się ją schwytać. W toku śledztwa okazało się, że mając lat szesnaście została przez niejakiego Clarka uwiedziona, który ją następnie zmusił do prowadzenia z nim razem tego okropnego rzemiosła, które z początku wstrętem ją przejmowało, a z którem z czasem się oswoiła. Potem gdy się przekonała, jak to łatwo z bronią w ręku od najsilniejszego mężczyzny odebrać jego mienie, zaczęła na własną działać rękę. Rozbójniczka prowadziła w porządku księgę, w której zapisywała swe dochody i w pozycyach tych znajdowały się bardzo poważne sumy. Ze względu na jej młodość, wydano na nią stosunkowo łagodny wyrok, gdy tymczasem uwodziciela jej, Clarka, skazano na dożywotnie więzienie.

Najsłynniejszą z podobnych bandytek była hajduczka serbska, Mila, która przez lat dziesięć w panicznym trzymała strachu całą północną część Serbii. Dziwnem to jest, że ta Mila w wiosce swej uchodziła za skromną i spokojną dziewczynę, dopókąd z miłości ku bandycie Petrowiczowi nie przyłączyła się do jego szajki. Z początku, będąc tylko w podrzędny sposób czynną, stała się wkrótce dowódcą bandy i w zuchwałości swej oraz odwadze nie miała rywalów. Gdy w której wsi lub osadzie rozchodziła się pogłoska, że Mila z oddanymi jej bezgranicznie hajdukami znajduje się w pobliżu, cała ludność truchlała ze strachu. Spieszono do kościoła lub modlono się w domu i ostrzono broń do oczekiwanej walki ze strasznymi rozbójnikami; długo tak się działo. Pierwsze zabójstwo popełniła nad granicą rumuńską w początkach osiemdziesiątych lat na osobie niejakiego Stankowicza. Odtąd przez całe sześć miesięcy słyszano ciągle o nowych krwawych zbrodniach. A jednak ta kobieta namiętnie oddana była miłości i wreszcie padła jej ofiarą. Mila oddała swe serce, jak już wiadomo, hajdukowi Petrowiczowi, została jego żoną i przysięgła nigdy go nie opuszczać. Przed sądem w Pozarewaczu wypowiedziała na swą obronę mowę, trwającą półtorej godziny, i ani okiem nie drgnęła, gdy jej odczytano wyrok śmierci.

W.

Pielgrzymka do Rzymu
z dyecezyi gnieźnieńskiej i poznańskiej.

Pielgrzymka do Rzymu z dyecezyi gnieźnieńskiej i poznańskiej wyjedzie na pewno z Poznania w poniedziałek po niedzieli przewodniej dnia *20-go kwietnia r. b.* Ostatni już czas, aby chcący w pielgrzymce brać udział zgłaszali się pod adresem:

Dr. Surzyński Kosten Bz. Posen.

Zgłoszenia po 30-ym marca 1903 w nadzwyczajnych tylko razach uwzględnione będą.

Pielgrzymkowa komisya papiezka ofiarowała do dyspozycyi pielgrzymów jadących III klasą sto łóżek w hospicyum św. Marty przy kościele św. Piotra w Rzymie. Pątnicy wcześnie się zgłaszający będą mieli pierwszeństwo do mieszkania i wiktu w temże hospicyum, a 10 mrk. ze zapłaconej komitetowi pielgrzymki sumy od przewodnika pielgrzymki, ks. dr. Surzyńskiego odbiorą na wyjezdnem w Rzymie z powrotem. Ponieważ 60 łóżek już jest zajętych, dla tego wczesne zgłoszenie w interesie pielgrzymów III klasą jadących jest nader pożądane.

Cena biletów za podróż, za utrzymanie w Padwie, w Bononii, w Lorecie i w Asyżu, za nocleg w Padwie, za dorożki, utrzymanie i noclegi w Rzymie, wreszcie na koszta urządzenia pielgrzymki wynosi:

Klasa	z Poznania		z Oderberga		
	Marki	Ruble	Marki	Ruble	Korony
I	370	180	326	160	390
II i I	320	157	288	140	344
II	293	138	260	128	310
III	189	90	166	80	195

Każdy, który prześle 30 mrk. zaliczki, albo całą należytość, otrzyma książeczkę pielgrzymią p. t. *„Pątnik rzymski.“* Znajdzie on w niej wyczerpujące objaśnienia i wskazówki pielgrzymki dotyczące. Podany tam będzie prócz tego porządek dzienny na czas pobytu w Rzymie, tudzież umieszczone będą modlitwy potrzebne przy zwiedzaniu siedmiu kościołów, w końcu pieśni do śpiewania wspólnego w czasie pielgrzymki. Książeczka zakończy się słowniczkiem wyrazów włoskich częściej używanych.

Lista pielgrzymów zamkniętą zostanie *10-go kwietnia* r. b., po którym to dniu już nikt do grona pątników przyjęty być nie może, chyba w miejsce osób, które koszta podróży zapłaciły, a dla nieprzewidzianych przeszkód jechać nie będą mogły.

Poznań, w marcu 1903.

Komitet pielgrzymki do Rzymu z dyecezyi gnieźnieńskiej i poznańskiej w kwietniu 1903.

Niniejszy numer jest ostatnim w bieżącym kwartale, więc ***czas największy zapisywać***

„PRACĘ”

na nowy kwartał.

W obrębie państwa niemieckiego jest ***każda poczta i każdy listowy tak na wsi jak i w mieście zobowiązany*** każdego czasu do przyjęcia abonamentu, który wynosi na kwartał

tylko 1 markę 25 fen.

Uwaga: Przy zamówieniu na poczcie winien każdy wyraźnie zaznaczyć, że pragnie zaabonować „Pracę z ***Poznania.***

W zeszłym numerze rozpoczęliśmy druk bardzo pięknej dwutomowej powieści, osnutej na tle stosunków alzackich z ostatniej wojny francusko niemieckiej p. t.

Pod pruskim zaborem.

Powieść jest bardzo zajmująca, rozczulająca i owiana prawdziwą miłością ojczyzny.

Początek tej powieści otrzyma każdy nowy abonent gratis i franko.

Nadto zamieszczać będziemy cały szereg przepięknych nowel, opowiadań, wspomnień z podróży i t. d. pióra naszych najznakomitszych współczesnych literatów; mianowicie drukować będziemy między innemi następujące utwory ***Henryka Sienkiewicza:*** nowelkę *„Orso“*, której druk w dzisiejszym numerze rozpoczęliśmy, wspomnienie z podróży *„Walka byków w Hiszpanii“*, oraz opis puszczy Białowiezkiej p. t. *„Z puszczy Białowiezkiej.“*

Początek nowelki „Orso“ otrzymają nowi abonenci gratis i franko.

Jak się Szanowni Czytelnicy przekonają z ostatnich numerów, rozszerzyliśmy także znacznie dział powieściowy i wprowadziliśmy między innemi działami znowu *„Dział rolniczo-ekonomiczny.“*

Każdy ze starych abonentów, który zjedna nowego abonenta, otrzyma jako

premium

piękną książkę powieściową, jeżeli nam nadeśle na dowód własny kwit abonamentowy pocztowy, oraz kwit zjednanego abonenta.

Już czas największy zapisać

„Czytelnię Polską”

na nowy kwartał.

„CZYTELNIA POLSKA“ zapisaną jest na poczcie w spisie gazet na rok 1903 pod rubryką: „Abtheilung II t. poln. 13.“

Abonament „CZYTELNI POLSKIEJ“ wynosi kwartalnie

60 fen.

W Austryi i wogóle w Austro-Węgrzech

97 hal.

Pod opaską: kwartalnie 1,10 mk., czyli 1 koronę 23 hal.

Szanownych Czytelników *w Galicyi*

i wogóle w Austro-Węgrzech prosimy uprzejmie o łaskawe spieszne nadesłanie abonamentu na nowy kwartał w ilości

2 kor. 30 hal.

wprost do administracyi „Pracy“, albo też o zaprenumerowanie naszego pisma na tamtejszej poczcie, w którym to razie abonament uczyni

tylko 1 kor. 47 hal.

Formularze na przekazy pocztowe dla prenumeratorów, odbierających „Pracę“ w Galicyi i wogóle w Austro-Węgrzech pod opaską, dołączamy.

Wiadomości.

— **Z teatru.** Prawdziwie ciekawą i najnowszą premierą będzie sobotnia sztuka Stefana Krzywoszewskiego „Małe dusze“, grana dopiero ostatniemi czasy po raz pierwszy w Warszawie z wielkiem uznaniem. Autor sobotniej komedyi nie obcym jest naszym teatromanom, bo co dopiero w sezonie ubiegłym poznaliśmy jego pierwszy utwór sceniczny „Piękną ogrodniczkę“, który od razu zyskał powodzenie.

— W niedzielę po południu o godz. 3 „Marya Stuart“, dramat Schillera po ce-

nach do połowy zniżonych. Tego dnia wieczorem po raz drugi „Małe dusze."

— *Pan Stanisław Winiecki,* mistrz puszkarski, wstąpił z dniem 1-go b. m. jako wspólnik i kierownik do istniejącej w Poznaniu przy ulicy Wodnej nr. 21 od roku 1850 fabryki broni i amunicyi pod firmą „A. Hoffmann nast. O. Beissel." Pan Winiecki jest zawodowym fachowcem w tej gałęzi przemysłu i ma po za sobą kilkunastoletnią praktykę; wszelkie prace wykonują się we fabryce pod jego dozorem osobistym, co daje rękojmię najlepszego wykonania. W elki wybór broni po cenach nadzwyczaj przystępnych jest zawsze na składzie.

— *Biuro budowlano-techniczne* otworzyli w Poznaniu (na Jeżycach) przy ulicy Karola nr. 2, I piętro, pp. architekci M. Powidzki i St. Ruszczyński. Panowie ci mają po za sobą długoletnią praktykę w kraju i zagranicą, to też mogą ku ogólnemu zadowoleniu wykonać wszelkie prace w zakres ten wchodzące.

— *Zwracamy* uwagę Szan. Czytelnikom na ogłoszenie p. Kazimierza Kużaja, właściciela zaszczytnie znanego składu sukna, garderoby gotowej i podług miary przy ul. Wrocławskiej nr. 13 i 14 — filia w Inowrocławiu. — Pan K. potrafił umiejętnym kupieckim sposobem i rzetelnością z małych początków rozgałęzić swój interes do wielkich rozmiarów i stawić czoło konkurencyi innowierczej nie tylko na polu cząstkowej (detalicznej) sprzedaży, lecz także hurtownej czyli fabrykacyi gotowej garderoby. — Wszelka sprzedawana przez p. K. garderoba jest wyrobu własnego — tutejszych polskich krawców, których p. K. przeszło 100 zatrudnia. — Skutkiem tego, że p. K za setki tysięcy marek sukna rocznie z najpierwszych fabryk zakupuje — można u niego i sukna bardzo tanio nabyć — korzystniej, aniżeli w reklamowanych niemieckich i żydowskich t. z. domach wysyłkowych, które to kolekcyami prób każdego nasyłają.

— *Zwracamy* baczną uwagę Szanownej Publiczności na ogłoszenie firmy „S. Brzeski," dawniej Stary Rynek 52, teraz Stary Rynek 61, narożnik ulicy Wrocławskiej. Firma ta znana z rzetelności powiększyła świeżo w własnej kamienicy interes i urządziła go podług najnowszego stylu. Skład jest zawsze bardzo bogato zaopatrzony w garderobę męzką i dziecięcą po cenach przystępnych.

— *Nowy* Browar Grodziski (Graetz i P.) przeprasza swych licznych odbiorców na tej drodze za to, że niejedne zamówienia spóźniają się o 5 do 8 dni. Pochodzi to ztąd, żeśmy na tyle zamówień nie byli przygotowani. Dziękując za zaufanie, przyżekamy solennie, że zamówienia wszystkie wyekspedyujemy, choć się o pare dni spóźniemy. Na przyszłość jednakże urządzimy się tak, że zamówienia w 24 godzinach odejdą. Wszystkie przychylne nam pisma prosimy o łaskawe powtórzenie naszego niniejszego oświadczenia.

— *Wiadomosci koscielne.* Archidyecezya poznańska. Komendy udzielono: Ks. Fabiszowi na beneficium w Drzeczkowie, ks. Łowińskiemu plebanowi z Lewkowa na beneficium w Żerkowie od 1 kwietnia r. b. i ks. wikaryuszowi Hubertowi z Ostrzeszowa na beneficium w Mikorzynie również od 1 kwietnia r. b.

Regensem seminaryum duchownego w Gnieźnie i kanonikiem mianowany został ks. prof. dr. Kloske z Jaksic, dawniejszy profesor gimnazyum św. Mary! Magdaleny w Poznaniu.

Prezentę na probostwo jaksickie otrzymał ks. prałat Gaebel z Kruświcy.

Na wikaryaty powołano: ks. wikaryusza Włodarczyka z Łodzi do Gościeszyna, ks. neopresbytera Drygasa do Łodzi, ks. neopresbytera Srokę do Kicina, ks. neopresbytera Remera do Siemowa, ks. wikar. Dudzińskiego z Mikorzyna do Gostynia, ks. wikar. Kozierowskiego z Gostynia do Ostrzeszowa, ks. wikar. Schmidta z Żerkowa do Pszczewa.

— *Pan Józef Chociszewski* opuścił w dniu swego patrona, więzienie gnieźnieńskie, w którem przesiedział znowu 6 tygodni za rzekome przestępstwo prasowe.

Oto co pisze „Lech:"

Już przed oznaczoną godziną obstawiła policya wszystkie ulice w stronę więzienia. O godz. 8 został jubilat pod eskortą policyanta tylną furtką, wychodzącą na ulicę Podgórną, wyprawadzony z murów więziennych. Ponieważ w dniu tym przypadały imieniny jego, przeto chciał się wprost z więzienia udać do kościoła. Niestety! policya na to nie zezwoliła, a to z obawy, żeby nie było jakiej demonstracyi, i zagroziła mu, że gdyby z tego powodu miały zajść demonstracyjne objawy, to on natychmiast będzie aresztowanym. Zgromadzona przed bramą więzienną publiczność, oczekująca w milczeniu wyjścia p. Józefa Chociszewskiego, gdy się dowiedziała, że go opłotkami z kaźni wyprowadzono, rozeszła się w milczeniu do swych domów.

Od jubilata dowiedzieliśmy się, że mu, 60-letniemu schorzałemu człowiekowi — odmówił lekarz więzienny lepszego pożywienia, t. zw. „Krankenkost." Nie pomogły do rozmaitych instancyi zanoszone zażalenia; dopiero energiczne wstawienie się naszego posła p. Leona Grabskiego u ministra sprawiedliwości wyjednało jubilatowi lepsze pożywienie.

— *Egzamin* aptekarski przed król. komisyą egzaminacyjną w Poznaniu złożyli z pomiędzy 6 kandydatów: pp. Bronisław Drygas, Maksymilian Januchowski, Kazimierz Klaczyński, prócz nich jeden Niemiec i jeden żyd. Drugi Niemiec od egzaminu odstąpił.

— *Ważny wyrok* dla naszych Towarzystw. „Sokół" w Pakości zamierzał urządzić przedstawienie teatralne. Policya na nie pozwoliła, ale pod warunkiem, że nie będzie pobierana opłata i nie będzie żadnych mów. Zarząd zaprotestował przeciwko takiemu zakazowi dlatego, że naraziłby on Towarzystwo na stratę przeszło 130 marek. Tak wydział powiatowy, jak wydział obwodowy odrzuciły skargę, godząc się na zakaz policyjny, przewidziany w interesie „porządku i spokoju." Zarząd „Sokoła" nie zrażony chwilowem niepowodzeniem, odwołał się do najwyższego sądu administracyjnego, który zniósł poprzednie wyroki, uznając zakaz policyi za nieprawny.

— *Toruń.* Świeżo toczyła się przed sądem tutejszym sprawa przeciw redaktorowi „Gazety Toruńskiej", p. Królikowskiemu, o obraz Matki Boskiej Częstochowskiej, dołączony w roku zeszłym do „Gaz. Tor." Sąd przychylił się do znakomitych wywodów obrońcy p. adwokata Mielcarzewicza z Torunia i uwolnił p. K. zupełnie od winy i kary, nałożywszy koszta procesu kasie państwowej. — Przed sądem ławniczym stawał następnie p. Grzankowski z Torunia, obwiniony o niezameldowanie władzy policyjnej dwóch członków Tow. wzajemnej pomocy. Oskarżony p. Grzankowski bronił się tem, iż mu swego czasu sekretarz policyjny p. Stephan oświadczył, iż nie potrzebuje członków meldować. Sąd po dłuższej naradzie przychylił się do wniosku prokuratora i skazał p. Grzankowskiego na 15 m. lub 5 dni aresztu. Przeciw temu wyrokowi zamierza p. G. wnieść o rewizyą do wyższej instancyi.

Zmarli.

† Ś. p. *Franciszek Stęszewski,* budowniczy w Poznanin, dnia 18-go b. m. przeżywszy 46 lat.

† Ś. p. *Józef Kolszewski,* radzca budownictwa, dnia 17-go b. m. w Wągrówcu.

† Ś. p. *Władysław Kasprowicz,* brat poety Jana Kasprowicza ze Lwowa, młodzieniec rokujący piękne nadzieje, uczeń sekundy gimnazyum inowrocławskiego, umarł w Szymborzu pod Inowrocławiem. Na pogrzeb brata przybył nasz poeta Jan Kasprowicz.

Od Redakcyi.

Panu dr. B. w Buku. — Notatka o zeszłoniedzielnem zebraniu doszła nas już po wydrukowaniu numeru 12-go „Pracy", zatem zamieścić jej nie mogliśmy.

Panu A. Łukowskiemu w Schöningen (Brunświk). — Podług prawa pocztowego z dnia 28 października 1871 r. powinno na karcie pocztowej koniecznie być napisane lub wydrukowane „Postkarte." Jeżeli tego oznaczenia nie ma, natenczas trzeba od niej zapłacić to samo porto, jakie się płaci od listu, a więc przynajmniej 10 fen. Zażalenie do naddyrekcyi poczty nie miałoby skutku.

Panu Janowi P. w Lidzkarku. — Układ najmu — chociaż tylko ustnie zawarty — jest na jeden rok ważny, chyba, że ktoś wynajmuje mieszkanie miesięcznie. (§ 566 kodeksu obywatelskiego). Pan nie piszesz, na jak długo Pan mieszkanie wynająłeś.

Pani F. S. w Potulicach. — Pani winna podać skargę w drodze administracyjnej do wydziału obwodowego (Bezirksausschuss). Najlepiej Pani zrobi, gdy odda sprawę tę jakiemu prawnikowi w Bydgoszczy.

Lechicie z Wąbrzeźna oraz wielu innym autorom i autorkom nadesłanych wierszy. — Dziękujemy najuprzejmiej za łaskawą pamięć, ale zamieścić nie możemy dla braku miejsca, dlatego upraszamy o chwilowe zaniechanie nadsyłania nam wierszy. Za to miłe by nam były krótkie, ale treściwe korespondencye.

Autorowi notatki "Pomoc ubogim." — Odbitkę tej notatki otrzymaliśmy już po wydrukowaniu numeru na dzień 22go b. m., zatem nie mogliśmy zamieścić.

Nauka i wychow.

Lekcyi muzyki
na skrzypcach udziela gruntownie po tanich cenach nauczyciel muzyki.
O łaskawe oferty uprasza się pod lit. L. L 500. (Postlagerad Posen O 5)

Lekcyi muzyki na fortepianie
udziela gruntownie nauczyciel muzyki.
O łaskawe oferty uprasza się pod lit. G. G. 100. (Postlage nd Posen O. 5.

Zaofiarowane.

Przyjmę od 1 kwietnia **dwóch chłopczyków na stół i stancyą** uczęszczających 1 tutejszych szkół. Ręczę za troskliwą macierzyńską opiekę.
A. Lissowska, wdowa po nauc., Poznań, ul. Strzelecka 21, (Posen, Schützenstr. 21).

Panów na stół i stancyą przyjmuje
Stanisław Laurentowski, Poznań, Kronprinzenstr. 85.

Poszuk. się od Wielkanocy rb. na Jerzycach *umieszczenia dla gimnazyasty.* Zgł. z podan. mies. ceny upr. się nadesł pod lit.: **S. E. postlagernd Czempiń.**

Szan. Rodzicom najuprzejmiej donoszę, że od Wielkanocy rb. przyjmuje **na stancyą panienki** uczęszczające do wyższych szkół żeńskich, zapewniając religijne wychowanie, troskliwą opiekę i pomoc w naukach. Zgł. przyjm. do 1 kwietnia św. Wojciech 16, od 1 kwiet. św. Marcin 9, I piętro.
Franciszka Laskowska, naucz. wyższ. szkoły żeńsk.

Gimnazyastów
z lepsz. domów przyjmie od Wielkanocy, zapewn. prawdz. macierzyńską opiekę.
Anna Koczorowska, ul. Strzelecka 3 B obok gimnazyum realnego.

Pomieszkania.

Poszukuje się od 1. 10. 03. *pomieszkania* o 6 pokojach w górnej części miasta na wysokim p rt. lub I. piętrze. Zgłoszenia św. Marcin nr. 6.

4 lub 5 pokoji
z kuchnią, łazienką, śpiżarką i pok. dla służby, do wynajęcia od kwietnia przy ul. Rycerskiej 33, II piętr.

Piękny pokój
z umeblowaniem dla jednej lub 2 osób ze stołem. lnb bez jest każdej chwili do oddania. Zgł.: Chwaliszewo 18.

Panów na stół i stancyą przyjmuje
Trenner, Poznań, Piekary 22, I. z przodu.

Kupno i sprzedaż.

Maszyna do szycia
jest tanio od zaraz do nabycia. Półwiejska ul. 16. I ; ięna prawo

Gospodarstwo
w Śremie (Stare Miasto) 100 mórg dobrej roli z budynkami i inwentarzem mam pod korzystnemi warunkami do sprzedania.
E. Neymann Śrem (Schrimm.)

Pianino
używane w bardzo dobrym jeszcze stanie jest do sprzedania u organmistrza R. Hoffmann, Piekary nr. 3.

Gościniec
jeden tylko w wsi, daleko od miasta pod korzystnemi warunkami na sprzedaż J. Kulega. Schöorode bei Lissens (Pr. Posen.)

sprzedaż
Nowo zbudowany dom z chlewem mam zamiar w Damasławiu p. Elsenau z powodu niebytności tam mojej tanio sprzedać lub zadzierzawić. Stósowne do każdego przedsiębiorstwa (ponieważ znajduje się tam skład) i pomieszkania dla doskonałych rzemieślników. O bliższych warunkach można się u mnie dowiedzieć.
Janowitz i. P. dn. 20. 3, 03. Franciszek Lorenczewski, Telefon nr. 21.

Statki kołodziejskie
mam zaraz na sprzedaż
B. Dzikowski, kołodziej. Dobieszowice p. Amsee.

Baczność!!!
Z powodu innych przedsiębiorstw zamierzam wiatrak, paltrak, o 2 kamienicach z masywnemi budynkami, z morgą roli, zaraz sprzedać. Kościół i szkoła w miejscu. — Bliższe szczegóły poda
Julius Ingwerth, Kendzierzyn p. Gniezno.

Drogerya
elegancko urządzona jest pod korzystnemi warunkami tanio do nabycia. Zgłosz. pod adr: P. N. Czerniejewo Schwarzenau R. B. B.

Zaraz do sprzedania
kilka gospodarstw i folwarków
od 60—1800 mórg w całości lub mniejszych parcelach.
Kto chce nabyć, sprzedać lub rozparcelować swoją posiadłość, niech się zgłosi z zaufaniem do mnie.
E. Wituski, Inowrocław Dom rólniczo-przemysłowy.

Mam zaraz do sprzedania w Kruświcy nad Gopłem **restauracyą** z wielkim ogrodem, salą do zabaw i kręgielnią oraz 50 mórg ziemi z odpowiednią zabudowaniem. Ogród zwiedzają latem tysiące gości. Krzesełek i stołów dla 600 osób. Wpłaty potrzeba około 15 tysięcy marek.
E. Wituski. Inowrocław.

Handel wiktualny z maglą
jest każd. czasu do sprzed. Zgłosz. przyjm. ekspedycya Wielkopolanina p. nr. 1587.

Posady i prace.

Dwóch czeladzi krawieckich na stałe zatrudnienie i wysoką płacę przyjmie zaraz
Józef Wiza, Kcynia, (Exin).

Elew gospodarczy
znajdzie miejsce od zaraz w **Dominium Września.**

Panna do maszyny wprawna oraz do ręki na kamizelki.
F. Szczepański, krawiec, ul. Wodna 1. III. p.

Zarząd gorzelni z Komornik p Poznań poszukuje mniej lub więcej używanej **wagi Reimanna.** Zgłosz. do Zarządu gorzelni.

Ogrodnik
zdolny, fachowiec, jest poszukiwany od zaraz lub od jesieni.
Zgłoszenia przyjmuje eksp. Wielkopolanina pod nr. 1796.

Czeladnik rybacki poszukuje miejsca od zaraz, najchętniej blizko Poznania. Zgłoszenia do eksp. Wielkopolanina pod nr. 1854.

Poszukuje się zdolnego **introligatora** od zaraz, obeznanego z lepszą oprawą książek na stałe zatrudnienie.
Zgłoszenia piśmienne z podaniem warunków i załączeniem świadectw przyjmuje eksp. Wielkopolanina pod nr. 1859.

Panienka
biegła inteligentna poszukuje miejsca do bufetu lub cukierni od 1. 4. 03.
Oferty proszę nadesłać **P. Hadryś, Pakosch.**

Chłopca do posługi
syna uczciwych rodziców poszukuje
C Adamski, skład kapeluszy, Poznań, Bazar, Nowa ul 7/8.

Ucznia
z lepszem wykształceniem, syna uczciwych rodziców, do składu hurtownego i detalicznego kapeluszy, rękawiczek i modnych artykułów męzkich poszukuje
C Adamski, Poznań, Bazar, ul. Nowa 7/8.

Młodszego pomocnika
poszukuje od zaraz albo od 1. 4. rb
Zgłoszenia z odpisem świadectw i żądaniem pensyi przyjmuje **K. Urbański** w Grodzisku (Graetz in Posen), skład bławatów. konfekcyi damskiej i męzkiej.

Chłopiec syn uczciwych rodziców. chcący się wyuczyć **malarstwa** może się zgłosić
Piekary 16 I. p.

Potrzebni: **Kucharz** młody do samotn. pana. **Gospodyni** do dworu niem. na 300 mk. **Panna służąca** do hrab. na 180 mk. **Włódarz** żon. na 150 mk. i dep. **Ogrodnik** kaw. z usługą.
„Pośrednik miejsc."
Adr.: **Franciszek Niedzielski.** Posen, Bäckerstr. 7.

Poszukuje od 1. lub 15. kwietnia **subjekta lub dysponenta** do mego kolonialnego handlu połączonego z restauracyą.
Wwa. Konstancja Schmidt. Fordon.

Ucznia z dobremi wiadomościami szkólnemi, z porządnej rodziny poszukuje
W. Wojciechowski, „Drogerya pod Gwiazdą," ul. Wodna 25.

Potrzebni od kwietnia: **Gospodyni** w śred. latach do samotn. pana dziedzica na wieś, mniej. gotowanie i pras Pensya 240 mrk. Miejsce trwałe i nieuciążliwe. Spieszne zgłosz. z świad. przyjmuje
„Pośrednik miejsc."
adr.: **Franciszek Niedzielski.** Posen, Bäckerstr. 7. I.

Posługaczka
potrzebna natychmiast.
L Rakowska, Rybaki 22 a, 1 pt. z przodku.

Potrzebne: **Gospodynie** z d. św. z got. na 300 mr, **kucharki, bony, osoby** do zarządu, **pokojowe, praczki, panny** służące.
Nepomucena Ginter, nauczycielka, Stellenvermittl. Posen, Wienerstr. 8. p. links.

3 dziewczęta
do składania arkuszy przyjmie zaraz
K. Kmiecikowski, Introligatornia Poznańska i fabryka zeszytów, Poznań, ul. Wodna nr. 2. I p.

Szukam od 1. kwietnia miejsca za **pisarza podwórzowego** lub **włódarza.** Na żądanie świadectwa. Zgłoszenia postlagernd pod **M. W. 1000 Weluau.**

Panienka znająca krawieczczynę dokładnie i mogąca udzielać początków nauki, poszukuje miejsca do dzieci. Nie chodzi o wielką pensyą. Zgłoszenia N. N. 100 postlagernd Kostschin.

2 uczni oraz wolentaryusz
do handlu kolonialnego, żelaza i wyszynku znajdzie miejsce w składzie na prowincyi w mieście powiatowem. Zgłosz. do ekspedycyi Wielkopolanina pod nr. 1873.

Gospodyni do sam. pana potrzebna.
Franciszek Jakś. Pośrednik miejsc, Berlińska 8.

Dawniejszy **kupiec** szuka zajęcia w jakiem biurze bankowem, fabrycznem lub handlowem. albo też jako **kasyer** większej majętności. Bliższ.

Uczeń mający chęć wyuczyć się mleczarstwa może się zaraz zgłosić. *St. Catka,* Chojno Kreis Rawitsch).

Ucznia do mego handlu bławatów i konfekcyi z odp. wiadom. poszuk. zaraz
W. Sztukowski, Trzemeszno.

Ucznia z lepsz. wykszt. z chęcią do pracy, zamiejsc. przyj. natychm. **P. Heyducki,** Centralna drogerya, Pleszew.

Ogrodnik-portyer
żon., 36 lat maj., z 1 dzieck., poszuk. miejsca jako portyer od każd. czasu, włada obu język., wysłuż. wojsk. Zgł. p. lit.: H. M. 24. postlagernd Posen.

Mam do umieszczenia:
2 pisarzy gosp., urzędn., gorzelanych, służąc. żon. włódarzy, kowali, owczarzy. torczpanów, ogrodników kaw. Gospodynie z gotow. Panny służ., pokojowe, tylko dobrze polec. Proszę o łask. zlec. Znaczek na odpowiedź
Antoni Krajewski Stellenvermittl. Halbdorfst. 16

Zegarmistrz, Polak, zapytuje się szan. rodaków, gdzie by mógł z korzyścią się osiedlić, lub jaki **interes zegarmistrzowski** w dobr. biegu, za pewną wpłatą nabyć. Łask. oferty do eksped. Wielkopolanina pod nr. 1631.

Szachtmistrz drenarski umiej. niwelować, z oznaczeniem kaucyi, jaką może złożyć, niech się zgł. p. adr Biura melioracyj. i mierniczego Trawiński, Kucharski i Sp. Poznań, św. Marcin 52.

Gospodyni dobrze gotująca potrz. Folwark **Szeląg** pod Poznaniem.

Dzierżawy.

Piekarnia
w dobrym biegu na małem mieście jest do wydzierżawienia lub na sprzedeż zaraz lub od 1. 4. br.
Teetil Kanflulski, Dopiewo.

Poszukuje dzierżawy ***probostwa*** lub folwarku około 300 do 600 mórg dobrej ziemi.

Piekarnia i rzezalnia
jest do wydzierżawienia za niską cenę we wsi leżącej na szosie. Kościół, szkoła, poczta w miejscu, pół mili od dworca. Zgłoszenia do ekspedycyi „Pracy" pod nr. 1642.

Tanio do sprzedania!
Damska maszyna do szycia lekko chodz., figura M. Bosk., obrazy, płaszcze, okrycia i łóżeczko przy ul. Zielonej 3, III.

Posiadłość
moją nowo wybudow. przy ul. Mostowej, nadaj. się do każd. przedsięb., zamierzam pod korz. warunk. sprzedać. Łask. of. pod lit.: A. B. 200 Postlagernd Schrimm i P.

Gościńce czyli **restauracye**
z dobrem powodzeniem w Księstwie Poznańskiem są na sprzedaż lub od zaraz do **wydzierżawienia.** Zgłoszenia osobiste przyjmuje Michał Smektała w Marxlob, Provinzialstr. 50, a piśm. zgłoszenia **Posen W. 7. L G 100 Postlagernd.**

Ogród zamkowy w Kórniku
ma na sprzedaż wielki zapas i wybór **szczepów i krzewów owocowych, drzewek alejowych i parkowych, tak liściastych jak iglastych.**

Dział rolniczo-ekonomiczny.

Związek ziemian.

Dnia 17-go b. m. odbyło się w nowej sali bazarowej walne zebranie „Związku ziemian", spółki z ograniczoną poręką, która się wyłoniła z Towarzystwa, istniejącego dawniej pod tą samą nazwą. —

Walne zebranie — pisze „Dziennik Poznański" — w którem brało udział około 60 członków, zagaił prezes rady nadzorczej hr. *Marceli Zółtowski i za*proponował na przewodniczącego ks. prałata *Wawrzyniaka*.

Zebrani jednomyślnie na propozycyę tę się zgodzili.

Na sekretarza poprosił przewodniczący p. dr. *Bolesława Szułdrzyńskiego*.

Ks. *Wawrzyniak* stwierdziwszy, że walne zebranie zwołane zostało w myśl ustaw, udzielił głosu członkowi zarządu p. *Karolowi Szczanieckiemu*, który odczytał sprawozdanie z pierwszych trzech kwartałów działalności Spółki. Działalność ta przedstwia się dodatnio. Przemówienie swoje zakończył p. Sczaniecki zachętą do zgromadzonych, aby starali się o zjednywanie Spółce jak najpokaźniejszej liczby członków, bo wówczas będzie ona mogła wypełniać skutecznie zakreślone ustawami zadanie, polegające na ratowaniu zagrożonych majątków.

Drugi członek zarządu pan *Lucyan Osten* przedstawił i objaśniał wyczerpująco sprawozdanie kasowe. Obrót ogólny wynosił 402,803 marek, bilans z d. 31 grudnia 1902 wykazuje 67,534 marek, czystego zysku wypracowała Spółka 4372,53 marek. Członków jest już obecnie przeszło 300. P. Osten podniósł wielką zasługę p. *Wincentego Niemojewskiego*, który zjednał Spółce 100 członków. Jest też członkiem jeden włościanin, a przyjęto go z wielkim zapałem. Oby jak najwięcej włościan zechciało do Spółki wstępować.

Nad sprawozdaniem wywiązała się bardzo ożywiona dyskusya. Zainicyował ją ks. prałat *Wawrzyniak* objaśnieniem różnych punktów sprawozdania ze stanowiska prawa spółkowego.

Następnie kilkunastu mówców rozwodziło się na temat dalszej działalności Spółki: czy ona ma służyć tylko ziemianom dobrą radą i pomagać do utrzymania ziemi w ręku polskiem, lub też zajmować się parcelacyą i podobnemi interesami a nawet ratować majoraty, w przykrem znajdujące się położeniu.

Zdania były podzielone. Jednakże większość oświadczyła się za tem, aby Spółce nie zakreślać zbyt ściśle ograniczonego planu. Nie powinna ona jednak być przedsiębiorstwem spekulacyjnem, lecz instytucyą z celem sanacyi stosunków ziemian. Chodzi głównie o to, aby ratować to, co uratować można, ale najtańszym kosztem.

Taki wynik bardzo wyczerpującej dyskusyi zyskał poklask zgromadzonych.

Imieniem komisyi rewizyjnej, w skład której wchodzili panowie hr. *Marceli Zółtowski*, hr. *Stanisław Łącki* i *Władysław Tomaszewski*, stwierdził hr. Zółtowski, że komisya znalazła wszystko w jak najwzorowszym porządku, zgodnie ze sprawozdaniem.

Na mocy tej opinii walne zebranie udzieliło pokwitowania radzie nadzorczej i zarządowi.

Nastąpiła propozycya co do podziału zysku 4372,53 marek, po potrąceniu 600 marek dla rady nadzorczej. W myśl wniosku barona *Dezyderego Chłapowskiego*, przekazano zysk do funduszu nadzwyczajnej rezerwy specyalnej.

Przystąpiono do wyboru trzech członków rady nadzorczej w miejsce ustępujących w myśl ustaw panów *Adolfa Ponińskiego*, hr. *Adama Zółtowskiego* i *Władysława Tomaszewskiego*.

Ponieważ ustępujący prosili, aby ich nadal nie wybierano, w ich miejsce wybrano panów *Wincentego Niemojewskiego*, *Mieczysława Wiesego* i *Więckowskiego*.

Do rady nadzorczej należą obecnie panowie: hr. *Marceli Zółtowski*, dr. *Tadeusz Jackowski*, *Henryk Chłapowski*, dr. *Tadeusz Szułdrzyński*, *Władysław Glabisz*, hr. *Stanisław Łącki*, *Stanisław Malczewski*, *Jakób Szlagowski*, *Hipolit Zakrzewski*, oraz nowo wybrani panowie *Wincenty Niemojewski*, *Mieczysław Wiese* i *Więckowski*.

Ponieważ wniosku nikt z obecnych nie przedłożył, więc przewodniczący ks. *Wawrzyniak* w pięknem, serdecznem przemówieniu, które ogólnie się podobało, wskazał drogi, któremi Spółka nadal powinna postępować — i solwował walne zebranie po blisko dwugodzinnych obradach.

Walne zebranie prezesów

i delegatów Kołek rolniczych

zagaił dnia 17-go b. m. po godz 11-tej przy natłoczonej wielkiej sali bazarowej p. patron *Chłapowski* z Rzegocina. W przemówieniu swem wspomniał o błogosławieństwie Ojca św., udzielonego Kółkom rolniczym, na co zebrani wznieśli okrzyk na cześć Namiestnika Chrystusowego. W dalszym ciągu dał krótki rzut oka na rozwój Kółek rolniczych, których jest dotąd 246 z 10,500 członkami. Pan patron Jackowski dla niedomagania na zdrowiu przybyć na zebranie nie mógł, natomiast przesłał na ręce p. redaktora Brownsforda list, w którym życzy Kółkom rozwoju i powodzenia. Wybrana z łona zebranych delegacya pod wodzą wicepatrona Dembińskiego pospieszyła do p. patrona Jackowskiego, aby złożyć mu życzenia rychłego powrotu do zdrowia i dać wyraz wdzięczności i uwielbienia za jego długoletnią pracę. W miejsce wiceprezesa hr. St. Zółtowskiego, złożonego ciężką niemocą, jest reprezentantem Centralnego Zarządu Gosp. p. dr. Jackowski z Wrączyna. Na sekretarzy zebrania powołano pp. Królaka II z Kujaw i Sczanieckiego z Łaszczyna. Ławnikami są: ks. Krzyżanowskiski z Kamieńca, pp. Paluch z Ostrowitego, Kaszub z Konarzewa, Rozkowski z Tuczna, Burzyński z Inowrocławia, ks. dziekan Taczanowski z Grodziska. Prezesów i delegatów Kółek umarło w ubiegłym roku 31.

Jako pierwszy przemawiał na temat osuszania roli sączkami referent p. *Mazur* z Młynkowa, a koreferent p. *Teclaw* polecał poruczenie drenowania Spółkom melioracyjnym.

Na drugiem miejscu miał wykład o hodowli bydła p. *Sobczyński* z Kółka w Dolsku, poruszając szczególnie sposób paszenia i utrzymania inwentarza żywego.

Sekretarz patronatu p. K. *Brownsford* referował o „najnowszych doświadczeniach z przechowywaniem i przyorywaniem obornika." Referent poruszył sprawę używania rozmaitych rodzai obornika, czas jego użycia, mówił dalej o rodzajach ziemi, o wpływie nawozu na rośliny, o ilości potrzebnego obornika i innych ważnych w tym względzie kwestyach, jak i rezultatach z rozmaitych praktycznych doświadczeń, które wykazu-

ją konieczność użycia nawozu naturalnego.

W sprawie użycia torfowej podściółki zabrał głos p. inżynier *Łukomski,* który zamierza urządzić fabrykę słańska i próchna torfowego. Stawia on pytanie:

1) czy taka fabryka jest pożądaną?

2) czy będzie zapotrzebowanie takiego torfowego słańska?

P. *Julian Brzeski* zaprzecza temu i ostrzega przed założeniem fabryki, jeżeli takowa liczyć chce jedynie na odbiór Kółek rolniczych, a nie na większe dominia.

Na miejscu czwartem mówił p. dr. *Mieczkowski* „O zabezpieczeniu na życie,'' polecając zabezpieczenie losu pozostałej rodzinie przez spłacanie stosunkowo mało odczuwanych składek rocznych. Rolnicy mniejsi dotąd zajmują stanowisko nieprzychylne wobec zabezpieczenia na życie, o ile znów chętnie to czynią, gdy chodzi o produkcyę jego pracy, widząc w pozostawionej ziemi dostateczną rękojmię dla bytu pozostałych.

Wreszcie zdał sprawę zabezpieczenia od „ognia i gradu'' p. patron *Chłapowski,* polecając głównie dwa towarzystwa, a mianowicie magdeburskie i północno-niemieckie.

Przy zamknięciu zebrania zachęcał pan Patron zebranych do prowadzenia ścisłej rachunkowości, jako koniecznej podstawy prawidłowego gospodarstwa, tem więcej, że do rozkupionego w 5000 egzemplarzach „Kalendarza rolniczego Poradnika gospodarskiego'' bezpłatnie dołączoną jest książeczka rachunkowa. Pan Patron polecał jeszcze artykuł „Wielkopolanina'' o Kółkach, który odczytano.

W końcu rozdawano od stołu patronatu broszurę p. Józefa Starkowskiego, weterynarza z Poznania „O chorobach zaraźliwych u koni, bydła, świń i drobiu oraz o środkach ochronnych.''

Po wzniesieniu trzykrotnego gromkiego okrzyku na cześć pana Patrona solwowano zebranie, poczem pp. prezesi i wiceprezesi Kółek zebrali się na poufne posiedzenie.

X.

Wystawa robót terminatorskich.

Obwieszczenie w sprawie wystawy wyrobów terminatorskich publikowane dnia 22-go stycznia r. b. uzupełniamy następującemi szczegółami:

Ażeby dać możność popisu także uczniom z miejscowości, w których nie ma towarzystw terminatorskich, uchwalił komitet, że prawo udziału w wystawie *mają* w pierwszym rzędzie młodzieńcy należący do towarzystw terminatorskich; uczniowie zaś mieszkający w miastach i wsiach, gdzie Towarzystwa takie jeszcze nie istnieją, mogą także roboty swoje przysłać na urządzającą się wystawę.

W tym celu i nadal mogą się zgłaszać terminatorzy, pragnący brać udział w wystawie.

Przy tej sposobności przypominamy jeszcze raz podane dawniej warunki:

1) Terminator chcący wystawić swój wyrób, powinien się zgłosić do komitetu na ręce niżej podpisanego X. patrona Kłosa (Poznań—Dominikany.)

2) Do podania winien dołączyć:

a) krótki opis swojego życia z wyraźnem nadmienieniem, u kogo i jak długo jest w nauce,

b) opis przedmiotu, który chce wystawić.

3) Wystawca powinien się zobowiązać, że pracę na wystawę wykona sam, bez pomcy majstra lub czeladnika.

Prace wystawione będą przez komisyą znawców ocenione i premiowane.

Wystawa odbędzie się w Poznaniu na sali dominikańskiej, rozpocznie się dnia 7-go czerwca rb. i trwać będzie przez dwa tygodnie.

Poznań, dnia 18. marca 1903.

Ks. J. Kłos.

Notatki ekonomiczne.

Wystawa metałowa w Krakowie.

Towarzystwo ochrony polskiego przemysłu i handlu „O własnych siłach'' urządza we Wrześniu rb. w Krakowie pod protektoratem pp. namiestnika i marszałka krajowego wystawę metalową.

Obejmuje ona następujące działy: I. Kowalstwo: gwoździe, śruby, podkowy, nity, okucia wozowe i inne, łańcuchy i t. p. II. Ślusarstwo: 1) wyrób kłódek i zamków, okuć budowlanych i t .p. 2) meble z żelaza, kasy i wagi, 3) nożownictwo, pilnikarstwo, rusznikarstwo, wyrób narzędzi chirurgicznych, 4) drut, siatki druciane i kraty, 5) ślusarstwo artystyczne. III. Kotlarstwo i blacharstwo. IV. Brązownictwo i ludwisarstwo. V. Odlewy z żelaza: blachy kuchenne, naczynia wszelkiego rodzaju, obramienia pieców i kuchni. VI. Maszyny: narzędzia rolnicze, sikawki, narzędzia wiertnicze. VII. Jubilerstwo oraz wyroby platerowane. VIII. Hutnictwo. IX. Artykuły techniczne: grupa 1) smary, 2) pasy maszynowe wszelkiego rodzaju, sznury, liny druciane i konopne, 3) inne środki pomocnicze. X. 1) wynalazki i ulepszenia techniczne z zakresu przemysłu metalowego 2) prace, dzieła techniczne i czasopisma naukowe z zakresu przemysłu metalowego.

Z powodu szczupłości miejsca maszyny i wszelkie przedmioty większych rozmiarów dopuszczone będą tylko w modelach i rysunkach.

Prezesem wystawy będzie pan Edmund Zieleniewski, inżynier cywilny, dyrektorem p. Stanisław Majewski, em. inspektor kolei.

Srebro i mikroby.

Obrońcy waluty srebrnej otrzymali obecnie nową broń, dostarczoną przez naukę. Okazuje się, że srebro jest wielkim nieprzyjacielem mikrobów i srebrna moneta nie może być rozsadnikiem zarazy. Stwierdzono, że gdy do najbogatszej hodowli mikrobów wleje się bardzo nawet małą ilość srebra, wszystkie mikroby giną niezwłocznie. Bakteryolog Strauss dowiódł, że laseczniki gruźlicy nie rozwijają się, gdy hodowlę pomieścimy w srebrnem naczyniu. Inny uczony, Follet, brał na drut srebrny kolonie bakteryi, które natychmiast ginęły. Ale najciekawszych doświadczeń pod tym względem, dokonał francuzki lekarz wojskowy Vincent, który zbadał monety z rozmaitych metali, aby określić, które gromadzą na swej powierzchni największą liczbę bakteryi. Otóż okazało się, że mikroby najchętniej osiadają na monecie miedzianej i złotej. Na powierzchni miedzianej monety 10 centymowej Vincent znalazł 11,000 bakteryi, na złotej dwudziestofrankówce 3,000, zaś na srebrnej frankowej tylko 500, a na dużej 5-frankowej tylko 1,000. Aby bardziej kategorycznie dowieść, że srebro jest zabójcze dla bakteryi, Vincent wziął po kilka monet złotych i srebrnych, wyjałowił je w ogniu i następnie okrył je hodowlami rozmaitych bakteryi. Bakterye tyfusu były na monecie złotej pięć dni, bakterye dyfterytu 6 dni, podczas gdy jedne i drugie żyły zaledwie 18 godzin na monecie srebrnej. Przy temperaturze 27 stopni C., to jest przy temperaturze kieszeni, te same bakterye ginęły na srebrnej monecie przed upływem sześciu godzin. Doświadczenia te pociągnęły za sobą bardzo naturalnie chęć walki z zarazkami chorobotwórczemi z pomocą preparatów srebra.

Dodatek Humorystyczny.

Rasura w Redakcyi.

(Stara, ale jara facecya.)

Redakcya jednego z pism humorystycznych, wychodzącego przed wielu latami w Krakowie, pod kierunkiem zmarłego już Aleksandra W. znanego z znakomitego dowcipu — znajdowała się przy ulicy Grodzkiej na dole, po lewej stronie sieni wchodowej — na prawo zaś miał golarnią i izbę felczerską właściciel tego domu, felczer okręgowy miasta ś. p. Antoni Kieres.

Szlachcic jakiś galicyjski przybywszy do Krakowa za interesami *primo impetu* chciał się ogolić. Zobaczywszy trzy mosiężne talerzyki nad bramą kamienicy Kieresa — wszedł na lewo do redakcyi i zastał redaktora p. Aleksandra, trzepiącego mydło, gdyż właśnie w tym czasie miał się golić.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

— Na wieki wieków amen! odrzekł redaktor.

— Proszę mnie ogolić!

— Siadaj pan dobrodziej!

Postawiono na środku biura redakcyi stołek — szlachcic siadł, został okryty ręcznikiem — redaktor brodę, twarz, kark, nawet czoło grubo mydłem posmarował; po takiej operacyi zdjął ręcznik, a otworzywszy drzwi do sieni, wskazując na przeciwko, rzekł:

— Panie dobrodzieju! tu tylko mydlą, bo to redakcya, a na drugiej stronie u pana Kieresa golą — sługa uniżony!

Szlachcic wstał, poszedł z uśmiechem do golarni dla dokończenia swej operacyi, a dowiedziawszy się tam o sławnym redaktorze, wziął go za wesoły żarcik na bił.



Znalazł powód.

Ojciec. Ja w twoim wieku nie znałem wcale takich zbytków. Teraz jeszcze palę cygara po 5 fenygów, a ty jak widzę, ciągle palisz pięćdziesięciofenygowe cygara.

Syn. To zupełnie co innego. Papa, paląc swoje dwa cygara dziennie, może mieć nawet kiepskie, ja zaś będąc przyzwyczajonym do wypalenia przynajmniej dziesięciu sztuk przez dzień, muszę mieć zawsze dobre cygaro.

Rozmowa między żydem a podróżnym.

Zajechał pewien podróżny do karczmy; a mając jakieś zmartwienie, gdy wszedł do izby zaczął się przechadzać w zamysłach, nie mówiąc do nikogo ani słowa. Żyd karczmarz, widząc, że nie każe sobie podawać ani jeść, ani pić, przystąpiwszy do niego, rzecze:

— Niech to będzie bez urazy pańskiej, czy nie możnaby się spytać, co to W. Panu jest, że W. Pan tak chodzi a chodzi, myśli, a myśli.

— Poszedł precz, żydzie! co tobie do tego — odpowiedział podróżny.

— Jak ja uważam, rozważam, to ja się domyślam, że W. Pan ma jakieś gryzoty.

— No, i cóż z tego?

— Co z tego? Oto to z tego, że jabym W. Panu poradził na te gryzoty.

— Ty?.. Głupiś żydzie!

— No! niech ja sobie będę i głupi, co mnie to szkodzi, ale dlatego W. Pan może mnie posłuchać.

— Nie słucham cię, pójdź precz!

— No, ja wiem, że W. Pan mnie posłucha, ja W. Panu tylko dwa słowa powiem.

— No, gadaj, żydzie.

— Czy W. Pan widzi tę górę, co tam jest niedaleko lasu? Prawda, że ona jest duża?

— Tak, prawda, że duża,

— Ta góra jest duża, a rydel, co tak jest mały, to tę górę rozkopie, a więc rydel jest mocniejszy od góry. Czy prawda, W. panie?

— No prawda. I cóż dalej?

— Pan powiada, że rydel jest mocniejszy od góry, a włożyć ten rydel w ogień, to on się roztopi, a więc ogień jest jeszcze mocniejszy od rydla, czy nie prawda, W. Panie?

— Prawda.

— Pan tak powiada, że ogień jest mocniejszy od rydla, a nalać na ogień wody, to ogień zgaśnie, a to dlaczego? Oto dlatego, że woda jest mocniejsza od ognia. No powiedz W. Pan, czy to nie prawda?

— Słusznie mówisz, woda jest mocniejsza od ognia.

— Woda jest mocniejsza, to W. Pan tak powiada, a jak na wodę przyjdzie wiatr, to ona i tak i tak porusza się na wszystkie strony, a porusza się dlatego, że wiatr jest mocniejszy od wody. No, powiedz W. pan, czy ja kłamię?

— Nie, mówisz prawdę,

— Pan utrzymuje, że ja mówię prawdę, ale pan wie, że jak człowiek zbuduje sobie chałupę, jak się zamknie w tego chałupę, to jemu i wiatr nic nie poradzi, a to dlatego, że człowiek jest mocniejszy od wiatru? No, cóż W. Pan na to?

— Prawda, ani słowa.

— Więc pan mówi, że człowiek jest mocniejszy od wiatru, ale jak na człowieka przyjdzie gryzota, to po nim tak jeździ i po nim tak bryka i tak go zmęczy, że on jak gdyby pałką w łeb dostał. A co, nie prawda. W. Panie, że gryzota to jest jeszcze mocniejsza od człowieka!

— Oj, co prawda, to prawda, mój kochany żydku; tak, tak, zgryzota jest mocniejsza od człowieka.

— Pan mówi, że gryzota jest mocniejsza, a ja powiadam, że jak człowiek na gryzotę wypije jeden i drugi kieliszek wódki, to i gryzotę djabeł weźmie; a więc gorzałka jest mocniejsza od gryzoty. Ny, ale co ja mówię: kiedy gorzałka pokona gryzotę, to gorzałka jest najmocniejsza. No, powiedz W. Pan sam, czy to nie prawda?

— Zdaje się.

— No, widzi tedy W. Pan, że mu dowiodłem, co to jest gorzałka; a że W. Pan masz gryzotę, a ja mam przednią gorzałkę szabasówkę, przeto życzę W. Panu, abyś się W. Pan napił z parę kieliszków, a ręczę moją poczciwością, że W. Pan gorzałką zabijesz swoją gryzotę.

Czuła żona.

Żona. Mój najdroższy, zawsze mówisz, że z ciebie dusza najszlachetniejsza.

Mąż. Owszem, ale jedynie pod warunkiem, że mnie nie naciągniesz na nowy kapelusz i nowe okrycie.

Krakowiak na czasie!

Rycerz to niewielki,
Ojczyźnie ubliża,
Który nad stan wszelki
Małżonkę poniża.
  Dobra nasza matka,
  Ręka jej obroni —
  Skromna, schludna chatka
  W potrzebie zasłoni.
Ona słabem okiem,
Sukienki ceruje,
Ona chwiejnym krokiem
W domu porządkuje.
  Z dziatkami głodnemi
  Pieniążki ochrania,
  Które mąż pełnemi
  Garściami roztrwania
Pan mąż we winiarni
Przy kieliszku śpiewa,
Żona wśród męczarni
Łzami się zalewa.
  Głodne, chłodne dzieci
  Wciąż chleba wołają,
  Którego od matki
  Próżno wyglądają.
Skończony wieczorek
Już czas na spoczynek,
Zmówiony paciorek,
Wieczny odpoczynek.
  Lecz pan ojciec siedzi,
  W knajpie Iksińskiego,
  Wśród równej gawiedzi
  Kółka pijackiego!

R . . . . a.

Parcelacya.

Z parcelacyi wsi rycerskiej WIELKIE

pod Poznaniem

stacya koleji Kiekrz

mamy jeszcze do sprzedania:

1. Gościniec świetnie prosperującej, istniejący od niepamiętnych czasów a jedyny w całej gminie składającej się z trzech wsi — okazały dom murowany z dostatecznem zabudowaniem — przy głównym bardzo ożywionym trakcie wraz z 50-ciu morgami roli przy zaliczce 15,000 mrk.; dalej
2. Folwark 300 mg. pszennej ziemi z odpowiedniemi łąkami, okazały dom mieszkalny murowany pod dachówką, przy zaliczce 30,000 mrk.
3. Gospodarstwo 200 mg. wybornej pszennej ziemi, odpowiednie łąki, obszerny dom mieszkalny murowany pod dachówką, przy zaliczce 20,000 mrk.
4. Dwa gospodarstwa z murowanemi bardzo ładnemi obszernemi domami i chlewami; po 100 mórg roli pszennej z odpowiedniemi łąkami przy zaliczce po 10,000 mrk.
5. Cztery gospodarstwa od 50 mórg począwszy i więcej, ziemia pszenna w wysokiej kulturze, odpowiednie łąki, domy mieszkalne wygodne, murowane pod dachówką, przy zaliczce po 6000 mrk.
6. Dalej sprzedamy pojedyńcze parcele od 5-cin mórg począwszy i więcej pod korzystnemi i dogodnemi warunkami spłaty.

Wielkie leży tylko jedną milę od Poznania, blisko kościoła i szkoły; najbliższy dworzec jest Kiekrz — pierwsza stacya od Poznania a z dworca tylko jeden kilometr odległe.

Wobec bliskości miasta Poznania i tak świetnej komunikacyi, jak i niemniej wobec nader wydajnej, ogrodowej ziemi — kwalifikuje się Wielkie mianowicie dla ogrodników, gdyż na wszystko dobry zbyt.

Ziemia na Wielkiem jest bez wyjątku pszenna — buraczana I. klasy i znana z swej dobroci i wydajności.

Grundsteuerreinertrag wynosi przeszło 3 marki z morgi.

Wielkie uchodzi w ogóle za jeden z najlepszych majątków z całej okolicy.

Bliższych objaśnień udzieli na miejscu administrator nasz p. Bajerlein. Prosimy przybyć jak najprędzej do nas do Poznania celem wspólnych oględzin.

W Poznaniu stoi każdemu reflektantowi furmanka do dyspozycyi.

DRWĘSKI & LANGNER

DOM BANKOWO-KOMISOWY

ul. Rycerska 38 — **w Poznaniu.** — **telefon nr. 1246.**

Aufricht & Mandowsky

Polecamy:

Ubrania mężkie

Marynarki

Spodnie

Paletoty

Ubrania dla chłopców

UBRANIA dla przystępujących do komunii św.

Kabatki dla pań

kolorowe i czarne

Kostyumy

Spódnice kostyumowe

HALKI morowe wełniane i jedwabne

Kilkaset **bluzek** *w rozmaitych desseniach na składzie*

Materye na suknie czarne i kolorowe

Materye do prania.

Jedwabie do prania.

Bieliznę damską i mężką

Jak corocznie, tak i też w tym sezonie wiosennym zwracamy uwagę Szanownej Publiczności na nasz

w największym rozmiarze istniejący

skład towarów na kredyt

Przez 15 letnie istnienie w miejscu, znamy doskonale potrzeby kupującej Publiczności i każdy który chce towary w dogodny sposób nabyć powinien z naszej instytucyi korzystać. Skład nasz jest bogato zaopatrzony w wszelkie artykuły, tak iż najwybredniejszy gust zadowolonym być może, ceny zaś są nadzwyczaj nizko postawione. — Dawniejsi nasi odbiorcy mają te korzyść, iż zapotrzebowania swoje załatwiać u nas mogą bez

wszelkiej wpłaty.

Nasi odbiorcy wpłacają tylko małą część. ***Odpłata jest tak dogodnie postawioną***, iż nawet najbiedniejszy obowiązki te wypełnić może.

Nadzwyczajną korzyść podajemy naszym odbiorcom przez to, iż

każdej z pań kupującej konfekcyą wręczamy ładną bluzkę lub eleganckie ranne buciki.

Każdy z panów kupujący palto albo ubranie otrzyma elegancki filcowy kapelusz albo cylinder.

Tysiące odbiorców naszych, którzy się z rozmaitych warstw składają, powitali niespodziankę te z wielką radością. My zaś ofiarę te z chęcią ponosimy, aby tylko długoletnie stósunki z naszą klientelą nadal utrzymać.

Kredyt otrzyma każdy, także i nieżonaci.

W końcu, prosimy, z zakupnem mebli na nadchodzącą przeprowadzkę zbyt długo nie czekać, gdyż w pierwszych dniach kwietnia tak jesteśmy zajęci, iż niepodobnem jest, wszystkim życzeniom Szanownej Publiczności zadość uczynić. Zalecamy więc potrzebne meble teraz już kupić. Zatrzymujemy takowe tak długo na składzie, aż po skończonej przeprowadzce do nowego mieszkania odesłane być mogą. Odsyłki są bezpłatne, wozy nasze są bez firmy, również służba nie nosi żadnego napisu.

Kupującym z prowincyi służymy całemi wyprawami, jako też pojedyńczemi przedmiotami i prosimy o zwiedzenie naszego składu. (191)

Polecamy

Obuwie mężkie

Obuwie damskie

w rozmaitych **fasonach** i *CENACH*

DYWANY

Firany

Pokrycia na meble w wełnie i jedwabiu

Kołdry watowane

Meble i rzeczy wyściełane *pod dwuletnią gwarancyą*

Wózki dla dzieci

Wózki dla chorych

Lustra

Obrazy

Zegary ścienne

Łóżka żelazne

Łóżka żelazne dla dzieci.

Kompletne urządzenie dla golarzy i fryzyerów.

Tylko! 38. Wielkie Garbary 38. Tylko!

Róg ul. Butelskiej.

Dział powieściowy.

POD PRUSKIM ZABOREM.

Napisał René Bazin.

2) Tłomaczyła *J. P.*

(Ciąg dalszy.)

Pan Ulrich i Jan doszli do środka pokoju, a on nawet najlżejszym ruchem oczu nie dał poznać, że wie o ich obecności. Z twórcy przemysłu, który własną pracą dorobił się majątku, z posła opozycyjnego, który na posiedzeniach parlamentu dopominał się u księcia Bismarka o prawo Alzacyi, została tylko smutna ruina. W tem półżyciu jakiż korowód ludzi i rzeczy przesuwać się musiał przed starcem, który znał całą Alzacyą wszerz i dłuż, spijał jej wina u stołów bogatych i biednych, on, wędrowiec, kupiec, leśnik, patryota!... Cóż z niego pozostało!? Ta łysa i pomarszczona głowa, twarz obwisła, ciężkie powieki, między któremi, jak kula w nieruchomej oprawie, obracało się oko smutkiem przesłonięte. Pomimo to nocnym gościom zdało się, że te oczy spoczęły na nich z niezwykłą życzliwością. Zamilkli, aby nie przerywać starcowi jakiejś słodkiej myśli, dla nich na zawsze niewiadomej.

Potem wuj Ulrych zbliżył się do łóżka, położył rękę na ramieniu Filipa Oberle i nachylił się nad jego uchem, aby go lepiej usłyszano i, aby mógł sam wpatrzyć się lepiej w te oczy znużone.

— Panie Oberle, rozmawiałem długo z twoim wnukiem... Twój Jan, to dzielny chłopiec.

Filip Oberle ruchem całego korpusu odwrócił głowę chcąc przypatrzeć się wnukowi.

— Dzielny chłopiec — ciągnął dalej pan Ulrych — nie zmarnował się w Berlinie! Nie przyniesie ci wstydu, bo to Alzatczyk, patryota... Możesz się pan nim szczycić.

Pomimo słabego oświetlenia pokoju wuj i siostrzeniec dostrzegli jakiś cień uśmiechu na twarzy starca; odpowiedź duszy zawsze młodej. Odeszli teraz, mówiąc:

— Dobranoc, panie Oberle: dobrej nocy dziadku!

Płomień lampy zamigotał, drzwi się zamknęły i półcisza znów zapanowało w pokoju, do którego po zachodzie słońca dochodziły jedynie godziny wydzwaniane na kościele w Alsheimie.

Wuj i siostrzeniec rozstali się przed gankiem.

Noc była mroźna, biały szron pokrywał trawniki.

— Dobry czas na wędrówkę — odezwał się pan Ulrych. — Jutro czekam na ciebie w Heidenbruchu.

Gwizdnął na Wiernego i pogładził go, mówiąc:

— Prowadź mnie, bo będę marzył o tem, co mi to drogie dziecko powiedziało.

Zaledwie oddalił się o kilka kroków i słychać jeszcze było jego stąpanie po drodze, wiodącej do lasu Urlosen, kiedy do uszu Jana dobiegł turkot powozu od strony Obernai. Kopyta końskie, uderzając o kamienistą szosę, przypominały uderzenia cepów o klepisko; ten miejski odgłos nie mącił nikomu spokoju, nikomu snu nie przerywał; nie z tego powodu z pewnością ujadał Wierny.

Jan nasłuchiwał. Wkrótce turkot przycichł, co dowodziło, że powóz toczył się teraz między domami, a raczej między ogrodami, które zalewały Alsheim na wiosnę powodzią kwiecia, jabłoni, wisien i leszczyny. Nagle turkot się wzmógł, spotężniał, niby odgłos pociągu, wypadającego z tunelu. Piasek zaskrzypiał na końcu alei; dwie latarnie zajaśniały w parku, rzucając nikłe światło na trawniki, krzewy i pnie drzewne, które po chwili znów znikały w mrokach; wreszcie powóz stanął przed domem.

Jan, który stał dotąd na ganku, teraz zbiegł szybko ze schodów i otworzył drzwiczki karety. Wyszła z niej natychmiast młoda dziewczyna z różową twarzą, cała w bieli: biały był kapturek, białe okrycie i białe pantofelki. Przechodząc, pochyliła się w prawo i musnęła pocałunkiem czoło Jana.

— Dobranoc, braciszku — szepnęła, poruszając sennie ustami.

Chwiejnym niepewnym krokiem przeszła dalej, podnosząc białą suknię i po chwili znikła w głębi domu.

— Jak się masz, Janie! — zabrzmiał głos męzki, rozkazujący. — Czekałeś na nas... źle zrobiłeś. Chodź prędzej, Moniko! Konie bardzo się zgrzały. Auguście, dasz im jutro dwanaście litrów owsa i zaprowadzisz je do kuźni... Szkoda, Janie, że nie byłeś z nami, pan von Boscher dwa razy się pytał o ciebie.

Jegomość, przemawiający tym tonem, miał już czas wyjść z powozu, podać rękę Janowi, zwrócić się do żony, wejść na ganek i okiem znawcy ocenić zmęczenie dwóch czarnych, okrytych pianą perszeronów. Siwe faworyty okalały twarz pełną i jędrną, pod rozpiętym paltotem widać było wyciętą kamizelkę i biały gors koszuli, na nim trzy błyszczące spinki.

Ruchy jego ręki, migające przez chwilę w świetle księżyca, przypominały gesty wprawnego mówcy. Po wydaniu rozkazów pan Józef Oberle, jako czujny, pamiętający o wszystkiem gospodarz domu, podniósł głowę i wytężył wzrok ku tej stronie, gdzie leżały piramidy ściętych drzew, aby się upewnić, czy czasem ogień nie groził pożarem, lub jaki cień podejrzany nie snuł się koło fabryki; potem, lekko przeskakując po dwa stopnie schodów, wszedł do domu, nie otrzymawszy od syna ani słowa odpowiedzi. Jan tymczasem pomógł matce wysiąść z powozu, wziął z jej rąk wachlarz i zapytał:

— Moja mateczka najdroższa bardzo zmęczona?

Stroskane oczy uśmiechały się do niego, wązkie usta mówiły:

— Nie bardzo, ale w moim wieku takie przyjemności zawsze są męczące. Masz starą matkę.

Opierała się na ramieniu syna więcej przez dumę niż z potrzeby, i w uśmiechu jej tkwił jakiś smutek bezbrzeżny; wchodząc z synem na stopnie ganku, zdawała się pytać go spojrzeniem:

— Przebaczysz mi, że tam byłam? Musiałam, chociaż cierpiałam bardzo.

Miała na sobie suknię z czarnego atłasu i pelerynę z niebieskich lisów; brylanty jaśniały w jej czarnych dotąd włosach. W oczach Jana podobna była do nieszczęśliwej królowej, podziwiał piękność ruchów i głowy tej rasowej Alzatki, czuł się synem tej kobiety i to napełniało go dumą, którą przed nią tylko chciał odsłonić. Prowadził ją pod rękę aż do drzwi jej pokoju i przystawał za każdym krokiem, aby mieć ją dłużej przy sobie.

— Mamo, miałem dziś śliczny wieczór... ciebie nam tylko brakowało. Wyobraź sobie, że wuj Ulrych przyszedł tutaj o wpół do dziewiątej i dopiero co odszedł.

Pani Oberle uśmiechnęła się melancholijnie i mówiła:

— Nigdy tak długo z nami nie zostaje.

— Nie zostawał, powiedz mateczko, ale ja go tu sprowadzę.

— O młodości, młodości, gdybyś wiedziała, ile mnie rzeczy opuszcza!

Przystawała także, przyglądała się temu synowi, tak dawno niewidzianemu, i uśmiech jej stawał się weselszy.

— Kochasz mego brata?

— Jeszcze więcej, niż dawniej. Zrozumiałem go.

— Dawniej byłeś na to za młody.

— Gawędziliśmy ciągle i rozumiemy się we wszystkiem.

Słodkie oczy szukały spojrzenia syna w półmroku schodów.

— We wszystkiem? — spytała.

— Tak, tak, mateczko.

Doszli do korytarza.

Tu położyła palec na ustach, wysunęła rękę z pod ramienia Jana i stanęła przed drzwiami swego pokoju, wprost drzwi wiodących do sypialni pana Filipa Oberle. Jan ucałował matkę, potem cofnął się i znów w milczeniu przycisnął ją do piersi.

Odszedł w głąb korytarza i raz jeszcze popatrzył na tę kobietę w żałobie, która tak harmonizowała z całą jej postacią, tyle miała w sobie prostoty, tyle było wdzięku w jej opuszczonych ramionach, w tej głowie o rysach wyrazistych, a tak słodkich zarazem. Szepnął w końcu wesoło:

— Święta Moniko Oberle, módl się za nami.

Może tych słów nie dosłyszała. Pozostała tylko przy drzwiach z ręką na klamce, dopóki syn mógł ją dojrzeć, a Jan odchodził powoli z twarzą ku niej zwróconą.

Wrócił do siebie rozradowany, z głową pełną wspomnień z dzisiejszego wieczoru, które teraz w samotności, jak stado ptaków koło niego krążyły. Wiedział, że nie zaśnie tak prędko i otworzył okno. Zimny podmuch szedł równym pasem z północno-wschodniej strony. Mgła się rozwiała. Z mroku nocy wyłaniały się szmaty uprawnej roli; po za niemi ciemniały szczyty gór, tu i owdzie poprzecinane linią wysokich lasów, niebo pokryte było gwiazdami. Jan chciał odgadnąć, w którem miejscu krył się dom wuja Ulrycha. Oczami wyobraźni widział wuja zbliżającego się w tej chwili do domu; nagle od skraju lasów doszedł go jakiś chóralny śpiew. Dreszcz rozkoszy nim wstrząsnął, bo muzykę lubił namiętnie. Głosy były piękne, młode i czyste. Było najmniej ze dwadzieścia, może trzydzieści, a może pięćdziesiąt. Z powodu oddalenia nie mógł dosłyszeć słów, tylko melodye, jakąś powolną, uroczystą, jakby organową. Wiatr Alzacyi roznosił dźwięki pieśni o rytmie rycerskim. Potem do uszu Jana wyraźnie doleciało kilka wyrazów. Wzruszył ramionami, zły na siebie, że nie poznał odrazu, kto śpiewał: był to chór żołnierzy niemieckich, wracających z manewrów, tych samych huzarów nadreńskich, których spotkał pan Ulrych Biehler, idąc do Alsheimu. Śpiewali według zwyczaju, aby nie zdrzemnąć się w drodze, a w pieśni ich zawarta była cała potęga miłości ojczyzny. Stąpanie koni, niby przytłumione cymbałki wtórowały melodyi. Słowa leciały i drgały:

Zanućmy głośno dźwięczny śpiew,
Śpiew nad śpiewami niech nam brzmi!
Niech echo dolin i szum drzew
Rozniesie wzniosły, silny śpiew!
Tobie, ojczyzno niezwalczona,
Tobie, kraino naszych snów,
Ziemico wolnych krwią zbroczona
W ofierze życie niesiem znów!

Jan pragnął przerwać tę pieśń niemiecką. Jednak ileż to razy słyszał w przeróżnych miastach niemieckich śpiew żołnierzy? Czemuż taki smutek ogarnął go teraz? Czemuż dzisiaj tak boleśnie wpijały się w jego duszę te słowa, które znał tak dobrze, że mógłby je z pamięci powtórzyć? O paręset metrów od wioski śpiew ucichł. Rozlegał się tylko tętent koni. Jan wychylił się z okna, aby lepiej się przyjrzeć jeźdźcom. Mógł ich dojrzeć przez kratę żelazną ogrodzenia murowanego. Wśród lekkiej mgły sunęła jakaś masa ruchoma, a wiatr rozpędzał opary, uginając je, niby wąsy na kłosach zboża. Ani koni, ani ludzi rozróżnić nie było można. Jan myślał z tajemniczym i wzrastającym bólem: „Tak ich wielu jest tutaj.“ W Berlinie, w Monachium, w Heidelbergu wywierali nań tylko wrażenie siły nieskierowanej do jakiegoś wyraźnego celu, wróg nie był widzialny — było nim wszystko, co sprzeciwiało się wielkości państwa niemieckiego. Jan Oberle nieraz nawet podziwiał szeregi maszerujących pułków i straszliwą potęgę człowieka, który rozkazywał tak wielkiej liczbie ludzi. Ale tutaj, na kresach, na ziemi przesiąkniętej krwią tak niedawno przelaną, żyły wspomnienia zbyt jaskrawe. Żołnierze mijali domy. Hałas ciągnących szwadronów uderzał o szyby. Wioska leżała w pozornem uśpieniu.

Ani oficerowie, ani żołnierze nic innego zauważyć nie mogli, lecz w niejednym domu zbudziła się matka i cała drżąca zerwała się z pościeli; gdzieindziej znów mężczyzna złorzeczył. Bóg jeden tylko znał ten dramat. Przejechali Gdy już zniknęły na drodze cienie ostatnich szeregów, Janowi zdało się, że jakiś jeździec przystanął koło kraty i patrzył w stronę domu. Czy koń iść nie chciał? Nie — stał spokojnie. Jeźdźcem był oficer, bo jakieś złota naszycia błyszczały mu na mundurze. Stał wyprostowany na siodle, niewątpliwie młody i spoglądał przed siebie. Trwało to zaledwie minutę. Potem pochylił szablę, trzymaną w ręku, ostrogami ścisnął wierzchowca i skoczył naprzód.

Gdyby nie szybki galop, w którym oficer dopędzał towarzyszów, Jan mógłby sądzić, że uległ przywidzeniu. „Jaki koncept — pomyślał — pewno sposób okazania, że nasz dom jest w jego guście. Bardzo dziękuję!“

Pułk opuścił już wioskę i wjechał na rozległą płaszczyznę. Senna cisza znów ogarnęła domy. Wiatr szumiał ku zielonym Wogezom, a w oddali z przeciwnej strony, zabrzmiał, niby hymn religijny, śpiew żołnierzy, którzy, dążąc ku Strassburgowi, głosili chwałę ojczyzny niemieckiej.

ROZDZIAŁ II.
Badania.

Nazajutrz było już dość późno, gdy Jan wyszedł ze swego pokoju na ganek, jak i cały dom, zbudowany z czerwonego kamienia. Po obu stronach ganku znajdowały się szerokie schody, prowadzące do ogrodu.

Młody człowiek ubrany był w swój ulubiony kostyum myśliwski: kamasze z czarnej skóry, kurtka granatowa, kapelusz z miękkiego filcu, z zatkniętym za wstążką piórem głuszca.

— Gdzie mój ojciec? — zapytał ogrodnika, który właśnie grabił główną aleję.

— Pan jest w kantorze — odparł sługa.

Pierwsze wejrzenie Jana, w dal rzucone, oparło się o zielone Wogezy, porośnięte sosnowym lasem; tu i owdzie bieliły się śniegi w zagłębieniach gór, których wierzchołki ginęły w chmurach. Dreszcz radości wstrząsnął duszą młodzieńca; wzrok jego zsunął się po zboczach niższych, zasadzonych winogradem, potem po łąkach, jak gdyby chciał odświeżyć w swej pamięci wszystkie szczegóły tych miejsc, których tak dawno nie widział, a gdzie teraz zamierzał pozostać na zawsze; wreszcie spojrzał na czerwony dach i kominy tartaku, wzniesionego na skraju posiadłości rodziny Oberle; na budynek z turbinami, stojący na prawo przy potoku; na skład belek, desek, drzewa i odpadków wszelkiego rodzaju, tworzących za kłąbami o jakie dwieście kroków od domu piramidy i stosy. Z kominów fabryki wydobywały się do chmur podobne smugi białej pary, a wiatr północny unosił je w dal.

Jan skierował się na lewo przez park, zasadzony niegdyś według planu Filipa Oberle, a dziś już mocno zapuszczony, okrążył stosy kłód sosnowych i dębowych i zastukał do otatnich drzwi długiego budynku.

Wszedł do oszklonego pawilonu; tu pracował właściciel fabryki.

W danej chwili przeglądał listy, które dzisiejsza poczta przyniosła. Na widok syna przerwał natychmiast zajęcie i zwrócił się do niego z ruchem dłoni, który zdawał się mówić: „Czekałem na ciebie, siadaj!“....

Odsunął fotel i rzekł:

— No, synu, co mi powiesz?

Pan Józef Oberle był człowiekiem żwawym, gwałtownego, despotycznego nawet charakteru. Z powodu zgolonych wąsów, krótkich faworytów, pewnego wyszukania w ubiorze, płynności wymowy i zaokrąglenia ruchów, brano go często za „ex sądownika francuskiego.“ Że nim nie był, winne były tylko okoliczności; one to bowiem odsunęły pana Józefa Oberle od drogi, na którą chętnieby wstąpił, a która doprowadzić go miała do wysokich urzędów, bądź to w sądownictwie, bądź w administracyi. Ojciec jego, protoplasta dynastyi, pan Filip Oberle, syn chłopa-rolnika z Alsheimu, założył w r. 1860 tartak mechaniczny, który się rozwinął bardzo szybko. Po kilku latach stał się potęgą miejscową, człowiekiem bogatym, wpływowym, kochanym i dbał o tę miłość ludzką, nie przypuszczając, że przyjdzie chwila, w której wpływu swego użyć będzie zmuszony na korzyść Alzacyi. Syn jego, owładnięty prądem drugiego cesarstwa, musiał paląć ambicyą urzędniczą. Dało mu ją samo wychowanie: Oderwany wcześnie od Alzacyi, osiem lat spędził w liceum Louis-leGrand, potem wstąpił na wydział prawny; mając lat dwadzieścia dwa, dostał urząd w prefekturze Charenty. W tym czasie wybuchnęła wojna. Przez kilka miesięcy zwierzchnik, przypuszczając, że spełnia w ten sposób życzenia swego przyjaciela, wielkiego przemysłowca z Alsheim, zatrzymał Józefa w biurze, chro-

niąc go przed niebezpieczeństwami walki orężnej; potem jednak młody Oberle z własnej chęci zaciągnął się do wojska, odbył wiele marszów, znosił zimno i niewygody życia wojennego. Walczył dzielnie, chociaż rzadko brał udział w starciach. Gdy zawarto pokój, nastąpiła chwila rozstrzygająca o dalszych losach pana Józefa Oberle. Gdyby tylko własne upodobania miał na względzie, byłby został przy Francyi i pracował dalej w zawodzie urzędniczym, bo lubił władzę i mało robił skrupułów co do jakości rozkazów, przechodzących przez jego ręce. Ale ojciec przywoływał go do Alzacyi, błagał, aby nie porzucał kwitnącej fabryki. Mówił doń: „Przyłączenie Alzacyi do Niemiec związało mnie z przemysłem niemieckim. Nie mogę porzucić podstawy mego majątku i twojej przyszłości. Nie cierpię wrogów, ale trzymać się muszę jedynego środka spędzenia użytecznie mego życia; byłem Francuzem, teraz będę Alzatczykiem. Idź za moim przykładem. Mam nadzieję, że taki stan rzeczy niedługo potrwa.‘‘

Józef Oberle usłuchał ojca, chociaż myśl poddawania się rozkazom zwycięzcy i spędzania życia w głuchej wiosce, ukrytej u stóp Wogezów, przejmowała go wstrętem. Wtedy to popełnił kilka nieostrożności, czego obecnie bardzo żałował; położenie Alzacyi nie zmieniło się, potęga Niemiec wzrosła, a on sam, jako spólnik ojca, uczuł zaciskające się nad nim oka sieci administracyjnej, podobnej niby do francuskiej, lecz o wiele ostrzejszej i kłopotliwszej. Nauczył się z własnego doświadczenia, że w każdej bez wyjątku sprawie wszystkie władze niemieckie: żandarmi, sądownicy, urzędnicy, policya, zarządy kolei żelaznych, dróg wodnych, lasów, komory, słuszność przypisywały sobie. Zła wola, z którą spotykał się wszędzie, we wszystkich stosunkach z administracyą pruską, zwiększyła się jeszcze w r. 1874, zagrażając nawet rozwojowi fabryki. Wtedy bowiem pan Filip Oberle, pozostawiając synowi kierownictwo tartaku, uległ prośbom całej okolicy i został rzecznikiem jej spraw, jej głosem w Reichstagu, jednym z opozycyjnych posłów Alzacyi. Te doświadczenia, znużenie, spowodowane ciągłem oczekiwaniem, nieobecność Filipa Oberle, który większą część roku spędzał w Berlinie, zmieniły znacznie poglądy młodego przemysłowca. W nim i wielu innych ostygał pierwszy zapał. Manifestacye anti-niemieckie chłopów alzackich stawały się coraz rzadsze, coraz ostrożniejsze. Stosunki handlowe z Francyą ustawały, Francuzi nie odwiedzali go nawet w interesach fabrycznych. Francya tak blizko położona, stała się dla Alzacyi krajem niedostępnym, nic już ztamtąd nie dochodziło: ustały wędrówki podróżnych, przerwał się napływ towarów. Dzienniki, które czytał, przekonywały go coraz wyraźniej, że wysokie sfery porzuciły myśl o odwecie, idąc za radą grupy polityków, którzy takie postępowanie chrzcili nazwą mądrości i rozwagi. W przeciągu lat dziesięciu zerwały się w panu Józefie Oberle wszystkie struny, drgające oporem przeciw nowemu porządkowi rzeczy, przeszedł on do szeregu zrezygnowanych. Małżeństwo z Moniką Biehler, cel gorących pragnień starego, zapalonego patryoty, który w Reichstagu głosował przeciw wnioskom ks. Bismarka, nie powstrzymało pana Józefa na nowej drodze. Poglądy swe trzymał początkowo w tajemnicy, potem ujawnił osobom bliższym, wreszcie przestał się kryć z niemi zupełnie. Niemcom dawał wiele, przebierał nawet miarę. Podmajstrzy fabryki, dawni żołnierze francuscy, wielbiciele pana Filipa Oberle i towarzysze jego w walce z germanizacyą, zaczęli sarkać na swego zwierzchnika, ganić jego postępowanie. Jeden z nich w rozdrażnieniu tak się odezwał: „Czy pan sądzisz, że to wielka chluba pracować u takiego, jak pan odstępcy?‘‘ Wydalono go. Robotnicy stanęli po stronie pokrzywdzonego, wstawiali się za nim, przyczem zagrozili bezrobociem. „I owszem! — zawołał Oberle — rad z tego będę. Szalone głowy; oddalę was i zastąpię Niemcami.‘‘ Robotnicy nie uwierzyli w tę pogróżkę, która wszakże wkrótce stała się faktem, gdy nadszedł nowy kryzys. Pan Józef Oberle mniej się lękał niesprawiedliwości, niż posądzenia go o słabość charakteru; myślał też, że sam skorzysta, jeśli zastąpi krnąbrnych, buntowniczych Alzatczyków Bawarczykami, o wiele spokojniejszymi i posłuszniejszymi. W ten sposób usunięto przynajmniej trzecią część dawnego personelu fabrycznego.

W północnej stronie, w domach przez Józefa Oberle wzniesionych, rozłożyła się teraz kolonia niemiecka, a pozostali w fabryce Alzatczycy musieli ustąpić przed argumentem „chleba powszedniego‘‘. Działo się to w roku1882. W parę lat później dowiedzano się, że nowy szef wysłał syna swego, Jana, do Monachium, by tam pobierał nauki. Wywiózł też z domu córkę Lucynę i oddał ją w opiekę pani Mündar, przełożonej najbardziej niemieckiego zakładu w Baden-Baden. Ten fakt silniej od innych poruszył opinię publiczną, Potępiano taki brak poszanowania dla wychowawczyń i wpływów alzackich. Żałowano powszechnie pani Oberle, którą mąż tak bezwzględnie rozłączył z dziećmi, szczególniej z córką, jak gdyby się obawiał dla niej wpływu matki. Ale ojciec odpowiadał tym, którzy go ganili:

— Robię to dla dobra dzieci! Zmarnowałem życie, niechże ich przynajmniej ten los nie spotka. Później na zasadzie porównania sami wybiorą swoją drogę. Ale ja nie chcę, by wbrew ich woli, od samego już dzieciństwa byli zapisani, wciągnięci na listę Alzatczyków. — Czasem dodawał: — Nie rozumiecie, że poświęcam się dla moich dzieci, by im tych poświęceń oszczędzić. Ofiary ponoszę i czyż mniej przez to cierpię?

Cierpiał istotnie i to tem silniej, im trudniej mu było zdobyć zaufanie rządu niemieckiego. Za tyle trudów skąpo dawano mu nagrody. Urzędnicy zaczynali wprawdzie pochlebiać panu Józefowi, przyciągać i zapraszać go do siebie; był to łup nie do pogardzenia dla kilku „kreisdyrektorów‘‘, którzy już się nim w wyższych sferach chwalili. Ale łupu tego strzeżono pilnie, obsypując jednocześnie zaprosinami i uprzejmością. Oberle czuł to wahanie się władzy, nieufność zaledwie maskowaną, często wprost brutalnie objawiana przez nowych panów, którym chciał się przypodobać. Czy można było na niego liczyć? Czy istotnie pogodził się z aneksyą; czy nie miał jakiej ukrytej myśli; czy dostatecznie podziwiał gieniusz niemiecki, niemiecką cywilizacyę, przyszłość i handel? Te rzeczy trzeba było podziwiać i to w tak wysokim stopniu.

Odpowiedzi jednak otrzymywano w coraz silniej twierdzącym tonie: Józef Oberle pragnął, by Jan dostał urząd w sądownictwie niemieckiem, systematycznie odsuwał więc syna od Alzacyi. Po skończeniu kursu nauk średnich w roku 1895 Jan wstąpił do uniwersytetu monachijskiego; potem przeniósł się do Bonn, a wreszcie do Heidelbergu, by zdać ostatnie egzaminy w Berlinie. Praktykował u adwokata berlińskiego, a po długiej podróży wrócił wreszcie na odpoczynek do domu rodzicielskiego, by potem wstąpić do wojska. Zaprawdę, wszystko to przeprowadzono z wielką konsekwencyą. Podczas wakacyi studenckich Jan kilka dni tylko wyjątkowo spędzał wśród rodziny, resztę czasu poświęcając podróżom. W ostatnich latach nie zajrzał nawet do Alsheimu.

Władze wątpić przestały, zresztą zniknęła największa przeszkoda w zbliżeniu się Józefa Oberle z rządem miejscowym. Stary poseł opozycyjny, dotknięty chorobą nieuleczalną, złożył mandat w roku 1890. Odtąd zaczęły spływać na jego syna obietnice, uśmiechy, łaski dawno pożądane. Pan Józef Oberle poznał, że duch rządu wszędzie obecny, wcielony w mowie ludzi wszelkiej rangi, nie był mu już wrogim; poznał to po rozwoju swoich interesów, które zaczepiły już o dalsze prowincye niemieckie, po zmniejszonej ilości spraw wytaczanych jego urzędnikom, lub jemu samemu, po uprzejmości, z jaką odnosili się do niego najniżsi urzędnicy, dawniej najbardziej aroganccy, po łatwości, z jaką rozstrzygnięto kilka kwestyj spornych; otrzymywał też dogodne dla siebie ułatwienia, mógł obchodzić rozporządzenia uciążliwe. Spadały nań jeszcze wyraźniejsze dowody życzliwości. Ostatniej zimy, kiedy ładna, sprytna i poważna Lucynka tańczyła w niemieckich salonach Strassburga, ojciec jej rozmawiał z przedstawicielem państwa. Jeden z nich, prefekt Strassburga, hrabia von Kassewitz, dał mu do zrozumienia, działając niewątpliwie w myśl wyższego rozkazu, że rząd chętnie przyjąłby jego kandydaturę na posła i półurzędowemi środkami von Kassewitz, dał mu do zrozumienia, działając niewątpliwie w myśl wyższego rozkazu, że rząd chętnie przyjąłby jego kandydaturę na posła i półurzędowemi środkami popierałby wybór starego opozycyonisty. Taka propozycya napełniła radością serce pana Józefa Oberle, podniecił ambicyę tego człowieka, licho we własnem mniemaniu wynagrodzonego za tyle ofiar z miłości własnej, z przyjaźni i pamiątek.

Jego temperament urzędniczy, przygłuszony okolicznościami, nabrał sił nowych, wymagań, ujrzał cel jasno określony. W nim, choć do tego przyznać się nie mógł, znalazł pan Oberle swoje usprawiedliwienie. Mówił sobie, że dzięki swej energii, swemu lekceważeniu utopii, dzięki

jasnemu sądowi, potrafi zdobyć sobie tę przyszłość, ten udział w życiu publicznem, tę rolę, którą dotąd przeznaczył synowi. Taką będzie jego odpowiedź, gdyby kiedykolwiek jakaś wątpliwość stanęła mu w myśli, taki będzie odwet, rzucony tym kilku zaśniedziałym chłopom, którzy udawali że go nie znają, tym mieszczanom ze Strassburga i z Alsheimu, którzy zaledwie kiwają mu głową, lub nie kłaniają się wcale.

To też powitał syna zupełnie inaczej usposobiony, niż przed kilku laty. Teraz, gdy miał zapewnioną przychylność władz alzacko-lotaryńskich, mniej dbał o wypełnienie przez syna programu dawno ułożonego. Jan poparł już ojca, tak jak Lucynka popierała go obecnie; był on jednym z argumentów, jedną z przyczyn długo oczekiwanej zmiany frontu administracyi niemieckiej. W tej chwili współpracownictwo jego było pożyteczne, ale niekonieczne; ojciec ostrzeżony już kilku zdaniami z ostatnich listów syna, spokojniej znosił tę myśl, że Jan zejdzie z drogi, którą mu od dzieciństwa wskazywano i zrezygnuje z karyery prawniczej. Rozmyślania pana Oberle, którego sterem życiowym był najczystszy egoizm, przerwał widok Jana, idącego przez ogród ku fabryce.

Pan Oberle zbudował tu sobie rodzaj klatki, zkąd mógł pilnować wszystkich swoich podwładnych. Z jednego okna widać było cały skład drzewa i pracujących robotników; z drugiego sztab urzędników, z trzeciego zaś ogromną salę, w której różnego rodzaju zębate, świdrujące, heblujące piły i koła pnie krajały, wierciły je i gładziły. Klatka była wyłożona drzewem pomalowanem na kolor blado zielony; lampy elektryczne miały kształt kwiatów; płyta miedziana z guzikami od dzwonków elektrycznych leżała na biurku; telefon, maszyna do pisania, krzesła lekkie biało lakierowane, wszystko świadczyło o zamiłowaniu gospodarza do barw jasnych, przyrządów wygodnych, przedmiotów pozornie lekkich. Gdy syn wszedł do pokoju, Józef Oberle zwrócił się ku oknu z widokiem na ogród. Nogę na nogę założył, prawy łokieć oparł na biurku i z ciekawością przyglądał się synowi.

— Wysoki, ładny chłopiec — i uśmiechnął się do niego.

Gdy tak siedział rozparty w fotelu z właściwym sobie uśmiechem ciekawym i jednocześnie impertynenckim, z twarzą pełną, okoloną siwiejącemi faworytami, z podniesioną prawą ręką, w której kręcił sznurek od binokli, można było przyznać słuszność tym, którzy widzieli w nim typ dawnego sądownika. Ale oczy teraz skutkiem silnego światła trochę zmrużone były tak żywe, że już po nich tylko można było poznać człowieka czynu. One kłam zadawały sztucznemu uśmiechowi ust. Nie było na nich ciekawości mędrca, światowca, lub ojca, te oczy szukały poprostu drogi, jak jej szuka sternik okrętowy. Zaledwie pan Oberle zapytał:

— Co mi powiesz? — wnet dodał: — Rozmawiałeś dziś z matką?

— Nie.

— A z Lucynką?

— Wcale nie. Dopiero co wyszedłem z mego pokoju.

— Tem lepiej. Powinniśmy sami ułożyć nasze plany; wmieszanie się innych, jest tu rzeczą zupełnie zbyteczną. Pozwoliłem ci wrócić i zabawić w domu właśnie w celu omówienia twej przyszłości. Najpierw służba wojskowa w październiku, nieprawdaż — z naciskiem wyrzekł te słowa — z zamiarem stanowczym uzyskania stopnia oficera rezerwy...

Jan siedział wyprostowany, nieruchomy, z powagą we wzorku, z tą śliczną powagą młodzieńca, mówiącego o własnej przyszłości, kiedy się każde słowo wypowiada z niezwykłym dotąd namysłem i rozwagą.

— Tak ojcze — odparł — mam ten zamiar.

— Więc punkt pierwszy już zredagowany. A potem? Zwiedziłeś kawał świata, poznałeś naród, wśród którego żyć będziesz. Wiesz także, że w ciągu lat ostatnich zwiększyły się szanse twego powodzenia w sądownictwie niemieckiem, znacznie bowiem polepszyło się moje położenie w Alzacyi.

— Wiem o tem.

— Wiesz także, że ani na chwilę nie odstąpiłem od zamiaru zapewnienia ci tej karyery; sam byłbym jej życie moje poświęcił, gdyby nie okoliczności od mojej woli silniejsze.

Te słowa zdawały się tak podniecać w nim siłę woli, że wlepił w syna wzrok nakazujący, despotyczny, niby szpony ostre, które nie puszczają ofiary; przestał bawić się binoklami i wyrzekł szybko:

— W twoich listach wyczytałem jakieś wahanie. Odpowiedz! Będziesz sądownikiem?

Jan lekko pobladł, odpowiadając:

— Nie.

Ojciec pochylił się naprzód, jak gdyby chciał powstać i zapytał nie odwracając oczu od tego syna, którego siłę moralną miał zgłębić.

— Więc zostaniesz urzędnikiem?

— Nie. Urzędów nie pragnę.

— A twoje nauki?

— Niepotrzebne!

— Bo...

— Bo nie mam w sobie niemieckiego ducha — odparł, panując usilnie nad brzmieniem głosu.

Takiej odpowiedzi nie spodziewał się pan Józef Oberle. Był to opór, Zerwał się z miejsca i zwrócił instynktownie oczy w stronę hali, by przekonać się, czy nikt ich rozmowy nie podsłuchał i nie domyślił się słów tu wypowiedzianych. Zetknął się z obojętnym wzrokiem kilku robotników, którzy sądząc, że uwaga właściciela skierowana jest na nich, zwrócili oczy na robotę.

Pan Oberle znów spojrzał na syna. Ogarnęło go wzburzenie gwałtowne. Zrozumiał jednak, że okazywać go nie należało. Lękając się, by nie zdradzały go ruchy ręki, obie dłonie oparł na poręczach fotelu i wciąż pochylony mierzył wzrokiem Jana; przyglądał się postawie, ubiorowi, rysom tego syna, który wypowiadał poważne zdania, prawie potępiające postępowanie ojca. Po chwili odezwał się zdławionym głosem.

— Kto cię przeciwko mnie zbuntował? Twoja matka?

— Ależ nikt! — żywo zaprzeczył młody Oberle. — Ja nic ojcu nie zarzucam. Zkąd taki szczególny punkt widzenia! Ja tylko mówię że nie mam w sobie niemieckiego ducha. Jestto wynik długoletnich porównań. Nic więcej.

Pan Józef Oberle zmiarkował, że powiedział za wiele. Zamknął się w sobie i mówił dalej z chłodną ironią, którą maskował zwykle swoje rzeczywiste uczucia:

— A więc skoro odrzucasz karyerę, którą ci przeznaczyłem, wybrałeś zapewne inną.

— Naturalnie, o ile się na nią zgodzisz, ojcze.

— Jakąż to?

— Twoją własną. Muszę ci to, ojcze, jasno wytłómaczyć. Przez lat dziesięć żyłem w zgodzie ze środowiskiem czysto niemieckiem. Wiem ile mnie to kosztowało. Chcesz wiedzieć, ojcze, jaki był skutek takiego doświadczenia? Oto, widzę, że mam w charakterze za mało giętkości, za mało zdolności przystosowywania się, by zostać urzędnikiem niemieckim. Jestem pewny, że wielu rzeczy nie zrozumiałbym dostatecznie i że czasem oparłbym się rozkazom. Postanowienia mojego nic zmienić nie zdoła. A twój przemysł, ojcze, podoba mi się.

— Wyobrażasz sobie, że przemysłowiec jest niezależny?

— Nie, ale ma więcej niezależności od innych. Uczyłem się prawa, bo nie chciałem bez zastanowienia opuścić drogi, na którą mnie wprowadziłeś. Skorzystałem też z podróży przez ciebie zalecanych.

— Możesz powiedzieć, nakazanych; tak było i powiem ci ich przyczynę.

— Skorzystałem z nich, badając przemysł leśny wszędzie, gdzie mogłem to uczynić w Niemczech, w Austryi, na Kaukazie. Obeznałem się z twoją specyalnością lepiej, niż przypuszczasz, ojcze. Pragnę pozostać w Alzacyi. Czy pozwolisz na to?

Ojciec przez chwilę milczał. Chciał wypróbować syna i posługiwał się tu systemem, którego zwykle używał, kiedy chodziło o sprawy ważne. Milczał, gdy żądano od niego stanowczej odpowiedzi. Jeżeli pytający mieszał się, odwracał oczy od tego wzroku, który jak ołów ciążyć się nad nim zdawał i jeżeli pytanie w innej formie powtarzał, pan Józef Oberle zaliczał swego interlokutora do rzędu ludzi słabych, niższych od niego.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Selim Mirza.

Napisał *Henryk Sienkiewicz*

9)

(Dokończenie).

Machnął ręką.

— Mniejsza o to. Czas z nim skończyć, choć to dla mnie przeciwnik nie wart zachodu.

— Przeceniasz się.

— Przyszłość pokaże.

I wymawiając słowo „przyszłość", spojrzał na mapę i uderzył po niej ręką.

Nazajutrz cały ranek zszedł mu na wydawaniu rozkazów. Spodziewał się bitwy. Ale przedtem „kiszmet" chciał, aby stoczył tę, którą mu przepowiedziałem.

Była godzina trzecia, siedzieliśmy przy obiedzie, gdy drzwi nagle otworzyły się i wszedł La Rochenoire.

W trzydzieści sześć godzin zrobił drogę, wymagającą trzech dni. Pokryty był kurzem i jak gdyby zmęczony. Twarz jego była spokojna, oczy nieruchome, nie znać na nim było żadnego napozór wzruszenia; podobniejszy był tylko do księdza, niż kiedykolwiek.

Gdy wszedł, dawni jego oficerowie zerwali się mimowoli na równe nogi.

Mirza spojrzał na niego nieokreślonym wzrokiem, oczy mu błyszczały, ale pozostał spokojny. Widać, był nawet przygotowany, bo skinął na adjutanta, który natychmiast wyszedł z pokoju.

La Rochenoire postąpił kilka kroków. Złowrogie jego oczy nieruchomo spoczywały na Mirzie.

— Przesłałem panu wczoraj rozkaz — mówił zcicha.

— A ja nie uznałem za stosowne go posłuchać.

Połowa twarzy La Rochenoira zaczęła drgać nerwowo, jak drgała zwykle w czasie bitew.

— Aresztuję pana! — wyrzekł spokojnie do Mirzy.

Mirza ruszył ramionami i, odwróciwszy się, rzekł:

— Michaelis! wziąć tego szaleńca.

W tej chwili, w niezamkniętych drzwiach ukazał się adjutant na czele czterech żołnierzy. Żołnierze podeszli automatycznemi ruchami do La Rochenoira i stanęli w milczeniu po obu stronach.

— W imieniu Rzeczypospolitej jesteś pan aresztowany — rzekł adjutant.

Wówczas ten mały człowieczek w mgnieniu oka skurczył się w sobie i twarz mu pociemniała. W jednej chwili domyślił się wszystkiego i zemsty Mirzy i dróg Mirzy. Poznał, że wpadł w straszną zasadzkę, z której było wyjście tylko do grobu.

Ale nie był to człowiek, któryby napróżno słowa ronił. Ów zwycięzca w tylu bitwach, ów straszny partyzant nie próbował teraz niczego. Twarz jego nie wyrażała ani sztucznej dumy, ani sztucznej pogardy; nie piorunował Mirzy wzrokiem, pozostał bierny, jakby w poczuciu, że wszystko, coby mógł przedsięwziąć, byłoby tylko próżnem szamotaniem się, przeciwnem jego godności.

Przeciwnie, twarz Mirzy wyrażała powagę władzy. Nie raczył nawet spojrzeć na La Rochenoira. Dla niego był to już żołnierz nie współzawodnik, nie równy mu przeciwnik, ale zwyczajny biedak przed majestatem sądu — *„pauvre diable"*, którym nie było warto więcej zajmować się, niż tego wymagały paragrafy kodeksu wojennego.

Było w tem wszystkiem, w tej nagłej zmianie ról i stosunków, w tem bezdennem upokorzeniu tak dumnego, jak La Rochenoire, człowieka, coś tak tragicznego, że dalsze następstwa tej sprawy bladły przed chwilą obecną.

— Wyprowadzić go — rzekł Mirza.

Miarowe kroki żołnierzy odezwały się złowrogo. Odprowadzono La Rochenoira do tego domu, w którym nocowaliśmy za pierwszej bytności w La Mare.

Po odejściu aresztowanego w pokoju panowało głuche milczenie. Dziwne jakieś uczucie ściskało wszystkich za gardła.

Ludzie wojny nie są zwykle dobrymi chrześcianami, nie przebaczają przeciwnikom, dostawszy ich w ręcę a jednak czułem teraz do Mirzy żywą niechęć.

La Rochenoire przychodził do niego bezbronny, a on występował zbrojny w równą nieubłagalność, ale w większą siłę, w pewność zwycięstwa, w bezpieczeństwo osobiste, w powagę władzy, w majestat sędziego, w straszne paragrafy wojenne, w przemoc.

Słowem, po jednej stronie było wszystko, po drugiej nic.

Wiedziałem przytem, że Mirza mu nie przebaczy. Sąd wojenny zebrał się. Sędziami byli: Michaelis, Marx i ja. Mirza z obowiązku musiał prezydować. Touvenir pełnił obowiązki sekretarza.

Wprowadzono La Rochenoira. Gdym spojrzał na niego, zdawało mi się, że przez tę godzinę postarzał przynajmniej o jaki rok, ale spokojny, a raczej doskonale obojętny.

Gdy po odczytaniu zarzutów, z których jeden tylko byłby dostatecznym, aby skazać go na śmierć, Mirza spytał go, co ma na swoje usprawiedliwienie, ruszył tylko ramionami.

Przed wydaniem wyroku odprowadzono go napowrót do aresztu. Poczem przystąpiliśmy do wydania wyroku. Mirza usunął się od głosowania.

Przypomniałem sędziom, że obwiniony stoczył przeszło czterdzieści zwycięzkich potyczek. Zdawało mi się, iż moje słowa uczyniły pewne wrażenie.

Nakoniec podaliśmy wota.

La Rochenoire skazany został na śmierć.

Wypadło mi pójść ogłosić mu wyrok. Czyniłem to z największą przykrością.

Niespodziewanie przyjął mnie nietylko spokojnie, ale nawet z grzecznością. Gdy po spełnieniu swego smutnego posłannictwa zabierałem się do odejścia, rzekł:

— Wiedziałem, że pan będziesz głosował przeciw śmierci. Gdyby głos twój przeważył, uczyniłbyś mi największą krzywdę.

Poczem wyszedłem, ale przedtem opatrzyłem jeszcze straże. Dwóch żołnierzy stało we drzwiach, jeden pod oknem od strony chmielnika.

W żadnym razie La Rochenoire nie mógł się ratować ucieczką.

Poczem wróciłem do głównej kwatery, ale nie było mi przeznaczonem spocząć tej nocy. Ponieważ wyrok miał być wykonany wobec wszystkich żołnierzy La Rochenoira, dostałem więc rozkaz sprowadzenia tej części oddziału, która pozostawała dotąd tam, gdzie ją La Rochenoire zostawił.

Wymagało to ogromnych dwóch dni czasu. Nie chciało mi się jechać, ale jeszcze bardziej nie chciało mi się prosić Mirzy, ażeby mnie zastąpił kto inny.

Wziąłem więc kilkunastu żołnierzy z jazdy Corbeau i puściłem się w drogę.

Zaraz za La Mare żołnierze dostrzegli koło kościoła jakiegoś człowieka, który chciał się ukryć w złamach muru cmentarnego. Schwytali go i przyprowadzili do mnie.

Poznałem naszego dawnego przewodnika Hugona.

— Co ty tu robisz? — spytałem go dość groźnie.

Hugon był pijany, lub udawał pijanego.

— Ja tu znam każdy krzak — mruczał. — Z przeproszeniem waszej wielmożności idę do szaletu. Tam pełno żołnierzy. Przyczołgałem się chmielnikiem, bom myślał, że Niemcy, aż tu żołnierz pod suszarnią chciał mnie bagnetem, rodak to był, rodak nie Niemiec...

Tu Hugo rozpłakał się.

— Idź spać, tyś pijany.

— To z biedy, proszę waszej wielmożności, z biedy. Dziś człowiek pod wozem, jutro na wozie... albo i inaczej. Tego wczoraj żołnierze się bali, a jutro rozstrzeliwać go będą.

Jakieś podejrzenie mignęło mi w głowie.

— Widziałeś La Rochenoira? — spytałem.

— Tam pełno żołnierzy, proszę waszej wielmożności.

Nikogo nie puszczają. A to myślę: prześpię się na cmentarzu. Dziś człowiek żyje, jutro go tam położą.

Przez chwilę przyszło mi do głowy, że może La Rochenoire znalazł jaki sposób porozumienia się z Hugonem i że może wysłał go po swoich żołnierzy. Ale potem sam roześmiałem się z tej myśli. Przecie Selim miał dwa razy większe siły, a przytem Hugon nie mógł przede mną przybyć do tej części oddziału. Zostawiłem go więc na drodze, a sami puściliśmy się dalej.

Nie wiem, jakim cudem wieść o losie La Rochenoira przybyła do oddziału przedemną. Oficerowie i żołnierze przyjęli mnie w głuchem milczeniu.

Ale nikt nie okazał najmniejszego nieposłuszeństwa. Było to teraz stado baranów, z którem mogłem robić, co mi się podobało.

Wydałem rozkaz wymarszu i ruszyliśmy natychmiast.

Około południa dałem żołnierzom dwie godziny wypoczynku, potem znów nagliłem ich do pośpiechu. Po wioskach chłopi kryli się przed nami do chałup. Chciałem podwód, by jaknajprędzej dostać się do La Mare, i zabierałem po drodze wszystkie wozy z końmi. Wszędzie jednak przywołany mer wioskowy na pierwsze pytanie odpowiadał mi:

— Niema.

Wówczas przykładałem mu rewolwer do nosa i dotknięcie zimnej lufki miało dziwną własność rozgrzewania merowskiego patryotyzmu: podwody znajdowały się, jakby wychodziły z pod ziemi.

Zbliżaliśmy się do La Mare głęboką nocą i w zupełnym porządku. Ja jechałem naprzód z moimi konnymi żołnierzami o pół mili francuzkiej od oddziału. Chciałem być pierwszy, a przytem musiałem się okrzyknąć hasłem z placówkami oddziału Mirzy.

Od strony wioski nie dochodził najmniejszy szmer, ciemno było w niej zupełnie. Mirza zachowywał zawsze ostrożności większe jeszcze od La Rochenoira, i nie palił nigdy głęboką nocą ognisk.

Byliśmy już niedaleko kościoła. Mój podoficer podjechał do mnie.

— Panie poruczniku, — rzekł — placówki się pospały.

— Nie może być — odpowiedziałem — za to śmierć.

Księżyc świecił jasno. Jak okiem sięgnął, nie było widać szyldwachów.

— Co to jest? — pomyślałem niespokojny.

Przy bramie cmentarnej spodziewałem się jednak, lada chwila usłyszę:

— *Qui vive?*

Naokoło panowała cisza.

Podoficer zbliżył się znowu do mnie, szepcząc:

— Panie, tu coś zaszło. Szyby w kościele powybijane.

Spojrzałem pod światło księżyca. Blade jego promienie łamały się na oknach kościelnych, ale w niektórych miejscach widać było czarne, głuche otwory: istotnie szyby były potłuczone.

— Tu musieli się chyba bić — szeptał podoficer.

Brama cmentarna była otwarta, wjechaliśmy na cmentarz.

Nagle kopyto mego konia uderzyło o jakiś twardy przedmiot, który odezwał się głuchym echem.

Sądziłem, że to zapewne czaszka ludzka, ukryta w zielsku, kazałem jednak żołnierzowi, by podniósł ten przedmiot.

Żołnierz zsiadł z konia, schylił się i podał mi pikelhaubę pruską.

Było więc rzeczą pewną, że Mirza bił się podczas mojej niebytności i po bitwie musiał wymaszerować dalej.

Jechaliśmy dalej po cmentarzu, badając każdą wklęsłość ziemi z osobna.

O pięćdziesiąt kroków od miejsca, na którem znaleźliśmy pikelhaubę, leżał pierwszy trup pruskiego piechura. Znać było po nim, że leżał już kilkanaście godzin, i że bitwa musiała się odbyć wczoraj.

Coraz nowe jej oznaki wychylały się z trawy i zielska. Miejscami grunt na przestrzeni kilkunastu łokci pokryty był, jak śniegiem, szczątkami tektury z ładunków; dalej leżały same pruskie trupy, dalej same francuzkie, jeszcze dalej jedne i drugie razem, poprzewracane na wznak i na twarz, często wsparte na sobie głowami lub piersiami. Walczono tu widocznie na białą broń. Promienie księżyca schodziły z jednych grup i oświecały coraz nowe. Cicho te grupy zdawały się spać.

— Do szaletu! — krzyknąłem gwałtownie.

Pomknęliśmy jak burza i wypadli na drogę.

Zdala było widać zbliżające się ciemne masy ludzi: to mój oddział dochodził już do początku muru cmentarnego. Wstrzymałem pochód znakiem ręki, sam zaś z moimi ludźmi omijając trupy, coraz gęściej leżące na drodze, pocwałowałem dalej. W minutę później szalet zarysował się przed nami: okna jednego pokoju były oświecone i otwarte narozcież, również otwarte drzwi od sieni.

Wszedłem pośpiesznie.

W pierwszym pokoju było pusto i ciemno, z następnej sali dochodziło światło przez szpary we drzwiach.

Otworzyłem drzwi i stanąłem jak wryty.

— Na środku stała nizka sofa bez poręczy, a na niej leżał umarły, przykryty prześcieradłem, przez które rysował się jego nieruchomy profil.

W głowie zmarłego stały dwie świece kościelne. Przy jego nogach klęczała czarno ubrana kobieta, z czołem opartem o brzeg sofy i z zaciśniętemi nad głową rękoma.

Gdym wszedł, podniosła się. Poznałem Lidyę. Twarz jej była blada, surowa, bezsenna, zmęczona, kamienna i postarzała, ale nie zapłakana.

— Panno Lidyo!... — zawołałem przyduszonym głosem.

Podeszła ku mnie na palcach, jakby obawiając się zakłócić spokój nieboszczyka i tak cicho, jak mówi się przy umarłych, szepnęła:

— Nie żyje!

To rzekłszy, wsparła się na mojem ramieniu. Suche łkania wstrząsały jej piersią.

Wówczas dopiero przyszła mi myśl, że ten umarły to może być stary La Grange.

Zbliżyłem się szybko do nieboszczyka i podniosłem zasłonę. Z pod prześcieradła wionęło trupim chłodem. Żółte światło świec padło na zsiniałą twarz ze wzdętemi ustami, wykrzywioną, okropną.

Była to twarz.... Selima Mirzy

VII.

Nazajutrz rano wyprowadziłem śledztwo, z którego okazało się, co następuje: La Rochenoire porozumiał się istotnie z Hugonem, któremu wydał rozkaz zawiadomienia Prusaków o postoju Mirzy w La Mare. Hugon podprowadził ich chmielnikami tak zręcznie, że placówki dały dopiero wówczas ognia, kiedy oddział całkowicie był otoczony. Rozpoczęła się bitwa. Mirza poległ z samego jej początku. La Rochenoire zaś, który, działając w widokach zemsty, nie liczył nawet na osobiste ocalenie, wśród powszechnego zamieszania zdołał jednak przy pomocy Hugona wydostać się w chmielniki, a ztamtąd przedrzeć się do lasów.

W rok potem, już po wojnie, dowiedziałem się o jego pobycie w Wenecyi. Odziedziczył znaczny majątek w Bretanii, ożenił się i żył spokojnie.

Nie mogłem sprawdzić, czy żoną jego była Lidya La Grange.

KONIEC.

Z teki tetryka.

Każdy jest kowalem swego losu, mówi przysłowie. Tak, ale jakże mało ludzi zna się na kowalstwie!

Uznanie, to rzadka roślina, która najczęściej wyrasta na grobach.

Nie dowiedzielibyśmy się o niejednej tajemnicy, gdyby nie była tajemnicą.

Szczęście bywa niekiedy podobne do okularów, szukamy ich, nie wiedząc, że siedzą nam na nosie.

MĘCZENNICA W KORONIE.

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA ILLUSTROWANA.

56) ORYGINALNY PRZEKŁAD Z WŁOSKIEGO.

—*—

(Ciąg dalszy.)

Zająwszy tutaj miejsce blizko drzwi, kazał sobie podać szklankę ponczu i gazety i patrzał spokojnie na licznie zgromadzoną publiczność.

Nie lubił on instynktownie strojnie ubranych ludzi, zazdrościł im bogactwa i wygodnego życia, ale sam chciał wszystko posiadać, aby módz używać do woli wszelkich przyjemności świata.

— Czekajcie, — myślał teraz z pewnem uczuciem wyższości, o i ja będę miał wkrótce kieszenie pełne złota i będę na was patrzał z góry, tak, jak wy obecnie na mnie patrzycie! Dosyć już znosiłem upokorzeń w mojej służbie!

W tejże chwili wszedł lord Corrigan i usiadł obok niego.

— Spieszmy się, — rzekł szorstko. — Wypłacę ci resztę umówionej sumy.....

— O nie, milordzie, — szepnął Luigi z uśmiechem, — ja mam jeszcze niejedno do pogadania z panem!

— Nie wiem o czem. Zdaje mi się, że wszystko już załatwione!

— Czy pan sądzisz, że ja się taką jałmużną zadowolnię? ? Że popełnię taką okropną zbrodnią za kilkaset franków? Nie, tyle rozumu mam już, że potrafię sobie wszystko dokładnie obliczyć — wiem, co mam do żądania, i czego od pana żądać mogę!

Lord Corrigan zbladł.

Poznał on teraz, że znajduje się w rękach młodego szatana — nie chodziło mu o pieniądze, ale drżał na samą myśl o tem, że z takim łotrem wiąże go krwawa tajemnica!

— Więc żądasz więcej, niż było umówione, — rzekł z pozornym spokojem. — Dobrze, nie chodzi mi o kilka franków.

— Kilka franków? — roześmiał się Luigi. — Pozwolisz milordzie, że ja sam wyznaczę sumę!

— Przemawiasz do mnie tonem, do jakiego nie jestem przyzwyczajony. Co przyrzekłem, zapłacę — i trochę może więcej, ale wyzyskiwać się nie pozwolę — pamiętaj o tem raz na zawsze!

— Dobrze, — rzekł Luigi, wstając. — Jeżeli się pan na moje żądanie nie zgadzasz, w takim razie wiem, co mi uczynić należy.
Są ludzie w Paryżu, którzy mi dużo dadzą pieniędzy za to, gdy im powiem, kto kazał zamordować Fanchon Greffin. Idę natychmiast do nich!

— Więc powiedz, ile chcesz, — rzekł lord, ocierając spocone czoło.

— Piędziesiąt tysięcy franków, — odpowiedział Luigi śmiało.

— Oszalałeś!

— O nie! Jeżeli życie tej dziewczyny nie jest tyle warte, to jak wysoko oceniasz milordzie twoje własne?

Lord Corrigan musiał zebrać całą siłę woli, aby zapanować nad sobą i nie uderzyć tego łotra. Musiał jednak zachować zimną krew, aby się wyplątać z jego sideł.

— Nie myślisz sam przecież, — rzekł spokojnie, — abym ci dał tyle p... dzy! Nie umiesz się jeszcze obchodzić z ... wyrzucać je na w...kie strony, i policya w... chwyciła! Byłoby to nieszczęściem dla ciebie i dla mnie!

— Ach, — zawołał Luigi szyderczo, — i dlatego nie chcesz mnie pan przyzwoicie wynagrodzić? No proszę, jaki milord troskliwy o mnie! Ale ja zaręczam panu, że będę bardzo oszczędny. Zarobiłem zresztą te pieniądze i mogę z niemi robić, co mi się podoba!

— Ale ja ich nie dam!

— Więc skończmy naszą rozmowę! Nie dziw się milordzie, jeżeli jutro rano ujrzysz policyantów w twoim pokoju! Przygotuj się zawczasu na widok ich!

— Zostań! — syknął lord, drżąc cały jak we febrze. — Zdaje mi się, że ty gotów jesteś zadenuncyować sam siebie, byleby się na mnie pomścić. Powiem ci teraz ostatnie słowo — dam ci dziesięć tysięcy franków. Chcesz, czy nie?

Luigi zdumiał. Nie myślał on rzeczywiście nigdy o pięćdziesięciu tysiącach, ale zażądał tyle, przeczuwając, że lord będzie się z nim targował. Chciał ostatecznie stanąć na dwóch lub trzech tysiącach, to też nie dowierzał własnym uszom, gdy usłyszał teraz, że lord ofiaruje mu sam dziesięć tysięcy!

— Dasz mi je zaraz milordzie? — zapytał z iskrzącemi od radości oczami.

— Zaraz — pieniądze mam przy sobie, ale pod jednym warunkiem!

— Musisz do jutra Paryż opuścić i wynieść się do Ameryki. Leży, to w twoim własnym interesie, bo nie chcesz przecież razem z pieniędzmi wpadnąć tu w ręce policyi!

— Bynajmniej! Teraz jest wpół do pierwszej, o drugiej odchodzi pociąg do Havru — pojadę więc i wsiądę tam zaraz na okręt odchodzący do Ameryki!

— Zgoda! — szepnął lord z westchnieniem ulgi, wyciągając dobrze napełniony pugilares. „Masz tu dziesięć banknotów po tysiąc franków — weź je tak, aby nikt na nas nie zwrócił uwagi...

Luigi brał pieniądze, jeden po drugim, a ręce drżały mu z chciwości.

Ani on, ani lord nie zauważyli, że przy sąsiednim stoliku siedziały dwie, trochę podpadająco ubrane kobiety, że patrzały uważnie na wypłacenie pieniędzy, i że szeptały sobie jakieś wesołe słówka.

— No, teraz wszystko między nami skończone, — rzekł lord Corrigan, wsuwając pugilares do kieszeni. — Masz twoje pieniądze, i opuścisz natychmiast Paryż!

— Tak, ale i panu radzę nie przedłużać tu zanadto swego pobytu. Bo ta sprawa może się jednak wydać i znalazł byś pan się w bardzo nieprzyjemnem położeniu!

— Nie potrzebuję twej rady. — odpowiedział lord, drżąc z gniewu, — ja wiem sam, jak mi postępować wypada. Nie żądaj tylko nigdy już odemnie pieniędzy, bo nie dam ci ani grosza!

Po tych słowach podniósł lord kołnierz płaszcza i wyszedł z kawiarni.

ROZDZIAŁ LXXVII.

Niebezpieczne towarzystwo.

Luigi został jeszcze.

Oparty o aksamitne poduszki kanapy siedział z miną człowieka, któremu świat należy! Nie potrzebował się teraz troszczyć o przyszłość — owe dziesięć tysięcy franków wydawały mu się niewyczerpanym skarbcem!

Żal mu tylko było opuszczać Paryż, teraz właśnie, gdy mógł używać wszelkich przyjemności. Chociażby tylko do jutra mógł zostać! Tak prędko przecież nie znajdą go policyanci!

I gdy się jeszcze nad tem namyślał, usłyszał nagle tuż przed sobą dźwięczny głos kobiecy:

— Pozwolisz pan, że usiądziemy tu przy stoliku? Tam, gdzie siedziałyśmy dotychczas ciągnie bardzo!

Luigi podniósł głowę i ujrzał dwie młode kobiety, tak piękne, jakich jeszcze nie widział, tak mu się przynajmniej w pierwszej chwili zdawało.

Zaprosił je naturalnie do swego stolika i wkrótce wielce ożywiona rozpoczęła się między nimi rozmowa. Luigi znał już o tyle obyczaje młodych ludzi swego stanu, że kazał przynieść szampana i poczęstował nim swoje piękne towarzyszki.

Teraz zaznajomili się wszyscy na dobre. Jedna z pań przedstawiła mu się, jako baronowa Violet, druga jako

ruska hrabina Woronczow, a Luigi chociaż wiedział, że obiedwie kłamią, cieszył się z poznania tak pięknych kobiet!

Baronowa! hrabina! Kto by im to uwierzył! Ale można się było z niemi zabawić!

— Nie podoba mi się tutaj, — rzekła nagle hrabina. — wszyscy patrzą na nas, idźmy lepiej na ulicę Richard do restauracyi ojca Bobineta. Tam dobre jedzenie i wyborne wina, a ja głodna jestem!

— Idźmy! — zawołał Luigi zachwycony, i przywoławszy kelnera, zapłacił mu rachunek i kazał posłać po dorożkę pierwszej klasy.

Kilka minut później opuszczał kawiarnię w towarzystwie obydwóch dam, a zgromadzeni goście patrzeli z litością i szyderstwem na młodego chłopaka, którego najniebezpieczniejsze oszustki wzięły pod swoją opiekę!

Luigi bardzo był ze siebie zadowolony. Miał dużo pieniędzy, mógł wszystko zapłacić i żyć raz chociaż jak prawdziwy wielki pan!

Po upływie pół godziny stanęła dorożka przed restauracyą ojca Bobineta. Był to lokal bardzo znany w pewnych kołach towarzystwa — zawsze pełen gości. Byli tam panie i panowie, i z daleka już było można słyszeć wesołe śpiewy i głośne śmiechy.

Na widok wchodzących zerwało się kilku mężczyzn i chciało witać baronową i hrabinę, ale baronowa Violet dotknęła dwa razy czoła, i panowie cofnęli się zaraz.

— Zaprowadź nas, — rzekła teraz hrabina do nadbiegającego kelnera, — do osobnego pokoju! Nie chcemy tu siedzieć z byle kim przy jednym stole.

Kelner uśmiechnął się nieznacznie, mrugnął oczami i otworzył drzwi małego, wcale nie złe urządzonego saloniku, Luigi kazał natychmiast przynieść świetną kolacyę i kilka butelek najlepszego wina.

Baronowa zbliżyła się do kelnera.

— Powiedz Ludwikowi i Piotrowi, — szepnęła, — aby tu przyszli później.

Hrabina tymczasem żywą zaczęła z Luigim rozmowę.

— Bardzo mi się podobasz, mój młody Włochu, — rzekła uśmiechając się słodko. — Masz piękne oczy i jesteś wogóle ładnym i zgrabnym chłopcem!

Luigi był niezmiernie ucieszony tym lichym komplementem.

Potem wnieśli kelnerzy kolacyą i mrożonego szampana.

Baronowa i hrabina jadły tak, jak gdyby trzy dni poprzednio były pościły, Luigi zaś pił tylko, ale za to pił prędko i wiele. Szampan w tak miłem towarzystwie smakował mu wybornie.

Pod koniec kolacyi weszło do saloniku dwóch młodych, elegancko ubranych panów.

— Ach, to panie tu jesteście, — zawołał jeden z nich, udając wielkie zdumienie na widok hrabiny i baronowej.

Hrabina wstała i przywitała nowoprzybyłych z wielką serdecznością.

— Mój drogi Luigi, — rzekła, — pozwól, że ci przedstawię naszych przyjaciół, margrabia de Grincourt, nazwany Ludwiczkiem i baron Piotr de Labatte, nazwany Brodatym!

Luigi przeklinał w duszy tych dwóch przyjaciół, ale nie chcąc okazywać swej niechęci, zaprosił ich na kieliszek wina. Obydwaj panowie przyjęli zaproszenie.

— Gdzie jest nasz markiz? — zawołała nagle baronowa. — Bez niego nie ma zabawy!

— Otóż i on, — odrzekł margrabia.

Drzwi otworzyły się znowu i teraz wszedł mężczyzna, już nie młody, ale o wykwintnych, prawdziwie arystokratycznych manierach.

Hrabina przedstawiła go również:

— Nasz przyjaciel, markiz de La Roche — pan Luigi!

Luigi, zawsze ostrożny, wymienił poprzednio tylko swoje imię, tak, że obiedwie panie nie wiedziały, czy to jego imię, czy nazwisko, ale im było obojętne. Ważniejsze były owe banknoty, które miał w kieszeni!

— Bardzo się cieszę, że poznałem pana, — rzekł markiz uprzejmie, podając mu rękę. — Pan jesteś Włochem?

— Tak jest!

W tej chwili nie przeczuwał ani markiz, że podaje rękę synowi, ani Luigi, że stoi obok swego ojca!

Kelner przyniósł świeżego szampana i całe towarzystwo wypróżniało jedną butelkę po drugiej.

Luigi zauważył, że Brodaty i Ludwiczek brali na raz po kilka cygar i chowali je do kieszeni, a cygara te były drogie i on je wszystkie musiał zapłacić! Rozgniewało go to bardzo, ale przez wzgląd na panie milczał.

La Roche niezmiernie mu się podobał! Podróżował on wiele, znał cały świat nieomal i opowiadał nader zajmująco o swoich podróżach.

— Ale my rozmawiamy ciągle, — zawołała nagle hrabina, — i zapominamy o naszej zwykłej rozrywce. Nie pogramy trochę w karty?

— Ach tak! — szepnęła baronowa, patrząc czule na swego młodego sąsiada, — pożyczysz mi pan kilka franków?

— Bardzo chętnie, — odrzekł Luigi, zachwycony pięknością i słodyczą baronowej.

— Markiz musi trzymać bank, — oświadczyli panowie. — On to najlepiej umie.

La Roche zamyślił się na chwilę.

— Przyrzekłem sobie wprawdzie, rzekł nareszcie, — nie grać nigdy, jeżeli w towarzystwie znajduje się ktoś obcy. Znajomi bawią się i cieszą się, gdy sobie nawzajem płacić muszą, ale odbierać pieniądze obcym — to rzecz nieprzyjemna. A wygrać chce ostatecznie każdy!

Słowa te bardzo się wszystkim podobały, ale pomimo to proszono usilnie markiza, aby wziął bank. Luigi prosił także i nareszcie dał się markiz przekonać.

Kelner przyniósł karty i gra się rozpoczęła.

— My gramy razem, panie Luigi, — zawołała baronowa, zbliżając do niego ładną główkę. — Zobaczysz pan, że wygramy — ja zawsze mam szczęście!

Markiz tymczasem zmieszał karty i podał je chłopcu do zebrania.

— Właściwie nie powinieneś pan grać z nami, — rzekł jeszcze do niego. — Nie znasz nas, a w Paryżu dosyć jest łotrów, którzy przy kartach oszukują i wyciągają nie doświadczonym pieniądze z kieszeni. Wybacz pan, że c to mówię, ale jesteś jeszcze młody — ja zaś jestem ju stary i znam świat aż nadto dobrze!

— Dziękuję panu, — zawołał Luigi z wdzięcznością. — Ja chętnie przyjmuję rady starszych.

Po tych słowach wyciągnął jeden banknot z kieszeni i gra rozpoczęła się.

Piękna Violet miała rzeczywiście szczęście — ona i Luigi wygrywali nieustannie. Nie trwało długo, a przed nimi leżał cały stos srebra i banknotów.

— Cieszę się bardzo, że pan wygrywasz, — rzekł markiz, — nie będę miał przynajmniej żadnych wyrzutów sumienia, że zabrałem ci pieniądze!

— Powinieneś pan wyżej stawiać, — zawołała hrabina. — Kto nie ma odwagi, ten też nic nie wygrywa! Gdybym ja miała takie szczęście, postawiłabym moje brylanty na jednę kartę!

Luigi był Włochem, a namiętność do gry w karty jest wadą wrodzoną każdemu Włochowi.

Wygrana rozbudziła w nim szaloną żądzę posiadania całej kasy markiza, i ufny swemu szczęściu zaczął teraz podwajać stawki.

Ale od tej chwili zmieniło się wszystko.

Jedna przegrana następowała po drugiej i to z taką szybkością, że połowa jego majątku znalazła się wnet w rękach markiza.

— Skończmy grę, — zaproponował La Roche.

— Za nic w świecie, — krzyknął Luigi, — ja muszę odegrać moje pieniądze!

— Bardzo słusznie, — szepnęła baronowa. — Ale w takim razie stawiaj jeszcze wyżej!

Luigi usłuchał, i — przegrał.

Wściekłość ogarnęła go teraz na widok swoich banknotów, leżących przed markizem.

W oczach pociemniało mu, i był blizkim zemdlenia.

W kieszeni miał jeszcze jeden tylko banknot.

— Pomieszaj pan karty, — zawołał, stawiam jeszcze tysiąc franków na asa pik!

Markiz pomieszał je, Luigi zebrał — karty upadły na stół, rzucone zręcznie ręką markiza i as pik — przegrał!

Ale teraz zauważył Luigi, że markiz z nadzwyczajną szybkością brał karty z dołu, a nie z góry, i teraz też domyślił się, że była to gra fałszywa.

I jak żmija rzucił się przez stół na markiza i uchwycił jego rękę.

— Złodzieju! Oszuście! — krzyczał zdławionym głosem, — oddaj mi moje pieniądze! Znam ja się na tych sztuczkach! Oszukałeś nas! Oddaj mi wszystko, inaczej zawołam policyi!

— Ten chłopak stracił zmysły, — zawołał markiz, usiłując odepchnąć napastnika.

Ale Luigi walczył z nadludzką prawą siłą o swój majatek. Jednem kopnięciem nogi przewrócił stolik i całym ciężarem ciała uwiesił się na szyi markiza, ściskając mu obydwiema rękami gardło.

Markiz upadł na ziemię i pociągnął za sobą Luiga, i teraz rozpoczęła się pomiędzy nimi okropna walka.

Ludwiczek i Brodaty odciągali chłopca od jego ofiary, panie krzyczały — zamieszanie powstało niezmierne.

— Oddaj mi pieniądze! — szeptał Luigi ochrypłym głosem, — albo cię uduszę. Oddaj mi, słyszysz? Złodzieju — łotrze — oddaj, coś mi ukradł......

Ale walka nierówna — pięciu przeciwko jednemu, wnet skończyć się musiała. Luigi zmęczony, szarpany ze wszystkich stron, puścił markiza — w tej chwili też zgasło światło, i piątka złodziei znikła za drzwiami. Luigi został sam.

Stojąc na środku pokoju krzyczał tak okropnie, że w przyległej sali zaczęli się goście gromadzić koło drzwi i pytać, co się właściwie stało.

— Nie można go tak zostawić, — mówił markiz do swoich towarzyszy, — bo on gotów sprowadzić nam policyą na kark. A to byłoby nam trochę nieprzyjemnie!

— Mam go ubezwładnić? — zapytał Brodaty. — Jedno uderzenie krzesłem w głowę wystarczy!

— Nie, nie, ja sama załatwię się z nim, — rzekła baronowa. — Odejdźcie ztąd!

Pod przewodnictwem markiza oddalili się wszyscy i baronowa Violet wróciła sama do pokoju, w którym zawsze jeszcze znajdował się Luigi.

— Luigi, — zawołała wchodząc, — poznajesz mnie? Ja jestem baronowa Violet!

— Oh, niegodziwa, — krzyknął chłopak, — to ty wprowadziłaś mnie w sidła! Ale czekaj! Jutro będziesz i ty i twoi towarzysze w więzieniu!

— Luigi, przysięgam ci, że jestem niewinną, — rzekła piękna kobieta ze łzami w oczach, i dowiodę tego, oddając ci wszystkie twoje pieniądze! Wiem, gdzie mieszka markiz, idź ze mną do niego, jestem pewną, że on wynagrodzi ci stratę podwójnie!

— Doprawdy? Czy mogę pani wierzyć?

— Nie potrzebujesz powątpiewać o prawdzie słów moich, drogi Luigi! Podaj mi rękę i pójdź ze mną! Ach, jaka ręka twoja gorąca! Jesteś niezmiernie zirytowany, weź moją flaszeczkę z solą angielską, powąchnij ją, potrzyj sobie skronie.....

Luigi wziął buteleczkę, przyłożył ją do nosa i nagle — upadł na ziemię.

Baronowa wróciła do swoich towarzyszy.

— Chłopak zupełnie jest odurzony, — rzekła z uśmiechem, — możemy zrobić z nim teraz, co nam się podoba. Zanieśmy go na jaką odludną ulicę i zostawmy go tam na łaskę losu! Gdy wytrzeźwieje i będzie chciał opowiedzieć komu swoją przygodę, nikt mu tego nie uwierzy — bo kto go znajdzie, poświadczy, że znalazł go zupełnie pijanego na ulicy!

— Ja zaś myślę, — rzekł markiz, — że lepiej wrzucić go w Sekwanę. Wtedy możemy być pewni, że nas nie zdradzi!

Ale Violet nie chciała się zgodzić na morderstwo. Może było jej żal młodego chłopaka!

— Zamiast wrzucić go w rzekę, — mówiła, — połóżmy go na brzeg jej, on nam jutro już nic zaszkodzić nie może!

I tak też zrobiono. Nieprzytomnego chłopaka włożono z pomocą kelnera w zamkniętą dorożkę i zrzucono go daleko za Pont Neuf — tam, gdzie policyanci nigdy prawie nie chodzą. Poprzednio jednak przeszukał Ludwiczek dokładnie kieszenie chłopca i zabrał wszystko co się dało, a mianowicie scyzoryk, srebrny zegarek, dar Pedra, i mniej więcej dwadzieścia franków drobnej monety.

Potem kopnął go nogą i wszyscy odjechali.

Luigi leżał całą noc nieprzytomny na brzegu rzeki. Jedno poruszenie — a byłby wpadł w fale Sekwany, ale on leżał bez ruchu, jak kłoda drzewa. Niezwykła ilość szampana i odurzająca woń chloroformu ubezwładniły go zupełnie.

ROZDZIAŁ LXXVIII.

Jędza z nad Sekwany.

Było to nad ranem następnego dnia.

Na dworze zaczęło już widnieć, ale mało jeszcze ludzi ukazywało się na ulicach Paryża.

Nad brzegiem rzeki, koło mostu „Pont— Neuf“ ukazała się teraz dziwna postać kobieca.

Gdyby malarz jaki szukał modelu do czarownicy lub do wiedźmy z bajki, to nie mógłby znaleźć nic odpowiedniejszego, jak tę właśnie kobietę!

Była to stara, chuda, a tak okropnie brzydka istota, że nie można było sobie wyobrazić nic wstrętniejszego nad nią. Postać okryta szmatami, nogi brudne, bose, twarz żółta, pomarszczona, usta bezzębne, wykrzywione — wszystko to tworzyło całość, wzbudzającą postrach i przerażenie.

Wiedźma ta szła z miechem na plecach, wzdłuż rzeki, i zwyczajem starych kobiet, wiodła z sobą samą rozmowę. Nie potrzebowała się zresztą obawiać, aby ją tu kto podsłuchiwał.

— Nędzne życie, — szeptała, — wyobrażałam sobie Paryż zupełnie inaczej! Ah, gdybym mogła wrócić do Wiednia! Tam było mi jednak najlepiej! I gdyby nie mój mąż. — — — I gdyby nie Józefina. — — — Czemu ja powiedziałam historyą jej pochodzenia! Jaka też byłam głupia! Mogłam była sprzedać to za drogie pieniądze! A największem szaleństwem była moja ucieczka do Paryża! Tu są ludzie mądrzejsi, niż ja! Zbieranie szmatów już mi się też sprzykrzyło, ale co to jest? Człowiek?

Ujrzała w tejże chwili leżącego chłopaka i szybko zbliżyła się do niego.

— Pijany, — szepnęła, przyglądając mu się uważnie. — Ale nie, — — hej przyjacielu, — zawołała, trącając go kijem, — obudź się! Możesz się zaziębić!

Luigi nic nie odpowiadał.

Szewcowa Hilbertowa, ona to bowiem była ową wiedźmą, pobiegła do rzeki i umaczawszy kawał płata we wodzie, zaczęła nim nacierać twarz i ręce nieprzytomnego.

Nie trwało długo, a Luigi otworzył oczy.

— Gdzie jestem? — szepnął. — Mungo — czy ty już wstałeś?

— Leżysz nad rzeką, mój chłopcze, — zawołała stara, — i o mało niewpadłeś we wodę! Ja cię ocaliłam!

— Dajcie mi wody do picia, — prosił Luigi, — bo umieram z pragnienia!

— Wody możesz dostać tyle ile chcesz! Wezmę twoją czapkę i napełnię ją wodą!

Mówiąc to, nabrała Hilbertowa pełną czapkę wody i podała ją chłopcu, który pił z chciwością świeży zimny trunek. Zwolna też odzyskał przytomność i przypomniał sobie wszystkie wypadki poprzedniej nocy.

Na myśl, że stracił dziesięć tysięcy franków wpadł w taką wściekłość, że Hilbertowa cofnęła się mimowoli.

— Co ty mówisz o dziesięciu tysięcy frankach? — zawołała. — Nie wyglądasz mi na to, abyś posiadał takie sumy.

— A jednak miałem je wczoraj, — krzyknął Luigi, — miałem je nawet przed kilku godzinami jeszcze, a teraz nie mam nic, jestem żebrakiem! Ukradli mi nawet zegarek! I pomimo to muszę uciekać z Paryża!

— Dokąd zamierzasz się udać? — zapytała Hilbertowa.

— Nie wiem! Odbiorę sobie może życie, utopię się — tak czy tak jestem zgubiony!

— Zgubiony? Nie, mój kochany, ale jesteś tchórzem! Kto jest tak młodym jak ty, ten zawsze jeszcze ma przyszłość przed sobą! Miej tylko zaufanie do mnie, ja cię już wprowadzę na właściwą drogę!

— Kto wy jesteście? — zapytał Luigi.

— Ach, nie przedstawiłam ci się jeszcze, — roześmiała się stara. — Nazywają mnie jędzą z nad Sekwany, mieszkam zaś w napół zapadłej chacie — niedaleko ztąd... Jeżeli chcesz, możesz zamieszkać u mnie — tam cię żaden w świecie policyant nie znajdzie! I gdybyś chciał pracować ze mną — to zarobiliśmy niejedne złotą monetę...

Luigi namyślał się przez chwilę — potem podał rękę starej szewcowej.

— Dobrze, — rzekł, — zostanę u was — zobaczymy, co się da zrobić! Ty będziesz okiem — ja ręką. — Niech żyje spółka nasza!

Hilbertowa wyjęła z kieszeni butelkę z wódką.

— Pij, — rzekła — pij chłopcze, to cię orzeźwi!

Luigi pił wódkę jak wodę.

— Oj, umiesz pić, — zawołała Hilbertowa z uznaniem. — Musiałeś mieć dzielnych nauczycieli.

Luigi uśmiechnął się.

— Idźmy teraz do waszej chaty. — rzekł, — zimno mi bardzo, a nie chciałbym zachorować i umrzeć. Nie, ja chcę żyć! Świat ma dosyć o mnie słyszeć, jakem Luigi Luccheni!

— Więc jesteś ambitny?

— Nie, ambitnym właściwie nie jestem! Ale czemu nie mam rodziców tak jak inni, czemu nie mam pieniędzy, czemu mnie popychano ciągle, czemu mi ludzie wiecznie zarzucają brak domu i rodziny? Nikt mnie nie kocha, więc i ja nie kocham nikogo, ludzie dokuczają mi, więc się mszczę na nich —! I jeżeli kiedyś imię moje zapisze się na kartach historyi, to zapisze się krwią — krwią! Ach! krew więcej jest wartą niż złoto!

I dobrana para zbrodniarzy udała się do chaty starej wiedźmy.

ROZDZIAŁ LXXIX.

Nowa dozorczyni obłąkanych.

Właściciel i dyrektor zakładu obłąkanych, doktor Blakborn, chodził zamyślony po swojej pracowni. Potem zbliżył się do biurka i z tajnej szufladki wyjął list, który dziś już po raz dziesiąty może odczytywał.

— Dziwna rzecz, — szepnął, — kto list ten mógł pisać? Jest to ostrzeżenie, a więc pochodzi od przyjaciela! Zdaje mi się, że jestem zbyt łagodny dla mego personału — batem należy ich traktować!

List, który go tak zaniepokoił, brzmiał jak następuje:

„Szanowny Panie Doktorze!

„Przyjaciel, który pragnie pozostać bezimiennym, ale który dużo panu winen jest wdzięczności, czuje się w obowiązku ostrzeżenia pana. Jestem w ciągłej styczności z paryzką policyą kryminalną i dowiaduję się zawczasu o rzeczach, o których pan dowiedzieć się możesz wtenczas dopiero, kiedy już zapóźno...

„Od niejakiegoś czasu otrzymuje prezydent policyi ciągle denuncyacye na pana! Oskarżają Cię tam o zatrzymywanie przemocą w zakładzie osób zdrowych i o wiele gorszych jeszcze rzeczy, naprzykład, że zdrowi dostawają w zakładzie pana istotnego obłąkania!

Denuncyacye te są spisane tak szczegółowo, że pochodzić mogą jedynie od osób, znających bardzo dokładnie twój zakład. Zdaje się, że są one dziełem dozórczyń, które się może chcą mścić na panu za jakie urojone krzywdy. Obawiam się, aby ci prokurator nie wytoczył procesu. W każdym razie jesteś pan teraz ostrzeżony i wiesz, jak masz postąpić. Oddal tych, których masz w podejrzeniu, ale zaznaczam raz jeszcze wyraźnie, że denuncyanta szukać ci należy w oddziale żeńskiej służby.

Wierny przyjaciel.“

— Tak, to musi być przyjaciel, — myślał Blakborn, wsuwając list do kieszeni. Jestem więc zdradzony, a zdrajca znajduje się w moim domu! Najlepiej, że zmienię całą służbę, jest to jedyny sposób na pozbycie się niewygodnych świadków!

I usiadłszy przy biurku, napisał natychmiast odpowiednie anonsa do najpoczytniejszych dzienników w Paryżu.

— No, — rzekł sobie w duszy, myślę, że zgłosi się dosyć kobiet! I skoro tylko będę miał nowe dozorczynie, to niech mi prokurator wytoczy śledztwo..... Nie boję się niczego! Oby raz już opuścić Francyą! Zaczyna tu być niebezpiecznie, trzeba mi się przenieść do Niemiec — tam jeszcze nikt mnie nie zna!

Po ukończeniu pracy dziennej kazał zaprządz do powozu i pojechał do Paryża. Najpierw musiał oddać anonsa na pocztę, a potem pragnął odwiedzić baletniczkę Nitouche, z którą oddawna łączył go stosunek ścisłej przyjaźni. Ale Nitouche wyśmiewała się potajemnie z niego i oszukiwała, jak mogła!

Już na drugi dzień otrzymał Blakborn mnóstwo listów w odpowiedzi na swoje ogłoszenia.

— Proszę pana. — rzekł nieco później służący, — przyszła tu jakaś kobieta — chce przyjąć miejsce dozórczyni chorych. Czy mam ją wpuścić?

— Naturalnie!

Służący wyszedł i po chwili wprowadził do salonu młodą i bardzo piękną dziewczynę.

— Usiądź pani, proszę, — rzekł doktor uprzejmie. — Jak się pani nazywasz?

— Józefina Hilbert!

— Ah, więc jesteś Niemką?

— Wiedenką jestem, proszę pana.

— Bardzo dobrze, Niemki są dyskretne — pomyślał, — już dlatego samego, że Francuzki nie chcą się z niemi przyjaźnić.

— Więc pani, — dodał głośno, — chcesz się poświęcić pielęgnowaniu chorych! Ale czy wiesz, że to rzecz ogromnie trudna, uciążliwa, a nawet i niebezpieczna? Potrzeba do tego dużo silnej woli, energii — a kto jest tak piękny i młody jak pani.....

— O, ja umiem się z chorymi obchodzić, — przerwała Józefina. — Przeczytaj pan moje świadectwa!

Wszystkie te świadectwa napisał doktor Tritoni, a znajomi jego lekarze podpisali je z całą gotowością.

— Bardzo dobre, świetne, — rzekł Blakborn zadowolony, — ale obawiam się, czy pani wytrzymasz długo w zakładzie obłąkanych! Chorzy bywają gwałtowni, kapryśni — trzeba używać nieraz ostrych środków na uspokojenie ich.....

— Wiem o tem, i nie obawiam się niczego!

— A gdybyś pani musiała użyć czasem — — bata?

— O, mam silne ręce, — odrzekła Józefina tak obojętnie, że doktor zadrżał z radości.

Będzie to świetna dozorczyni!

— Ale musisz pani mieszkać tu w zakładzie! Masz krewnych w Paryżu?

— Nikogo! Ani nawet znajomych! Stosunki familijne zmusiły mnie do opuszczenia Wiednia — jestem wskazana na pracę rąk własnych....

— Tem lepiej! Jesteś pani dyskretną? Bo w zakładzie obłąkanych dzieją się czasem rzeczy, o których ludzie nie potrzebują wiedzieć.....

— O, ja umiem milczeć!

— Wybornie. Miesięcznej pensyi płacę stopiędziesiąt franków, wystarcza to pani?

— Najzupełniej!

— Od kiedy możesz pani objąć miejsce?

— Natychmiast, chociażby dziś na wieczór!

— Zgoda. Mam po panią posłać konie?

— Dziękuję, mam tylko mały kuferek i przyniosę go sama!

Doktor podał jej rękę.

— Spodziewam się, — rzekł uprzejmie, — że będę z pani zadowolony, bądź tylko zawsze energiczną i nieubłaganą. Z obłąkanymi inaczej postępować nie można. A przedewszystkiem — dyskrecya!

Kilka godzin później objęła Józefina miejsce dozorczyni u doktora Blakborna.

Pokoik jej leżał na czwartem piętrze, ubranie zaś musiała nosić takie, jakie w zakładzie było przepisanem: szarą suknią i szeroki biały fartuch.

Mały kuferek został umieszczony w szafie, ale Józefina założyła przy drzwiach szafy inny jeszcze zamek, i teraz dopiero mogła być pewną, że nikt go otworzyć nie potrafi.

Widocznie znajdowały się w kuferku rzeczy, których nikomu nie chciała pokazać.

Potem zeszła na dół do sali jadalnej, w której chorzy byli zgromadzeni.

Kolacya składała się z zupy z kartofli i suchego chleba.

Doktor Blakborn przyjął już w sieni Józefinę i prowadząc ją do sali, rzekł:

— Przekonasz się pani wnet sama o uporze obłąkanych. Po kolacyi mają iść wszyscy na spoczynek, i wtedy odgrywają się często nieprzyjemne sceny. Użyj pani całej swej energii....

(Ciąg dalszy nastąpi.)